

Michał Mędlewski



TAJEMNICA CZARNEGO LASU

Michał Mędlewski



TAJEMNICA CZARNEGO LASU

Lubliniec 2019

Tajemnica Czarnego Lasu

Copyright © by Michał Mędlewski, 2019

Copyright © by Artur Gołębiowski, ilustracje, 2019

Redakcja: Janina Kaszkur, Bartłomiej Zbączyński

Korekta: Katarzyna Myrcik

Projekt okładki: Agata Cichocka

Skład, łamanie: Damian Siwiaszczyk (Drukarnia SVD)

Ilustracje pochodzą ze zbiorów Muzeum Harcerstwa w Warszawie



Publikacja sfinansowana z budżetu Powiatu Lublinieckiego

Wydanie I, Lubliniec 2019

Wydawca: Powiat Lubliniecki

Nakład: 500 szt.

ISBN:978-83-950986-1-1

WSTĘP

W lipcu 1979 roku **Michał Mędlewski** odwiedził Lubliniec i Czarny Las. Był to jego pierwszy powrót w to miejsce od czasu wyjazdu wraz z rodziną w 1925 roku. Podróż do Lublińca bardzo go poruszyła. Tak pisał o tych chwilach w liście do przyjaciela Alojzego Gajka:

Czy możesz zrozumieć, co się ze mną działo, kiedy z dalekiej przeszłości odgarniałem wspomnienia tak żywe, jakby to było wczoraj? (...) Rozmawiałem ze starszymi ludźmi naszą starą gwarą śląską, wszędzie szukałem śladów tamtych dni. (...) Wszystko to trwało zbyt krótko, po prostu z zawrotem głowy od naporu wrażeń i wzruszenia ruszyliśmy w drogę powrotną do Katowic. Muszę, muszę tam jeszcze raz pojechać, dotknąć bliżej tego wszystkiego, co ocalało z tamtych lat (...).

Wyjazd do Lublińca zrodził w głowie Michała Mędlewskiego pragnienie spisania **wspomnień z dzieciństwa**, z okresu pobytu w Lublińcu, który trwał od 1922 do 1925 roku. Autor rozpoczął zbieranie materiałów. **W latach 1981–1982** nawiązał kontakt korespondencyjny z **Alojzym Gajkiem**, przyjacielem z lat dzieciństwa, współuczestnikiem obozu w Czarnym Lesie, późniejszym Komentantem Hufca Lubliniec, który opracowywał wówczas **historię Hufca Lubliniec** dla działającej przy Hufcu **Komisji Historycznej**. Poprzez korespondencję wymieniali się wspomnieniami z czasów swojej młodości. Niestety kontakt nie wyszedł poza formę listowną, a przyjaciele nie spotkali się osobiście. Wymiana listów w znaczący sposób wpłynęła na ostateczny kształt dzieła.

Kiedy Michał Mędlewski rozpoczął pisanie książki – nie wiadomo. Pewne jest, że **maszynopis powieści zatytułowanej „Tajemnica Czarnego Lasu” w 1988 roku** trafił najpierw



*Bożena Mędlewska-Pankowska i Bartłomiej Zbączyński
Nakło nad Notecią, kwiecień 2019 roku*

do **Wydawnictwa „Śląsk”**, a gdy to nie było zainteresowane wydaniem powieści, do **Młodzieżowej Agencji Wydawniczej**. W MAW-ie historia Michała Mędlewskiego się spodobała, **podpisano umowę i przystąpiono do pracy edytorskiej** nad książką. Zlecono także wykonanie szaty graficznej utworu. Niestety dwa lata później w 1990 roku Młodzieżowa Agencja Wydawnicza została zlikwidowana, a maszynopis z poprawkami naniesionymi na niego przez **redaktor Jolantę Kaszkur** wrócił do autora. Listy, korespondencja z wydawnictwem oraz maszynopis powędrowały do szafy. Zamyśl wydania powieści nie opuszczał Michała Mędlewskiego, niestety, nie udało mu się znaleźć wydawcy. Zmarł 8 czerwca 1997 r., nie doczekawszy druku książki.

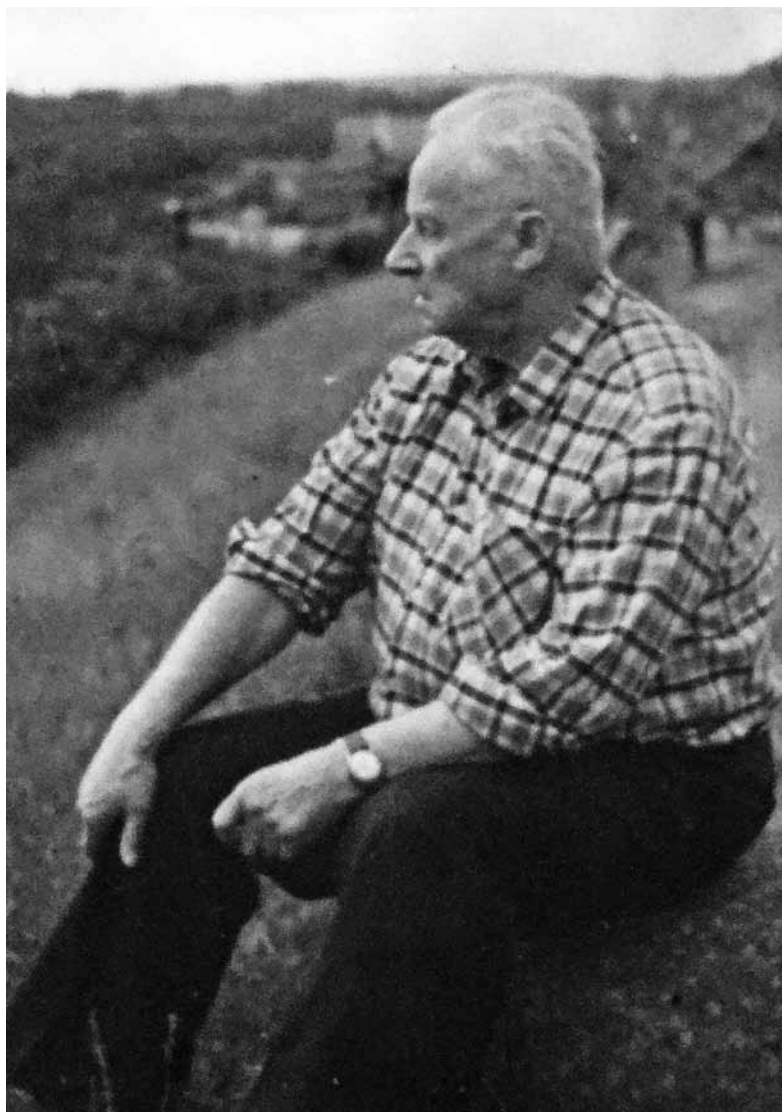
Wiosną **2019 roku** przygotowywałem **notkę biograficzną** druha Michała Mędlewskiego. Szukając o nim informacji, skontaktowałem z jego córką – **Bożeną Mędlewską-Pankowską**. Podczas jednej z rozmów telefonicznych opowiedziała mi o maszynopisie **powieści „Tajemnica Czarnego Lasu”**, który był w jej posiadaniu. Wraz z żoną Moniką w kwietniu 2019 r. pojechałem na spotkanie

z panią Bożeną do **Nakła nad Notecią**. Poprosiłem o udostępnienie maszynopisu w celu wydania powieści, na co otrzymałem zgodę. Kilka kolejnych tygodni zajęło mi poszukiwanie **oryginalnych grafik** do książki. Znalazłem je z pomocą **druha Adama Czetwertyńskiego w Muzeum Historii Harcerstwa w Warszawie**. Dzięki uprzejmości dyrektora Muzeum, **hm. Katarzyny K. Traczyk**, uzyskałem zgodę na wykorzystanie grafik w powieści. Po ich otrzymaniu udało mi się także dotrzeć do ich autora, którym okazał się znany i popularny ilustrator i grafik, **Artur Gołębiowski**. Także on wyraził zgodę na opublikowanie grafik w książce. Na początku lipca 2019 r. **dzięki pomocy mojej żony Moniki i Marcina Gajka (syna Alojzego)** zakończyłem przepisywanie maszynopisu. W lipcu Starostwo Powiatowe w Lublińcu zdecydowało się wydać powieść. Tym samym spełniłem marzenie druha Michała o tym, by jego książka ujrzała światło dzienne. Mam nadzieję, że powieść się spodoba i z zainteresowaniem przeczytają ją lublinieccy harcerze i mieszkańcy miasta, bo jest tego warta.

W 1988 r. Michał Mędlewski, wysyłając maszynopis „Tajemnicy Czarnego Lasu” do wydawnictwa, napisał: „Akcja powieści toczy się na Górnym Śląsku w kręgu harcerskim, bezpośrednio po objęciu Górnego Śląska przez władze polskie. W powieści dominuje wątek autobiograficzny”. W tych słowach zawiera się klucz do zrozumienia książki. Opowiada ona bowiem historię rodziny Malewskich (zbieżność nazwisk nieprzypadkowa – Mędlewskich), która przeprowadza się do Lublińca w maju 1922 r., na kilka dni przed zmianą administracyjną po III powstaniu śląskim, za sprawą której Lubliniec na powrót znalazł się w granicach państwa polskiego.

Wraz członkami rodziny Malewskich: Romkiem, jego rodzicami – leśniczym Wiktorem Malewskim, matką Michaliną, jego siostrami oraz psem Rolfem, jesteśmy świadkami **odjazdu wojsk angielskich z Lublińca**, poznajemy okolice **Szczyłoka** – leśniczówki, w której zamieszkali bohaterowie. Czytamy o harcerskim **biwaku w Woźnikach**, o **wyjeździe do Katowic** czy na **obóz do Czarnego Lasu**. Dowiadujemy się, jak wyglądał Lubliniec na początku lat dwudziestych XX wieku. Wraz z przyjaciółmi

Romka (autentycznymi postaciami): **Robertem Maksarą, Konradem Bazarnikiem** czy **Alojzym Gajkiem**, możemy przeżywać niesamowite przygody. Na stronach książki odnajdujemy też ważne dla historii miasta postacie: **doktora Willerta**, kierownika szkoły – **Jakuba Bazarnika**, **dyrektora Markitona** czy **księdza Jana Szymałę**. Jednak najszczegółowiej poznajemy przyrodę, z jaką przyszło obcować od najmłodszych lat Michałowi Mędlewskiemu. To właśnie lublinieckie lasy i ich tajemnice – jak wskazuje tytuł utworu – sprawiły że w pamięci autora zrodziła się potrzeba ocalenia minionych wydarzeń, miejsc czy związanych z nimi postaci. Jak napisał recenzent książki, **Cezary Leżeński**: „To nie tylko się widzi, to się przeżywa, czuje, to otwiera oczy na przyrodę, zachęca do jej umiłowania. To nie ekologia, to wielka miłość”. Nie jest łatwo, czytając książkę, oddzielić fikcję od wspomnień. Przeplatają się one tak silnie, że spajają warstwę fabularną z dokumentalnym tłem, wywołując wrażenie autentyczności. Może nawet nie warto obu sfer rozdzielać, tylko wygodnie usiąść w fotelu i wybrać się na niepowtarzalną wycieczkę w przeszłość, do miejsc, o których „tylko my wiemy, że one kiedyś istniały naprawdę” – jak napisał w jednym ze swych listów autor książki.



Michał Mędlewski

O AUTORZE

Michał Mędlewski urodził się 30 września 1912 r. w leśniczówce Wielonek koło Ostroroga. Był synem Wendelina i Michaliny (z domu Paprockiej). Tuż po zakończeniu I wojny światowej wraz z rodziną przeprowadził się do **Dąbrowy koło Wolsztyna**. Kolejna przeprowadzka rodziny miała miejsce w 1922 r., kiedy to jego ojciec objął posadę leśniczego w **Nadleśnictwie Czarny Las** w leśniczówce Strzelok w Lublińcu.

Od jesieni 1922 r. uczęszczał do Szkoły Powszechnej w Lublińcu. W tym też czasie zapisał się do **Związku Harcerstwa Polskiego** i działał w **I Męskiej Drużynie Harcerskiej im. Tadeusza Kościuszki**. Był jednym z pierwszych harcerzy, którzy w 1924 roku na lublinieckim rynku składali **przysiężenie harcerskie**. Wziął udział w obozie harcerskim na terenie **Nadleśnictwa Czarny Las w 1924 r. (lub w 1925 r.)** prowadzonym przez instruktorów z Katowic.

Latem 1925 roku wraz z rodziną po raz kolejny zmienił miejsce zamieszkania. Ojciec Michała został nadleśniczym w lasach Ordynacji Zamoyskiej w **Maziarni Strzeleckiej**, gdzie zmarł dwa lata później.

Michał Mędlewski maturę zdał w 1932 r. w **Różanymstoku** w prywatnym salezjańskim gimnazjum neoklasycznym. Rok później zmarła jego matka **Michalina Mędlewska**. Po zdanej maturze odbył służbę w **Brodnicy**, gdzie skończył **szkołę podchorążych**. **Studiował na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego**. 12 października 1937 r. **poślubił Helenę Januszewską**, córkę Józefa Januszewskiego, społecznika, kierownika Szkoły Powszechnej w Wyrzysku.

W latach 1937–1939 pracował w **Zarządzie Miasta w Nakle nad Notecią**. W 1939 r. wziął udział w kampanii wrześniowej jako podporucznik i adiutant dowódcy Batalionu Obrony Narodowej

„Nakło”. Ze swoim oddziałem walczył nad Bzurą u boku jednostek Armii „Pomorze”. W połowie września dostał się do niewoli niemieckiej. W listopadzie został przetransportowany do **Oflagu VIIA w Murnau** (Górna Bawaria), gdzie przebywał do zakończenia wojny.

Do Polski wrócił we wrześniu 1945 roku. Pracował w Samorządzie Powiatowym w Wyrzysku, następnie w Prezydium Rady Narodowej w różnych jednostkach organizacyjnych. **W 1975 r. przeszedł na emeryturę.**

8 czerwca 1997 roku zmarł w Nakle nad Notecią. Spoczął na cmentarzu w Wyrzysku. **W 2016 r.** jego prochy zostały przeniesione do rodzinnego grobowca znajdującego się na cmentarzu w Nakle nad Notecią.

Debiut literacki Michała Mędlewskiego datuje się na rok 1930, kiedy to opublikował swoje wiersze w „Dzienniku Bydgoskim”. W 1932 r. pracował jako redaktor w wydawanym w Nakle „Głosie Krajny”. W obozie jenieckim w Murnau powstał tomik poezji zatytułowany „Słońce w dolinie”. Po wojnie jego artykuły pojawiały się na łamach „Kurieria Polskiego”, „Ilustrowanego Kuriera Polskiego”, „Tygodnika Demokratycznego” czy też „Ziemi Nadnoteckiej”. W latach osiemdziesiątych opublikował powieści: „Ściana gniewu” (1980), „Stacjonata” (1985) oraz tom wierszy „Ogień z nieba” (1989). W 1992 r. powstał kolejny tom wierszy „Widoki moje”. Ukończona w 1988 roku powieść dla młodzieży „Tajemnica Czarnego Lasu” nie została opublikowana za życia pisarza. Już po jego śmierci Towarzystwo Przyjaciół Wyrzyska w 2016 r. wydało „Bajki dla Bożenki” i „Korespondencję do żony i córki z Oflagu VIIA Murnau”. W 2019 r roku wydana zostaje także powieść „Tajemnica Czarnego Lasu”.

Bartłomiej Zbączyniak



*Michał Mędlewski w Parku Grunwaldzkim w Lublińcu w 1925 r.
(drugi od prawej strony)*

ROZDZIAŁ I

– Wyjrzyj no, Romek, przez okno. Co się tam dzieje? – pani Michalina zawołała syna, zamykając za sobą drzwi wiodące z korytarza hotelowego do obszernego pokoju. Już na klatce schodowej usłyszała przytłumione odgłosy muzyki.

Romek przez chwilę mocował się z małą mosiężną klamką okienną, która jak na złość zacięła się, a kiedy wreszcie ustąpiła i okno stanęło otworem, do pokoju wtargnęły dźwięki muzyki.

Chłopak z początku oniemiał, słowa nie mógł wymówić na widok tego, co zobaczył. Wraz z ojcem i matką oraz siostrami mieszkali od kilku dni w hotelu na lublinieckim rynku, słyszał rozmowę rodziców o angielskim wojsku, które lada dzień miało opuścić miasto, ustępując oddziałom polskim, ale nigdy nie spodziewał się zobaczyć żołnierzy w spódniczkach.

– Mamo, mamo, zobacz: kapela wojskowa i wojsko maszeruje, grają na dudach, ale zamiast spodni mają spódnice.

– A to ci dopiero – pani Michalina zaśmiała się, wychylając się z okna. To Anglicy, pewnie już wyjeżdżają. Pokiwaj im na pożegnanie. Lada dzień wejdą nasi.

– Jacy nasi?

– No nasi, Polacy.

– Polskie wojsko? – w głosie syna pani Michalina wyczuła radość i niedowierzanie.

– Tak, nasze polskie wojsko. Pomachaj Anglikom chusteczką.

Więc Romek wywijał chusteczką ile sił. Z okna pierwszego piętra miał wgląd na cały rynek wybrukowany, jak mówił tata, „kocimi łbami”.

Tymczasem kobziarze, przygrywając maszerującemu za nimi oddziałowi piechoty, zaczęli już wchodzić w wąską ulicę, prowadzącą w kierunku stacji kolejowej. Rynek wypełniało wciąż jeszcze nie milknące echo muzyki, kolumna wojska w mundurach khaki

i czapkach nasuniętych na czoło oraz gromada zaciekawionej ludności cywilnej.

Na czele każdego z trzech oddziałów szli oficerowie. Każdy z nich trzymał w ręku cienką, czarną laseczkę, zakończoną srebrną gałką. Do żołnierzy co rusz podbiegała któraś z dziewczyn. Wtedy Romek widział bukieciki kwiatów i szybkie ruchy rąk. I wtedy też, w równych dotąd szeregach, powstawało zamieszanie, ale tylko na chwilę, bo potem znów nastawał porządek i rytmiczny marsz. „Żołnierze, żołnierze idą” – mówił, sam nie wiedząc, czy do siebie, czy do mamy, stojącej za nim.

Gdy żołnierze już przeszli i nawet echo muzyki już nie docierało do niego, wybiegł z pokoju.

– Gdzie cię znowu niesie, tata będzie lada chwila.

– Ja tylko tak, zaraz wrócę.

Pani Michalina usłyszała tupot nóg, a potem głucho trzaśnięcie drzwi na parterze.

Rynek już pustoszał.

Tu i ówdzie stały jeszcze grupki ludzi, ale i one topniały, ludzie rozchodzili się, gestykulowali i żywo komentowali wymarsz Anglików.

Romek był jeszcze słabo obeznany z topografią miasta. Przecież dopiero przed paru dniami przyjechał tu z całą rodziną i resztą rodzeństwa. Mimo że ojciec leśniczy urodził się niedaleko stąd, w Jeżowej, to Romek nigdy wcześniej w Lublińcu nie był. Pan Malewski po zakończeniu akcji plebiscytowej, w której wraz z najstarszą córką Henryką brali czynny udział, gdy tylko powiat lubliniecki przypadł Polsce, nie zwlekał ani dnia, aby objąć stanowisko leśniczego w Nadleśnictwie Czarny Las. Niestety, w leśniczówce zamieszkiwał jeszcze leśniczy – Niemiec. Trzeba więc było kilkanaście dni poczekać, aż się wyprowadzi. Na razie rodzina Malewskich zakwaterowana została w hotelu.

Romek hotelu nie lubił. Wszystko tu było obce: krzesła, stół, łóżka, nawet obrus na stole. Ściany bez rogów jeleni wydawały mu się gołe i zimne. W korytarzu na parterze zalaływało kwaśnym piwem. Zapach ten docierał z sali restauracyjnej aż na piętro. Przed zmierzchem zaś buchał z niej gwar. Tu wieczorami zbierali się mężczyźni, aby przy kuflu piwa pogadać o sytuacji i o czasie,

który nadszedł. Każdy dzień przynosił coś nowego, coraz bardziej ciekawego.

Romek w swoich popołudniowych wędrówkach nie zapuszczał się daleko, nie znał też nazw ulic. Zresztą po tablicach z nazwami niemieckimi zostały już tylko ślady na murach. Wiedział, że z każdego narożnika rynku biorą początek ulice: jedna w dół w kierunku sądu i dalej, do koszar, inna do gmaszyska z napisem „Konsum” i stacji kolejowej, zaś największa i wcale do ulicy niepodobna, po minięciu budynku kina, pogodziła się widocznie ze swym losem i przeszła niepostrzeżenie w mało uczęszczaną dróżkę. Wreszcie ta główna, najważniejsza, bo najszersza, prowadząca w kierunku przędzalni buczonej codziennie na fajrant. Kilka miesięcy później, gdy mieszkając w leśniczówce, Romek będzie odwiedzać miasto, najchętniej chodzić będzie właśnie tą ulicą. Wtedy też na murze narożnej kamienicy z kolorowym szyldem „Drogeria i Perfumeria – właściciel Z. Piotrowski” naprzeciw fabryki lakierów Brylińskiego, zobaczy już napis polski: ulica Józefa Lompy.

Teraz jednak Romka ciągnęło za wojskiem. Kiedy pozostawił za sobą szerokie, ciężkie drzwi hotelu i postąpił kilka kroków w lewo, ku ulicy, którą pomaszerowało wojsko, zdawało mu się, że słyszy w drzwiach głos mamy „Romek wracaj!”. Nawet się obejrzał, ale mamy nie zobaczył, więc utwierdził się w przekonaniu, że mu się tylko zdawało. Ruszył dalej. Zaczął biec, wymijał jakichś ludzi, kluczył między nimi, potykał się o nierówności chodnika, wyprzedzał nieznanomych rówieśników, aż dopadł wreszcie ostatniej czwórki Anglików.

Z wąskiego chodnika zszedł na jezdnię, szybko zbliżył się do żołnierzy maszerujących dziarsko w takt bębna. Jego głuchy łoskot przebijał się do czoła kolumny przez jęklive zawodzenie kobziarzy, wpadał w uszy echem odbitym od wysokich domów i zmuszał nogi do miarowego taktu, zgodnego z równym krokiem żołnierzy.

Jakiś wyższy od niego i chudy chłopak, w krótkich spodenkach i rolowanych na kostkach pończochach, wykrzykiwał chrapliwie: – lewa, lewa!

Inny, puciołowaty piegus z włosami na jeża, popchnięty przez tamtego niby to niechący, wpatrując się w niego z udanym zdziwieniem, zapisał:

– Robert, patrz, dziolcha w galotach!

Romek zaaferowany wojskiem i muzyką z początku nawet nie zauważył, że to pod jego adresem. Gdy jednak z kolei Piegus, widocznie niezadowolony z tego, że Romek nie reaguje na zaczepkę, wrzasnął „dziolcha, dziolcha” – rozumiał, że to o niego chodzi, że to prześmiewki z jego długich włosów. Czuł, jak krew uderza mu do twarzy ze wstydu, z żalu, a najbardziej chyba ze złości.

Chudy tylko na chwilę przestał drwić z niego. Paroma krokami wyprzedził go, długą ręką objął Piegusa i jak gdyby nigdy nic, znów zaczęli obaj towarzyszyć żołnierzom w marszu. Po chwili znów ich coś podkusiło, stanęli, a gdy Romek zrównał się z nimi, zaczęli na nowo skandować teraz już w duecie:

– Dzioł-cha, dziol-cha...

Stacja kolejowa była już blisko, orkiestra przestała grać, marsz żołnierzy stracił na werwie, każdy z trzech oddziałów miał inny krok. Romkowi wydawało się, że ten potok ludzi w mundurach faluje jakby pod naciskiem wiatru.

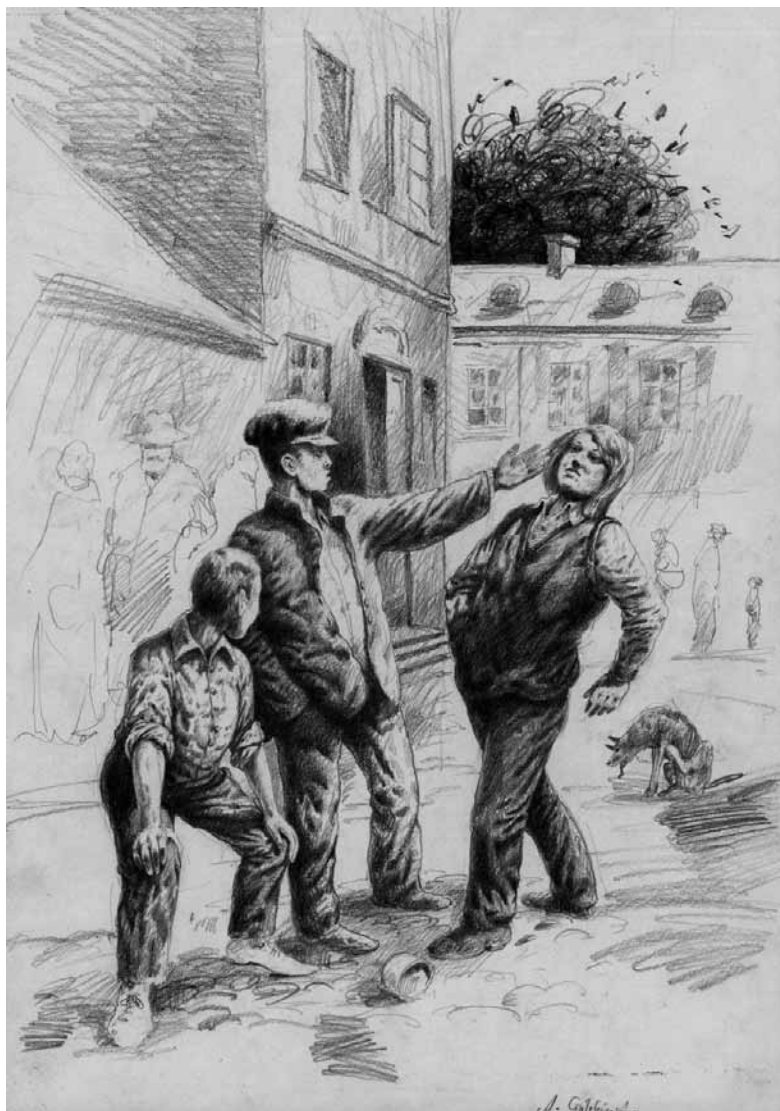
Na placu przed budynkiem dworca Romek był świadkiem małej uroczystości. Gdy padły gardłowe i dla Romka niezrozumiałe komendy, oddział żołnierzy ustawiony w podwójny szereg zastygł w bezruchu. Potem jacyś panowie w cywilu rozmawiali z oficerami angielskimi, ściskali sobie ręce, znów grała orkiestra, wreszcie żołnierze zaczęli długimi rzędami wchodzić na rampę kolejową, a z niej do wagonów.

Plac opustoszał.

Romek zreflektował się, że po raz pierwszy tak daleko oddalił się od hotelu. Nie wiedział, ile czasu upłynęło, nie znał ulic, którymi należało wrócić, ale za to wiedział, że rodzice nie będą z jego wycieczki zadowoleni. Co im powie? Nie, nie będzie kłamał, ale czy oni rozumieją, że pociągnęło go za sobą wojsko i kobziarze?

Nagle zobaczył Piegusa.

Właśnie skręcał w ulicę, którą nadeszło wojsko. Tuż za nim posuwał się w podskokach Chudy. Nogą potraçał pustą blaszaną puszkę. W pewnej chwili puszka potoczyła się pod nogi Piegusa, który z woleja przerzucił ją z powrotem do tamtego. Widocznie obaj uznali to za wspaniałą zabawę, bo pokrzykując wesoło rozbiegli się, każdy w przeciwną stronę ulicy i zaczęli z łoskotem



-Robert, patrz, dziolcha w galotach!

przerzucać blaszankę z jednej strony na drugą. Przechodniów było niewielu, więc nikt im w tej zabawie nie przeszkadzał.

Romek ostrożnie posuwał się za nimi, wierząc, że w ten sposób najkrótszą drogą trafi znów na rynek. Nagle Chudy obejrzał się, zobaczył go i poznał, gdyż przerwał kopanie puszek, wydał indiański krzyk i podbiegł do niego.

Teraz Romek mógł z bliska przyjrzeć się jego twarzy. Była pociągła, prawie chuda, skóra w kolorze trwałej opalenizny doskonale harmonizowała z ciemnymi włosami sterczącymi we wszystkich kierunkach. Na Romka patrzyły ciemne oczy. Mimo zaczepnie wyciągniętej ku jego włosom ręki Chudego, Romek nie mógł się oprzeć wrażeniu, że w tych oczach nie ma złości, przeciwnie, są raczej rozbawione i jakby zaciekawione spotkaniem.

– Te, jesteś karlus czy dziółcha, godej!?

Romek już, już chciał energicznym ruchem odepchnąć rękę Chudego, gdy nagle powietrzem targnął głośny wybuch. Chłopakowi zdawało się, że w plecy uderzyła go niewidzialna fala powietrza. Z otwartych okien wychylali się ludzie, zaciekawieni i wystraszeni wybuchem. Niektórzy z nich wybiegli na ulicę.

Ręka Chudego opadła, a on sam na moment znieruchomiał, potoczył oczami po dachach domów, po niebie, jakby w poszukiwaniu przyczyny wybuchu i naraz krzyknął, wskazując w stronę stacji kolejowej:

– Tam!

– Kaj? – zapytał wystraszony Piegus, który w tym czasie nadbiegł za Chudym.

Tamtę już nie odpowiedział, wpatrzony był w głąb ulicy, na końcu której, jak jasna plama na zielonym tle, szarzał wśród przyulicznych kasztanów fronton budynku dworca.

Właśnie tam, nieco w prawo, Romek ujrzał kłęby dymu wzbijającego się w górę. To chyba rampa kolejowa – pomyślał, nie wiedząc jednak, jaki ona może mieć związek z wybuchem i tą chmurą dymu.

Chudego i Piegusa już przy nim nie było, widział ich biegnących z powrotem w kierunku stacji.

ROZDZIAŁ II

Pani Michalina pochyliła się nad stołem i świeżo wyprasowanym obrusem. Od czasu do czasu spoglądała w stronę Romka, który z Wandą układał książki w drewnianej polerowanej skrzynce. Romek z sióstr tylko ją dopuszczał do swoich skarbów, jak kiedyś sam nazywał książki, które troskliwie przechowywał. Żałował, że skrzynki nie może zamknąć na klucz. Ileż to trzeba było perswazji mamy, aby tego nie czynił, gdyż nie godzi się, aby dzieci miały tajemnice przed rodzicami.

Jakie tajemnice – dziwił się – przecież wszystkie książki otrzymał w prezencie z okazji imienin, urodzin czy pierwszej komunii świętej. Niektóre należały do sióstr, ale skoro się zgodziły na to, że on je będzie przechowywał, to tak, jakby już wszystkie były jego. Przeczytałby je już dawno, gdyby nie tata. „Czytaj, czytaj, ale nie kosztem oczu i lekcji” – powiedział, gdy pewnego razu złapał go na czytaniu w nocy przy pełni księżyca. Była to książka o historii Litwy, o Kiejstucie i Giedyminie, o ich wierze w leśnych bogów, o królu Jagielle i księciu Witoldzie, wreszcie o bitwie pod Grunwaldem. Jakie to wszystko ciekawe. Nie mógł się od niej oderwać.

Ale przecież miał jeszcze inne. „Dzieci kapitana Granta”, „Wśród koralowych raf”, „W pustyni i w puszczy”, „Podróż do Ziemi Świętej” i o Guliwerze, o wspaniałym psie Dżoku i wiele innych, trochę już podniszczonych, ale co z tego, skoro bez nich nie umiał się obejść.

Romek lubił to wieczorne czytanie, choć nieraz bywało krótkie, najczęściej przerywane czymś wejściem do jego pokoju. Ale zanim to następowało, postacie z puszczy i lasu, z dalekich mórz, dżungli nabierały ciekawych, czasem nawet tajemniczych wymiarów i zawsze spowijała je mgiełka niewyrazistości i czegoś nieznanego. Dziwnym zdarzeniom, zaznaczonym w książce nowym akapitem zaczynającym się od słów „nagle”, „wtem” wieczór

nadawał rangę czegoś zagadkowego i zawsze ciekawego. „Dżok” – pies prerii, wierny przyjaciel i obrońca człowieka gdzieś tam w Afryce. Jakże chciałby mieć takiego psa, gdy zamieszkają już w leśniczówce. Albo żelazne zbroje spod Grunwaldu – jak one musiały chrzęścić, gdy rycerze pędzili na koniach, które kopytami nie dotykały ziemi.

Jak tylko opuszczą hotel, zaraz zaczną czytać „Potop”. Wprawdzie nie wie jeszcze, co jest treścią tej książki, ale mama mówiła, że to o dawnej Polsce i bitwach stoczonych w jej obronie. Teraz, kiedy znów Polska jest niepodległa, wolna, chciałby o niej wszystko wiedzieć.

Głodził i równo układał w skrzyneczce te swoje skarby.

– Po niedzieli przeprowadzimy się wreszcie do leśniczówki – powiedziała pani Michalina, nie odrywając oczu od niebieskiego obrusu, wygładzając jego fałdy.

– Hura! Nareszcie – zawołał Romek, a Wanda wstała z klęczek i podeszła do mamy.

– Czy aby na pewno? Mieliśmy tu mieszkać tylko kilka dni, a minęły już dwa tygodnie.

– Źle wam tu?

– Pewnie, że źle – oboje zawołali prawie równocześnie.

Pani Michalina westchnęła.

– Macie rację, hotel to nie własne mieszkanie.

– I nie las, mamó – cicho dodał Romek.

– Tak, i nie las...

Pani Michalina powiedziała to głosem, w którym można było wyczuć tklivość. Przecież związała swe losy z człowiekiem tak rozmiłowanym w lesie, że sama nie wiedziała, kogo on kocha bardziej, ją czy las. Wyrosła w domu, z którego wystarczyło tylko rękę wyciągnąć, aby ku sobie nachylić ciemne gałęzie świerków, nad którymi zastygły siwe strużki lepkiej żywicy, wiosną wybiec na skraj brzeziny, natoczyć do kubka wody brzozowej albo pójść boso w samostrzelskie łągi i poczuć chłód rosy. Więc sama w przyrodzie i jej cudownościach rozkochana, dzieliła z mężem jego leśne wędrowanie. Nie lubiła miasta, jego kamiennych bruków i domów, zapachu mydlin i nafty, krzyków i tłoku. Pobyty w hotelu przyjęła jako dopust boży i przymusową kwarantannę. Nastrój niecierpliwego wyczekiwania starała się łagodzić nieustanną ruchliwością,

do której zmuszała siebie i nakłaniała dzieci. Decyzję męża przeprowadzenia się po plebiscycie na Górny Śląsk, w jego rodzinne strony, przyjęła z niepokojem. Śląsk kojarzył się jej z tysiącem dymiących kominów, z kopalniami i hałdami – gdzie tu miejsce na las? Tymczasem w mieście i okolicy, dokąd przybyli, jak zdążyła się zorientować, nie było nic z tych okropności. Miasto było spokojnie wkomponowane w pola i łąki, zaś od zachodniej i południowej strony przylegały do niego duże kompleksy leśne.

Do pokoju wszedł pan Malewski z gościem, którego przedstawił żonie.

– To pan Wielgos. Jest dzierżawcą młyna wodnego, niedaleko stąd, za miastem. Tam pewnie jeszcze nie dotarliście, co?

– Nie, może kiedyś – uśmiechnęła się pani Michalina spoglądając na Wandę.

Romek obserwował gościa. Pan Wielgos był średnim wieku, z krótko przystrzyżonym wąsem. Co chwilę nerwowym ruchem ręki gładził szpakowate włosy, jakby w obawie, że po zdjęciu czapki włosy ułożyły się w niesforne kępki, przeczące łagodności, jaka była od jego pogodnej i uśmiechniętej twarzy.

– Zapraszam, zapraszam w pogodny dzień na przechadzkę nad wodę. I sąsiedztwo godne: klasztor ojców oblatów. Zapraszam pani leśniczyno.

Potem między gościem a leśniczym potoczyła się rozmowa o drzewie potrzebnym Wielgosowi do remontu młyna.

– Młyn jest już stary. Wodniak jak wodniak, cały z drewna, panie leśniczy, w dodatku duża jego część narażona jest na zmiany atmosferyczne. W słońcu drewno się rozsycha, a jak znów deszczu i wody się napije, to pęcznieje, zimą mróz zetnie i tak w kółko. Nie ma spokoju, wiecznie trzeba coś wymieniać, przybijać nowe, wyrzucać stare. Młyn potrzebny, panu tego nie muszę mówić. Chodziłem do Neumanna, co był przed panem. Z początku traktował mnie przychylnie, ale ostatnio, gdy zmiarkował, że głosowałem za Polską, to zawsze uparcie odpowiadał: „verboten” i „verboten” – zakazano i zakazano.

– Pan nie wie, że „verboten” jest ich ulubionym słowem?

– Niby wiem – Wielgos znów przyglądał włosy – ale czasem było tego za wiele. Gdybym był Niemcem, byłoby mniej tego „verboten”. Póki nie miałem awantury z orgeszowcami, jeszcze szło,

później Neumann wcale ze mną nie chciał gadać, a policję stale miałem na karku, a to o porządek w obejściu młyna, a to, że zbyt wysoko piętrzę wodę i w ogóle takie tam bzdury. W rzeczywistości chodziło im chyba o obrzydzenie mi życia.

– Powiedział pan orgeszowcami? – zaciekał się leśniczy.

– Tak, orgeszowcami. Pani ich przecież też zna.

– Kto by ich na Śląsku nie znał! W czasie plebiscytu byłem na terenie tego powiatu. Już wtedy orgeszowców nie brakowało. Ich bojówki były niemal uzbrojone jak wojsko. A co miał pan z nimi wspólnego?

– Wspólnego nic, uchowaj Boże! – zachnął się Wielgos. Naraziłem się im i z tego wszystkiego ledwie wyszedłem cało.

– Czym się pan im naraził?

– Panie to długa historia, ale jeśli pana leśniczego ona zacieka, mogę opowiedzieć – tu Wielgos spojrział na panią Malewską.

Zrozumiała intencję gościa.

– Niech pan opowie mężowi, te sprawy go interesują, ja już pana pożegnaj i wyjdę z dziećmi na zakupy do miasta. Nie przeszkadzajcie sobie. A ty, Romek, ze mną czy z tatą?

Romka zaciekało opowiadanie Wielgosa o młynie. Domyślał się, że jego opowieść o bojówkarzach niemieckich może być jeszcze bardziej interesująca. Spoglądając z obawą na ojca, powiedział niepewnie:

– Wolalbym zostać...

– Zostań, nie szkodzi jak i ty o nich posłuchasz.

Wyposażenie meblowe pokoju hotelowego było skromne, więc Romek usiadł na skrzynce z książkami, brodę wbił w ręce oparte na kolanach i zaciekawiony wzrok utkwiał w twarzy gościa.

– Pan leśniczy pali? – Wielgos wyjął małe pudełko z papierosami. Romek zauważył, że były płaskie i miały złoty ustnik. Ładne – pomyślał – chyba tata nie odmówi.

Pan Malewski rzeczywiście nie odmówił.

Za chwilę pokój wypełniły chmurki niebieskiego tytoniowego dymu.

– No, więc jak to, panie Wielgos, było z tymi orgeszowcami?

– Zaskoczyli mnie, bestyje, w nocy, po ćmoku, rok temu, akurat kilka dni przed wybuchem powstania. Wszystko wrzało z powodu tych plebiscytowych machlojek. Koniec kwietnia, mało

wody szło na koło, tyle co kot napłakał. Do przemiału zboża nie przyjmowałem. Pomocnikowi z miasta kazałem iść do domu, bo co mi po nim, kiedy koło stoi. W ten wieczór żona i syn poszli spać, a ja tak z godzinę jeszcze posiedziałem koło śluzy. Patrzyłem jak od strony miasta zaciągało się coraz bardziej i bardziej, a potem naraz zadudniło i zabłysło. Będzie woda, może jutro albo pojutrze, pojedziemy młynem, pojedziemy – myślałem. Niedługo trwało, a zaczęło rąbać i łać jak z cebra. Poszedłem spać. Niektórzy ludzie, panie leśniczy, w czasie burzy nie mogą spać ze strachu chyba czy z nerwów, ale ja tam śpię wtedy jeszcze lepiej. Panie, w okopach pod Cambrai¹ grzmot dział był jeszcze większy, a spało się, prawda? A widzi pan, kto to przeszedł, ten wie. No więc spałem jak zabity, żona, syn, też. Wszystko z tego powietrza i tej elektryczności. Rano, jeszcze ze śpikiem w oczach poleciałem sprawdzić, czy jest woda. Była i to duża. Naszła przez noc. Starczy, pomyślałem, na kilka dni. Z tego wszystkiego o śniadaniu zapomniałem, ze stodoły czegoś mi było trzeba, więc idę. Otwieram boczne drzwi, szeroko, żeby lepiej wiedzieć, wchodzę, a tu, jak mnie coś nie walnie w łeb, myślałem że burza obłuźniła belkę i teraz ta belka spadła na mnie, chwytam się za głowę, macam, a tu belki nie ma, tylko na nogach ustać nie mogę. W dodatku słyszę, że drzwiczki za mną się zamknęły, zrobiło się ciemno, własnego nosa nie widziałem. Nagle w twarz uderzyło mnie światło latarki elektrycznej. Ktoś syknął: „Halt” (Stój). Potem też po germańsku „Siadaj”. I pytanie: „Nazywasz się Wielgos? Ile masz lat?” i inne. Na wszystkie im odpowiedziałem. Światło wciąż biło mi w oczy. Po chwili, gdy już zupełnie oprzytomniałem, po cieniach poznałem, że napastników musiało być kilku. Kazali mi przynieść chleba, mleka i kiełbasy. Zagrozili, że utopią mnie w stawie, jeżeli zdradzę komuś ich obecność. Przykazali, abyśmy z żoną i synem przez trzy dni do miasta nie chodzili. Młyn, choć wody było pod dostatkiem, miał stać nieczynny. Ludziom kazali skłamać, że zepsuty. Syn Artur, inwalida, trochę popędliwy, bo młody, rwał się do bicia. Mówiłem, że to orgeszowcy, poznałem ich przecież po ich ciemnych czapkach. Wiedziałem, że mają broń i nie cofną się nawet przed zabójstwem. Nie słuchał, dopiero

1 Bitwa w 1917 r. (I wojna światowa) pomiędzy Brytyjczykami i Niemcami, podczas której po raz pierwszy raz w historii użyto czołgów



Wiedziałem, że mają broń i nie cofną się nawet przed zabójstwem

żona wybiła mu z głowy zaczepkę. Na drugi dzień zmiarkowałem, że orgesze w dzień ukrywają się w stodole, a w nocy wychodzą na akcję. Rano nadrzecznymi chaszczami wracają. Potem, gdy już ich w młynie nie było, dowiedziałem się, że w Wesolej o mało nie zabili oberżysty Stryczka, a w Droniowiczkach pobili dwóch gospodarzy patriotów, którzy głosowali za Polską. Gdy przyszła druga noc, myślę sobie, że trzeba się jednak wybrać do naszych, do miasta i powiedzieć o moich nieproszonych gościach, może coś mądrego wspólnie wymyślimy. Mówię o tym żonie, a ta w płacz, nie idź, mówi, bo nas spalą albo potopią. Nie usłuchałem jej, idę, już mam skręcić na drogę do miasta, a tu słyszę: „Halt”. Okazało się, że jeden z nich stał na warcie. Widać nie wierzyli mi. Kazał zawrócić, pytał, czy chcę być utopiony w tym mule. I tak minęły te trzy dni, w ciągłym strachu. Gdy się wynieśli, obejrzelśmy ich legowiska. Nic po sobie nie zostawili. Syn ma dobre oczy, znalazł napis wyskrobany na belce: „Org.Esch”. I tyle po nich. Dziś panie leśniczy, trochę mi wstyd, że tak się dałem zastraszyć tym chacharom.

–No, no, panie Wielgos, nietrudno przewidzieć, jak wyglądałby pan, wypowiadając im walkę w pojedynkę.

–Człowiek był na wojnie pod Cambrai i St. Quentin, śmierci nieraz zaglądał w oczy. Chociaż mam przestreloną rękę, wszystko przeżyłem, wróciłem do swoich, dopiero tu mogłem być utopiony w mule jak piskorz.

Romek słuchał opowiadania Wielgosa z wypiekami na twarzy. Burza i pioruny w nocy nad stawem i młynem i ci straszni orgeszowcy – wszystko to zrobiło na nim wrażenie. Czy oni naprawdę utopiliby pana Wielgosa? Pewnie tak. Najpierw zawiązałyby mu ręce z tyłu, podprowadzili pod służę, tam, gdzie jest najgłębiej i zepchnęli do wody. Człowiek ze związanymi rękoma musi się utopić. Romek jeszcze nie widział człowieka, który zginął w ten sposób, tylko słyszał, jak tata kiedyś opowiadał o wojnie i utopionych żołnierzach. Okrutni muszą być ci ogreszowcy. Jak korsarze albo Krzyżacy. Tylko nie mógł zrozumieć tego, co pan Wielgos mówił o tym piskorzu. Jak on to powiedział, że „mógłby być utopiony w mule jak piskorz?”. Przecież piskorze właśnie żyją w mule, a w ogóle, czy piskorza można utopić? Przecież to ryba! A niech tam, tak czy owak, Romek lubił takie opowiadania.

Leśniczy także słuchał z zaciekawieniem.

– Wie pan, co oznacza skrót wyskrobany na belce w stodole?

– zapytał na koniec.

– Domyślam się, że ma to coś wspólnego z nazwą „orgeszowcy”.

– Tak. To oczywisty dowód, że pana gośćmi byli członkowie niemieckiej nacjonalistycznej bojówki występującej pod nazwą „Organisation Escherich”. Na jej czele stoi major Georg Escherich, swoją bazę mają w Bawarii. Właśnie członkowie tej organizacji, niezmiernie licznej i silnej, grasowali i terroryzowali Polaków w czasie plebiscytu, a zaraz potem brali udział w tłumieniu trzeciego powstania. Słyszał pan o powstańcach pomordowanych w lesie pod Zębownicami? Byli potem przewiezieni do Lublińca. Jestem przekonany, że wśród morderców byli również orgeszowcy.

– Widziałem, widziałem tych pomordowanych mizeraków. Byli tak zmasakrowani, że aż strach było patrzeć. Ludziom pozwolono ich oglądać. Przyjechali też jacyś obcy, pewnie dziennikarze, bo robili zdjęcia i wypytywali. Ja sam byłem krótko w oddziale Lubosa. Otoczyliśmy Niemców tu w naszym Lublińcu, ale miasta nie opanowaliśmy, bo przeszkodzili nam Anglicy. Ci sami, co dwa dni temu stąd wyjechali. Moja mi mówiła, że znalazły się głupie dziolchy, które ryczały za nimi.

– O dziewczynach nie wiem – pan Malewski uśmiechnął się pobłaźliwie – ale o tych pomordowanych to wiem. Od znajomego kapitana. Nazywa się Alojzy Nowak. W ostatnim powstaniu był dowódcą grupy „Północ”. O ile się nie mylę, to podlegał mu wasz oddział pod dowództwem Karola Lubosa.

– To pan go znał? – zapytał Wielgos.

– Lubosa?

– Nie, kapitana Nowaka?

– Tak, i to bardzo dobrze. Bywał w naszym domu w Dąbrowie, koło Wolsztyna. W powstaniu miał pseudonim „Neugebauer”. Ty musisz go pamiętać – pan Malewski nagle zwrócił się do Romka. Bałeś się jego marsowej miny. Potem zaprzyjaźniliście się, siadałeś mu na kolanach.

– Miał ładny order – Romek z entuzjazmem potwierdził przyjaźń i pamięć, którą potem o bohaterze spod Dobrodzienia i Krupskiego Młyna, zachowa na całe życie.

– A skoro już mowa o orgeszowcach, panie Wielgos, to wcale nie jestem taki pewny, czy oni na dobre opuścili teren naszego Śląska...

– Nie może być, dlaczego?

– Dlatego, że ta organizacja tak łatwo się nie pogodzi z tym, że większa część Górnego Śląska wraz z Katowicami, przypadła Polsce.

– Tak pan myśli, panie leśniczy?

– Właśnie tak.

Romek zauważył, jak pan Wielgos z przyzwyczajenia otwartą dłonią znów pogładził włosy, które i tym razem, wbrew jego obawie, posłusznie przylegały do głowy.

– Czemu jednak pan tak myśli? – Wielgos wciąż był ciekawy.

– Pan mieszka za miastem, niewiele wie z tego, co się dzieje. Kilka dni temu na stacji kolejowej, gdy do wagonów pakowali się żołnierze angielscy, jeden z wagonów wyleciał w powietrze. Na szczęście obyło się bez ofiar, bo do tego wagonu nikt jeszcze nie wszedł. Pan wie tylko o dziewczynach, a o tym już nie – Malewski dodał z udanym wyrzutem.

Młynarz widocznie przejął się tym, co usłyszał, ze zdumieniem kiwnął głową.

– Nie słyszałem o tym. A czy sprawcę schwytano?

– Gdzieżby tam, szukaj wiatru w polu. Jak pan myśli, komu mogło zależeć na śmierci Anglików?

– Nie mam pojęcia, chociaż – Wielgos na chwilę zawiesił głos – chociaż wydaje mi się, panie leśniczy, że na pewno nie naszym, chciałem powiedzieć, nie Polakom.

– Widzi pan, wobec tego na pewno Niemcom. Korzystają z tego, że nasza policja jest dopiero w trakcie organizacji.

– Tak, to racja, na pewno racja.

– Tylko, że na tym nie koniec, panie Wielgos. Podejrzewam, że orgeszowcy nadal mają tu swoich bojówkarzy wśród niemieckiej ludności. Ci, którzy optowali za Niemcami, muszą wprowadzić nasz teren opuścić, jednak niejednym zanim to uczyni, da się namówić do złego.

Romek miał już powiedzieć ojcu, że on nie tylko słyszał, ale nawet widział dym z palącego się na stacji wagonu, gdy do pokoju wróciły pani Michalina z dziewczynkami. Zrezygnował

z przypominania tamtego dnia, zwłaszcza spóźnionego powrotu, którym spowodował gniew rodziców. Opowiedział wtedy, jak to Chudy i Piegus wyśmiewali się z jego długich włosów i nazywali go „dziolochom”. A przecież to nie jego wina, że ma takie włosy. To siostry są temu winne, to one uparły się mieć brata z dziewczynskimi włosami, na jego wstyd i pośmiewisko. Powiedział wtedy, że już więcej nie wyjdzie na ulicę, nie pójdzie do szkoły i w ogóle. Na klapy od marynarki spadały mu duże jak grochy łzy, spływając po zaciśniętych pięściach na podłogę. Nie ścierał ich, niech wiedzą, jak to boli, a one patrzyły zdziwione i wystraszone jego desperackim wybuchem i łzami. W tym dniu skończyło się jednak tylko na nich. Na koniec tata zapowiedział: „Pójdiesz do szkoły, już cię zgłosiłem, jeżeli i tam spotka cię przykrość z powodu długich włosów, czeka cię fryzjer”. Słowa taty były święte. Romek musiał ulec, a po kilku dniach u fryzjera na ulicy Lompy nastąpiły prawdziwe postrzyżyny. Teraz wszystko z tamtego „dnia wielkich łez” przypomniało mu się, wołał jednak milczeć, zresztą co by pan młynarz o nim pomyślał.

Tymczasem Wielgos na widok pani Malewskiej i córek zerwał się z krzesła.

–Zasiedziałem się, a w domu robota. Dosyć narajcowaliśmy, pójdę już, tylko, panie leśniczy, proszę pamiętać o moim młynie. Jak pan drewnem nie poratuje, zginie.

–Nie damy, nie damy mu zginąć, jest i będzie nam potrzebny. Na drugi tydzień proszę przyjść po asygnatę, ale już do biura leśnictwa.

Romek długo nie mógł zasnąć. Tata mocno pochrapywał, a on myślał o nocnej burzy nad młynem i o orgeszowcach. I jeszcze o tym, jak też on zachowałby się, gdyby był na miejscu pana Wielgosa. Chyba pod osłoną nocy próbowałby uciec do miasta po pomoc. Ale do kogo, przecież nikogo jeszcze tam nie zna. Więc tylko do taty, chyłkiem, chyłkiem w krzakach nad stawem, potem, drogą do miasta, do hotelu albo... Romka ogarnęła senność. Do kogo, do kogo... Pytał siebie w myślach raz po raz, aż zmorzył go sen.

ROZDZIAŁ III

Budynek, w którym mieściło się Progimnazjum Miejskie, nie należał do najokazalszych gmachów w mieście. Posadowiony na mocnych fundamentach był co prawda solidną budowlą, jednak pozbawioną wszelkiego kunsztu architektonicznego. Grube mury z solidnej czerwonej cegły zdolne były z pewnością unieść nie jedno, ale dwa piętra, tymczasem musiały się zadowolić wysokim parterem i dwoma mansardami: jedną od strony gmachu sądowego, drugą od wąskiego dziedzińca szkolnego, który dopiero z zachodniej strony rozszerzał się, opadając łagodnie ku rzece. Całość budynku tworzyła przysadzistą bryłę, na dodatek pokrytą ciężką czerwoną dachówką.

Mimo braku elegancji i smukłości, gmach posiadał niezaprzeczalną zaletę: obszerne i suche sutereny. To właśnie w nich mieściła się „harcówka” Męskiej Drużyny Harcerskiej im. Tadeusza Kościuszki.

Nieliczny zespół ludzi podjął się zorganizowania młodzieży szkolnej w ruch, który w mieście nie miał ani wzorów, ani tradycji. W pierwszych miesiącach zastępy na swych cotygodniowych zbiórkach prezentowały się nieciekawie. Zwykle, cywilne ubrania chłopców nie podkreślały ich organizacyjnej przynależności. Dopiero przywiezione z Katowic pierwsze filcowe kapelusze z bardzo szerokimi rondami stały się niebywałą atrakcją. Szczęśliwi nieliczni ich posiadacze kroczyli na czele, gdy zastępy wychodziły w teren ze śpiewem i długimi grubymi laskami.

To już był szyk, radość i powód do dumy.

Pierwsze uroczyste słowa przyrzeczenia i las uniesionych rąk – pierwsza, do zapamiętania na całe życie, wierność Prawu Harcerskiemu, przysięga Bogu i Ojczyźnie.

Potem z niecierpliwością oczekiwane krzyże harcerskie. Też na całe życie.

I Romka przyjaciele, ci najbliżsi: Konrad Bazarnik – Profesor, Alojzy Gajek – Alojz, Franek Busler – Napoleon i ci, których spotkał podczas pierwszych dni pobytu w mieście: Robert Mak-sara – Chudy i Alfred Sikora – Piegus – doskonali w podchodach, dowcipni i weseli na zbiórkach, za to niesforni w marszach.

– Trochę oddechu po tej naszej uroczystości i trzeba będzie pomyśleć o wyjeździe na biwak – zawyrokował ma odprawie zastępowych druh Teodor Musielok, drużynowy.

Wakacje, dobra pogoda i doskonały nastrój w drużynie sprzy-jały realizacji takiego pomysłu. „Na biwak, na biwak!” – podchwycy-cono z radością na zbiórkach. Ścisły termin oraz miejscowość, w której drużyna będzie biwakowała, okryte były tajemnicą. Wia-domo tylko, że w trzech pierwszych dniach lipca ogłoszony zo-stanie alarm i zbiórka, potem wymarsz na stację kolejową i odjazd do miejsca biwakowania.

Ostatnia zbiórka pierwszego zastępu przedłużyła się o całą godzinę. Spekulacjom i domysłom nie było końca.

– Wszystko się zgadza, ale dokąd? – Napoleon, najniższy wzro-stem, nie potrafił ukryć zniecierpliwienia.

– Dokąd, dokąd, w tym właśnie sęk. Zastępowy wie, ale... – Alojz, wzruszywszy ramionami odwrócił się w kierunku ławki, na której z kolanami pod brodą siedział Profesor. Celowo nie dokończył zaczętego zdania, mając nadzieję, że koleżeńska, do której już wcześniej się odwoływał, weźmie górę i w wielkim sekrecie usłyszą wreszcie, gdzie będą biwakowali.

– Nie męczcie mnie, bo i tak wam nie powiem. Nie mogę. Nie rozumiecie, co to tajemnica harcerska? – druh Konrad zwany Profesorem z racji zawodu swego ojca, kierownika miejscowej szkoły, nie ustępował. Jedno tylko mogę wam powiedzieć, przy-gotujcie dobre buty.

Podniósł się rwetes.

– Po co, na co? Mówiłeś, że pojedziemy pociągiem, a teraz gadka o dobrych butach? – Franek Mrowiec nie mógł ukryć zdziwienia.

– Powtarzam jeszcze raz: Pojedziemy pociągiem, a potem pój-dziemy kawał pieszo – Profesor jak zwykle, wyjaśnił spokojnie i rzeczowo. Czy moja rada wydaje wam się zbędna?

–Dajcie spokój, nie męczcie druha zastępowego, dobrze, że choć to wiemy – zakończył ktoś rozsądnie.

Dwa dni później alarm został ogłoszony o szóstej rano.

Zastępy zostały postawione na nogi systemem alarmowym obowiązującym według ustalonego i przyjętego schematu. Drużynowy na wieczornej odprawie zastępowych wręczył im koperty z datą i godziną alarmu. Druhowie według specjalnego klucza zawiadamiali jeden drugiego. Nie zawsze jednak wychodziło to sprawnie. Tak też było i tym razem. Drużyna w pełnym składzie gotowa była do wymarszu na stację kolejową dopiero o ósmej, zamiast o siódmej. Przyszedł też czas na wyjawienie miejscowości, do której mieli się udać.

–O godzinie dziewiętej nastąpi wyjazd do Kalet. Stamtąd pie szo do miejscowości Woźniki. Na te słowa drużynowego wszyscy czekali z niecierpliwością.

–Aaa – zaszumiało i wszyscy w zastępach odetchnęli z ulgą. Nie ma już tajemnicy, wszystko wiadomo. Do Woźnik!

–Który z drułów zna Woźniki? – teraz drużynowy był ciekawy.

Odpowiedziała mu cisza, krzyżujące się spojrzenia, wreszcie wzruszanie ramionami.

–Tym lepiej, nieznanne jest zawsze ciekawsze – drużynowy zakończył sentencjonalnie i dał rozkaz do wymarszu na stację.

Zajęcie dwóch wagonów czwartej klasy nie trwało długo. Trzeci zastęp, któremu przypadło w udziale dźwiganie sporego worka z grochem, dużego kotła, chochli i innych kuchennych narzędzi, uwinął się szybko. Bo też do transportu wyznaczono najsilniejszych, między innymi Piegusa. Romek widział, jak z Chudym żyłastymi rękami dźwigali spory baniak.

Wagony czwartej klasy nadawały się doskonale do tego rodzaju podróży z większym bagażem. Pozbawione, co prawda, wygodnych siedzeń, były za to nieocenione na krótkich trasach.

–Siadać, siadać, prędzej zajmować miejsca – konduktor z gwizdkiem w dłoni wołał raczej z zawodowego nawyku aniżeli z potrzeby, gdyż na peronie, wyłożonym małą kamienną kostką, nie było już nikogo.

Romek ani się spostrzegł, kiedy znalazł się obok Chudego na długiej i twardej desce. Środek wagonu zawalony był plecakami i sprzętem.

– Te pamiętasz, jak się wtedy na glezjach kurzyło? – Chudy lekko trącił kolanem Romka.

– Pamiętam, bo co?

– Obejrzyj się i patrz. Tam jest ten wagon. Spalił się na amen. Ma tylko trzy koła. Jak prasło, czwarte poleciało aż tam – ręką wskazał jakiś okrągły duży przedmiot, leżący kilka metrów od spalonego wraku. Ale miało siłę, no nie?

– Pewnie!

– Mówili, że jednemu Anglikowi nogę urwało.

– A nie mówili, kto to zrobił?

– Niby co?

– No ten wybuch.

– Słyszałem, jak tata mówił, że zrobili to orgesze. Ponoć w przędzalni też rozwalili maszynę.

Pociąg skończył chybotanie na zwrotnicach i zaczął równy bieg na swoim szlaku. Skończyły się zabudowania miasta, potem Droniowiczek, z prawej strony toru zaczęły się tereny leśne.

Romek znów poczuł lekkie szturchnięcie kolanem przez Chudego.

– Byłeś już tu? – zapytał.

– Niby gdzie?

– W tym lesie.

– Nie. Na podchody mamy bliżej do lasu miejskiego, za koszary i do Parku Grunwaldzkiego.

– Jaki tam las. Co kawałek nafajdane, trzeba uważać, żeby nie wdepnąć. Tam tylko żołnierze z pannami chodzą – oburzył się Chudy.

– A tu? – Romek był naprawdę zaintrygowany.

– A tu mówię ci, prawdziwy las, nazywa się Czarny Las. Tu podobno są żmije i puchacze.

– Byłeś, widziałeś?

– Byłem tylko raz. Tata mówił, że są tam jadowite żmije. Ja widziałem tylko wiewiórkę i dzięcioła. Ale żmije i puchacze to jeszcze nie najgorsze, co można w tym lesie spotkać...

– A co?

– Tata mówił, że w tym lesie ukrywają się orgesze.

Romek z emocji aż dech wstrzymał na chwilę. Przed oczami stanął mu pan Wielgos i to jak opowiadał o swej przygodzie

z orgeszowcami. Chcieli go przecież jak piskorza utopić w mule, pamięta, ale to przecież było w czasie plebiscytu i powstania, ale żeby teraz?

Spojrzał powątpiewająco na Chudego.

A ten, jakby zrozumiał jego wzrok, obruszył się i na pół ze złością zapytał:

– A co, może mi nie wierzysz? Mów, nie wierzysz?

Romek czuł, jak Chudy napiera na niego kolaniem.

– Nie złość się zaraz. Czy ja powiedziałem, że nie wierzę? Wiem więcej o orgeszowcach niż ty – Romkowi przypomniało się wszystko, co o nich mówił tata do pana Wielgosa.

– Jak jesteś taki mądry, to czemu robisz głupią minę, gdy mówię, że oni wciąż się ukrywają w Czarnym Lesie, czemu?

– Wcale nie robię głupiej miny, tylko... Romek już chciał Chudemu powiedzieć, że przecież nie wszystko to, co on słyszał, musi być prawdą, gdy nagle na myśl przyszedł mu tata. Mówił wczoraj, że trzeba będzie dobrego psa kupić, żeby ostrzegł w razie napadu. Wtedy mama powiedziała: „Jezus, Maria, czy to możliwe?”. A tata odpowiedział: „Moja droga w tych czasach wszystko jest możliwe”. Więc chyba Chudy ma rację, a on, zaprzeczając mu lub tylko poddając w wątpliwość jego wiadomości o bojówkarzach, mógłby się ośmieszyć.

– Wiesz, Chudy, w tych czasach wszystko jest możliwe – powtórzył za tatą.

Teraz z kolei Chudy spojrzał na niego podejrzliwie.

– Te, Roman. Co ty się tak mądrze wyrażasz?

– Bo chyba masz rację.

– A widzisz – Chudy rozchmurzył się.

Tymczasem pociąg sunął leniwie skrajem starego lasu.

Z lewej strony Romek ujrzał pola, na których złościły się i dojrzewały zboża, łagodnie pochylając się smagane wiatrem. Tak jak gdyby je ktoś dłonią gładził, potem ją odrywał i znów gładził.

Na pewnych odcinkach granica lasu oddalała się nieco od toru, najczęściej jednak starodrzew dochodził tak blisko, że Romek obeznany z gatunkami drzew z łatwością dostrzegał szarą chropowatą korę sosen, przechodzącą wyżej ku koronom w złotawy odcień. Nad gęstą drągowiną i poplątanym, pogmatwanym poszyciem, rozpięty był nieprzenikniony parasol ciemnozielonego

igliwia. Niekiedy gęstwina drzew rzedła. Wtedy Romek wiedział, że za nimi kryje się polana, raj pachnącego ziela i żerowisko dla zwierzyny. Tam właśnie być – myślał – zacząć się na skraju, wsłuchiwać się i patrzeć, patrzeć...

– Coś ty lasu jeszcze nie widział, że się tak gapisz? – Romek znów poczuł kolano Chudego.

– Pleciesz, Chudy – odpowiedział po chwili – przecież wiesz, że mieszkam w lesie.

I znowu zapatrzył się w mijające leśne ostępy.

Minęli stację Koszęcin. Pociąg ruszył w stronę Kalet, a las obok toru ciągnął się i ciągnął. Zawsze był ten sam: ciemny, gęsty i tajemniczy.

W Kaletach pociąg zrobił dłuższy postój, by harcerze mogli się wypakować. Zrobili to szybko i sprawnie. Ustawieni przez drużynowego w kolumnę marszową ruszyli skrajem szosy równym krokiem.

Kilkunastokilometrowy odcinek drogi z Kalet do Woźnik niektórym piechurom dał się we znaki. Fura najęta do przewozu prowiantu i sprzętu kuchennego, a także podręczna apteczka, stały się po kilku kilometrach jedynym ratunkiem dla tych harcerzy, którzy dalej już iść nie mogli. Najczęstszą tego przyczyną były odparzone stopy, zamknięte w nieprzystosowanym do pieszych wędrowek obuwiu. Na całe szczęście nie było ich wielu. Reszta, rozochocona świeżym powietrzem i z dawną oczekiwaną przygodą, rażno i ze śpiewem podążała do celu.

W Woźnikach harcerze zakwaterowani zostali w wielkiej stodole. Mieli do dyspozycji w jednym sąsiedku słomę, w drugim siano. Koce rozłożyli na wonnym i jak stodoła długim i szerokim „sienniku”. Zapowiadał się dobry wypoczynek i sen.

Rankiem pierwszym poważniejszym pacjentem punktu opatrunkowego za sprawą Franka – zwanego Napoleonem – został Romek. A stało się to tak.

W stodole po pobudce nastąpił ruch i krzątanie. Po gimnastyce i odśpiewaniu „Kiedy ranne wstają zorze”, zastępowi nakażali porządkowanie rejonu zakwaterowania. Zapowiedzieli też przegląd.

– Napoleon, jak skończysz, rzuć mi widły – Romek chciał zruszyć słomę zbyt ubitą przez noc.

– Właśnie skończyłem, uważaj rzucam – widły niczym oszczep pofrunęły do Romka. W momencie rzutu Romek zaplątał się w słomie i upadł. Właśnie wtedy dosięgły go widły, które jednym kolcem utkwily w jego udzie.

Romek w pierwszej chwili nie wiedział, co się stało. Nawet nie poczuł bólu. Dopiero gdy Napoleon, skacząc jak kangur, nadbiegł przerażony i pochylił się nad nim, zauważył, że z uda ścieka mu wąska strużka krwi. Wtedy poczuł ból. I strach.

– Roman, Roman – Napoleon przerażony tym, co się stało, klęczał, wpatrując się w bladą twarz przyjaciela i kłutą ranę, krwawiącą coraz bardziej.

Nadbiegli inni, ktoś zaalarmował drużynowego.

Romka szybko i sprawnie przeniesiono do mieszkania właściciela majątku, zdezynfekowano ranę i nałożono na nią sterylny opatrunek. Drużynowi sanitariusze mieli prawdziwą okazję sprawdzenia swych umiejętności.

Druh Musielok orzekł, że aby uniknąć ewentualnej infekcji, należy Romka na cały czas biwakowania zakwaterować w warunkach gwarantujących szybkie zagojenie się rany. Pani Rybkowska, żona właściciela majątku, sama zaproponowała ulokowanie go w pokoju gościnnym. Tam Romek miał zapewniony nocleg w łóżku i czystą pościel.

Dzień był pogodny, przez szerokie otwarte okno, wychodzące z frontu na podjazd i dalej na rozległy ogród, Romek słyszał nawoływania kolegów, komendy zastępowych i śpiew, a także rżenie koni ciągnących wielkie wozy i kufry z towarem na targ.

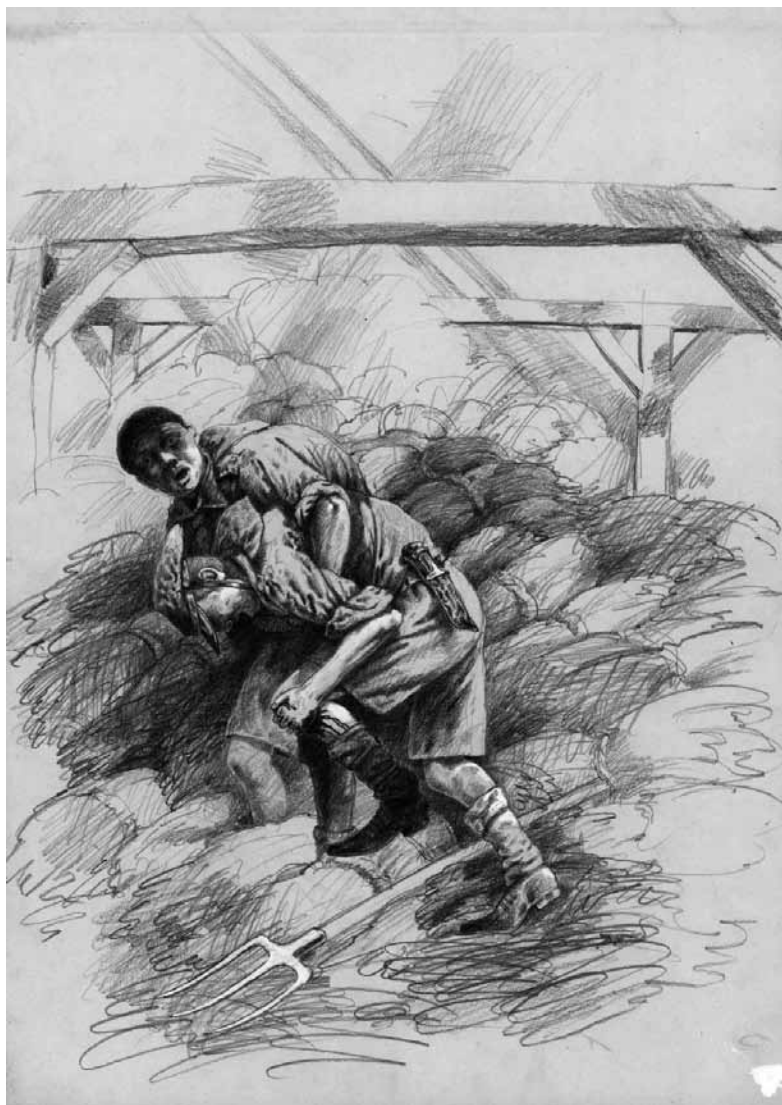
Drużyna wyruszyła do pobliskiego lasu.

Pani Rybkowska z zawstydzającą dla Romka troskliwością od samego rana dbała o jego posiłki, które sama przynosiła na tacy do pokoju, jednocześnie odsyłając z kwitkiem harcerza – kuchcika, który w południe zjawił się z menażką grochówki i pajdą chleba.

– Nie dziękuj, nie dziękuj – mówiła, niby to karcąc Romka za jego uprzejmość – robię to z prawdziwą przyjemnością. Przecież pierwszy raz gościmy harcerzy.

Nie wiedziała, że Romkowi ciekła ślinka, gdy tylko poczuł zapach harcerskiej grochówki.

– A mojemu biednemu harcerzowi jak na imię?



*– Roman, Roman – Napoleon przerażony tym, co się stało,
klęczał, wpatrując się w bladą twarz przyjaciela*

– Roman, Roman Malewski, proszę pani – Romek był coraz bardziej ośmielony serdecznością pani Rybkowskiej.

– Ładne imię, nieczęsto spotykane tu na Śląsku.

– Urodziłem się w Poznańskim, ale mój tata jest Ślązakiem, pochodzi właśnie z tych stron. Z Jezowej – dodał skwapliwie.

Pani Rybkowska zadowolona, że wreszcie w rozmowie z Romkiem nastąpił przełom, z zaciekawieniem słuchała tego, co mówił.

– Mój tata jest leśniczym.

Pani Rybkowska i tym razem nie zawiodła jego oczekiwania, które przecież bez trudu dostrzegła w oczach młodego gościa.

– Leśniczy, co za piękny zawód! Chciałabym być córką albo żoną leśniczego i mieszkać w lesie, tak jak ty. A nie boisz się?

– Czego miałbym się bać?

– No – tu pani Rybkowska zrobiła zakłopotaną minę – no na przykład wilków.

– Na Śląsku wilków nie ma – Romek wypowiedział to głosem, w którym pani Rybkowska wyczuła chęć zaimponowania jej lepszą znajomością wilczego zagrożenia.

– A kłusownicy są?

– Na razie tata nic o nich nie mówił. Jednak kupił zamiast polowczyka, tresowanego owczarka. Wilka – poprawił się zaraz i popatrzał na panią Rybkowską, czy słowo to wyrze na niej wrażenie. Musiało widocznie wyrzeć, bo chwilę milczała, tylko brwi uniosła w górę, wreszcie zapytała.

– Naprawdę wilka?

– Tak, naprawdę. Wabi się Rolf.

– Widzisz Romku – pani Rybkowska zaśmiała się – prawdziwych wilków, ani kłusowników w lesie u was nie ma, za to z pewnością są grzyby, jagody, zające, sarny i najzdrowsze na świecie powietrze, prawda?

– Tak, ale... – życzliwość, z jaką w rozmowie pani Rybkowska potraktowała Romka, bardzo go ośmieliła. Toteż już chciał jej powiedzieć, czym tata uzasadnił kupno Rolfa, gdy nagle do pokoju przez otwarte okno wdarły się krzyki i nawoływania.

Pani Rybkowska podbiegła do okna, wspięła się na palce i cała pochyliła się w stronę, z której narastał tumult.

Romek, pokonując ból w nodze, starał się wstać, ale zdołał tylko usiąść na łóżku i czekał na to, co powie pani Rybkowska.

Ta jednak nagle odwróciła się i nie zważając na Romka, wybiegła z pokoju. Od drzwi, które zostawiła otwarte, do uszu Romka doleciał jej lament:

– Boże, człowiek i konie toną!

Emocje wzięły górę nad bólem. Chłopak zsunął się z łózka i pokuśtykał do okna. Słońce chyliło się już ku ziemi i przeświecało migotliwie przez gałęzie włoskich topoli rosnących rzędem wzdłuż muru okalającego warzywnik i przez białą pergolę obrośniętą pnącym się po niej bluszczem. Od narożnika muru w stronę szczytu budynku mieszkalnego biegł niski zielony parkan, odgradzający trawnik od utwardzonej drogi dojazdowej, wiodącej na podwórze majątku. Tuż za drogą, w płytkiej niecce pola widniała tafła wody. To staw, w którym przez całe lato kumkały żaby, pływały się konie w powrotnej drodze z pola, wyschnięte wozy nasiąkały wilgocią i gdzie parnymi wieczorami świeciły gołe tyłki kąpiących się dzieciaków.

Teraz staw stał się miejscem dramatu, rozgrywającego się tuż przed zachodem słońca na oczach bezradnych ludzi.

Józek Mateja od niedawna sprzęgał dwa młode i narowiste wałachy. „Panie Rybkowski – mówił doświadczony włodarz Jan Czogała – Mateja jest mocny, ale jeszcze za młody do tych koni, lepiej dać mu fornalkę² ze starym i spokojnym zaprzęgiem, niech się wpierw wprawi.”

Józek przysłuchiwał się tym słowom z niechęcią, bo w rękach czuł siłę, wierzył, że nie zawiedzie, a tu stary Czogała, jego ojciec chrzestny, gada tak, jakby nie życzył mu dobrze. Na szczęście pan Rybkowski sam był jeszcze młody, więc trzymał stronę Józka. Popatrzył na niego i powiada: „No co, Józek dasz radę czy nie?”. Wtedy Józek już wiedział, że wygrał. „Pewnie, że dam” – odpowiedział. I na tym stanęło. Potem ile razy przejeżdżał fornalką koło Czogały, strzelał głośno z bata i pogwizdywał wesoło. Stary Czogała przystawał, patrzył za nim i z podziwem, a może z powątpiewaniem, długo kiwał głową.

Tak minął jeden i drugi miesiąc. Rybkowski pytał: „Jak tam, panie Czogała, spisuje się nasz Józek?”. Włodarz odpowiadał wymijająco: „Na razie dobrze, na razie dobrze, tylko nie wiem jak

2 fornalka – wóz ciągnięty przez konie, furmanka

długo”. Na to Rybkowski: „Ależ z pana niedowiarek, chłopak się nam udał, to już widać”.

I może wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ten fatalny dzień lipcowy.

Fornalki zjeżdżały z pola. Józek uwinął się pierwszy. I po raz pierwszy też zapragnął być prawdziwym woźnicą, umyć fornalkę w stawie i na podwórze zajechać paradnie, niczym cugantami. Przecież w stajni już przebąkiwali, że „ho, ho, Józek pewnie wnet przesiądzie się na bryczkę”.

O stawie Józek wiedział niewiele. Na pewno mniej niż Czogała i inni. Kiedyś, gdy się zgodali, włodarz powiedział, że wszystkie tajemnice stawu znali tylko ich ojcowie albo jeszcze starsi, a tak naprawdę, są jeszcze w tym stawie sprawy do dziś nieujawnione. Na przykład: jaki on głęboki? No z brzegu niecały metr, dalej dochodzi już do półtora, a jeszcze dalej, uchowaj Boże, o tym nawet się nie mówi, bo aż strach bierze, jaka na środku głębina! I dno mulaste. Przy darciu pierza kobiety sobie opowiadają, że przed laty właścicielem tego majątku był pewien wielki pan, okrutny dla ludzi i bezwzględny dla swej żony i dzieci. Pewnego razu chciał swoim woźnicom pokazać, jak się fornalką powozi, wjechał więc nią do stawu, w cztery konie zaprzęzoną. Ale cóż to, uprzęż i lejce się poplątały, konie znarowiły, uderzyły na środek stawu, a tam wiadomo, głębina i muł zrobiły swoje. I pan, i konie, i wóz, wszystko zostało na dnie. Ile w tym prawdy, nie wiadomo, bo kobiety przy darciu pierza zawsze opowiadają takie bery³ o dziwnych wydarzeniach.

Teraz Józek z pochyłości rozpędził konie i wjechał do stawu z iście młodzieńczą fantazją. Zaprzęg przy nagłym zetknięciu się z wodą wzbił w górę pianistą fontannę. Mateja, instynktownie zasłaniając twarz przed strumieniem wody, popełnił pierwszy błąd: trzymając lejce jedną ręką, osłabił swą zdolność kierowania końmi, które zamiast do brzegu, gdzie przecież wody było po końskie brzuchy, uparcie zaczęły oddalać się na głębiny. Jeszcze nie straciły gruntu pod nogami, jeszcze wóz znaczną częścią tkwił ponad powierzchnię wody, gdy Józek popełnił drugi błąd: puścił

3 bery – opowiadki

lejsze i ulegając panicznej trwodze, sam rzucił się w pław i ledwie żywy ze zmęczenia i strachu wyczołgał się na piach.

Właśnie na ten moment trafiła pani Rybkowska, nadbiegając wraz z ludźmi pracującymi na podwórzu.

Ktoś podbiegł do pechowego woźnicy leżącego i opadłego z sił, reszta krzycząc i gestykulując żywo na próżno zachęcała konie do powrotu ku brzegowi i płyciźnie. A one jeszcze próbowały walczyć z głębią, choć wóz pod ciężarem wody zapadał się coraz bardziej. Miotaly się na wszystkie strony, chcąc wyrwać się z tej wodnej matni, ale mocna uprząż nie pozwalała im pozbyć się straszliwego ciężaru. Unosiły głowy ponad wodę i potrząsały nimi, jakby w proteście przeciwko nieuchwytniej przemocy, która śliskim i podłym mułem trzymała je jak w kleszczach i nie pozwalała powrócić na brzeg.

Woda sięgała koniom coraz wyżej i wyżej. Już zalewała grzbiety, już sięgała karków...

Do ludzi stojących na brzegu dolatywało prychnie. To konie z uniesionymi w górę, rozszerzonymi chrapami wciągały i wypuszczały ze świstem powietrze, instynktownie przeczuwając nadchodzącą śmierć.

Wtedy ktoś głośno powiedział:

– Jak im zaleje uszy, będzie koniec.

I tak też było, bo kiedy to się już stało, głowy koni prawie równocześnie zniknęły pod powierzchnią wody.

Ludzie postali jeszcze chwilę, potem razem z panią Rybkowską odeszli w stronę zabudowań.

Mieli opuszczone głowy i poczucie klęski.

Tylko Józek Mateja nie odszedł.

Siedział dalej na wyschniętej darni, głowę obłapiał dłońmi i bezmyślnie wpatrywał się w piach, w który wsiąkały jego łzy.

Potem usłyszał czyjś głos dochodzący go jakby z daleka:

– Co tu jeszcze siedzisz, chodź do domu.

To był głos chrzestnego, starego Czogały.

To wydarzenie tak bardzo wstrząsnęło Romkiem, że kilka dni później, gdy opowiadał o harcerskim biwaku rodzicom, wydarzenia, które miały miejsce po tej tragedii, ognisko, podchody, powrót na stację, wydawały się Romkowi, jakoś mało istotne, szare, wyblakłe.

ROZDZIAŁ IV

Słońce wciąż jeszcze stało wysoko nad horyzontem.

Cień stuletnich sosen padał na piaszczystą przyleśną drogę i z wolna przesuwał się na jej drugą stronę, ogołoconą nawet z krzaków. Tam, między zeszlórocznymi zeschniętymi badylami, zieleniły się kępki psiej trawki.

Z sąsiedniej łąki nadlatywały ważki, ale odstraszone cierpkim zapachem żółtej kocanki pospiesznie zawracały nad strumień, który niepostrzeżenie pomykał wśród gęstych i wysokich traw. Potem, wąskim ale solidnym wycembrowanym pustem, hucząc po oślizłych kamieniach, przepływał pod szeroką utwardzoną drogą i dalej skrajem lasu.

Nieco bliżej leśniczówki, na łagodnym wzniesieniu pozbawionym dobrodziejstw wilgoci rozpanoszyły się świerszcze. Zwabione ciepłymi promieniami słońca, opuściły swe norki w ziemi i zapamiętały koncertowały.

Daleko, w sosnowym starodrzewiu, od czasu do czasu zaterkotał czarny dzięcioł.

Wszystko, co tu tego dnia żyło, błogosławiło słońce za ciepło i życzliwość.

Drogą ocienioną starymi klonami szedł mężczyzna z marynarką narzuconą na ramiona. Minął cegielnię z przyzmiami białej cegły i wądolami po wyrobiskach piachu i gliny.

Z prawej strony drogi, w zbitym i nieprzetrzebionym świerkowym zagajniku od wielu dni dusił się letni skwar. Stamtąd szła woń zbutwiałej ściółki i zeschniętego igliwia.

Mężczyzna od czasu do czasu ocierał chusteczką pot z czoła. Wiedział, że jedyną ucieczką od tej duchoty jest przejście na drugą stronę drogi. Tam, za białymi zabudowaniami cegielni, zaczynały się pola i łąki, zaś od leśniczówki, wysoki sosnowy las. Wreszcie poczuł wyraźną ulgę. Gdy schodził z drogi łagodną skarpą do furtki

tkwiącej w wysokim płocie okalającym leśniczówkę, po zmęczeniu nie było już śladu.

Zdecydowanym ruchem nacisnął żelazną klamkę i natychmiast zamarł z przerażenia, bo oto nagle po drugiej stronie siatki z drutu zobaczył rozwartą paszczę rozwścieczonego psa. Co do jego zamiaru nie mogło być wątpliwości: chciał intruza rozszarpać na strzępy. Paszcza, w której białe długie kły, była tak blisko, że poczuł na twarzy oddech psa.

Następnych kilka sekund przyniosło otrzeźwienie: za płotem miotał się wielki wilczur. To, że nie mógł osiągnąć swojej niedoszłej ofiary, bynajmniej nie ostudziło jego zapalczywości, przeciwnie, łapami darł siatkę furtki, pozostawiając na niej strzępy piany, rzucał się w prawo, to znów w lewo w poszukiwaniu jakiegoś przejścia, byle dotrzeć do stojącego za siatką, struchlałego człowieka.

Tymczasem przybysz opanował strach, podniósł walającą się na ziemi marynarkę, założył ją pospiesznie, a potem sięgnął do tylnej kieszeni spodni, skąd nagłym ruchem wyszarpnął rewolwer, uniósł go w górę i wystrzelił.

Pies ani na chwilę nie przestał atakować.

Na odgłos wystrzału otworzyły się drzwi leśniczówki i ukazał się w nich leśniczy, pan Malewski.

– Rolf! – głos leśniczego był donośny.

Pies natychmiast zaprzestał ujadania, odwrócił się i truchcikiem podbiegł do swojego pana, posłuszny jego ruchowi ręki, potulnie położył się, kładąc głowę na wysuniętych łapach. W tej pozycji bacznie obserwował przybysza.

– Panie leśniczy, niech pan zamknie tę bestię i otworzy mi, proszę, chciałbym z panem pomówić.

Pan Malewski na chwilę zniknął razem z psem wewnątrz domu, a gdy wrócił już sam, podszedł do ogrodzenia i otworzył furtkę.

– Z kim mam przyjemność? – zapytał.

– Nazywam się Kurzeja, jestem funkcjonariuszem policji. Z miejskiego komisariatu – wyjaśnił dodatkowo.

– Pies napędził panu strachu?

– Muszę przyznać, że w pierwszej chwili rzeczywiście miałem pietra, dopiero gdy się upewniłem, że furtka jest zamknięta, uspokoiłem się. Za to on się nie uspokoił. Co za bestia.

– Słyszałem strzał.

– Strzeliłem, myślałem, że go to odstraszy.
– Tresowany, ze strzałami obyty – leśniczy się zaśmiał.
– No to zaraz widać.
Pan Malewski zaprowadził gościa do biura.
– I co pana sprowadza, panie Kurzeja?
– Pies, Rolf.
– Rolf? – leśniczy znów się zaśmiał. Jak to Rolf? Jeszcze go pan nie masz dosyć?
– Ja tak, ale pan komisarz nie – teraz z kolei policjant się uśmiechnął.
– Nic z tego nie rozumiem – leśniczy spoważniał – co ma Rolf do komisarza policji albo, przepraszam, co ma komisarz do Rolfa?
Kurzeja przesunął dłonią po spoconym czole.
– Pewnie, że nic.
– Więc o co chodzi?
– O pewną propozycję.
– Do diabła, panie Kurzeja, coś pan kręci.
Pan Malewski był naprawdę zaintrygowany wizytą. Podszedł do siedzącego gościa i z ciekawioną pochylał się nad nim.
– Panie leśniczy, czemu miałbym kręcić?
– To pan musi wiedzieć, nie ja – pan Malewski celowo starał się nadać głosowi ton irytacji – więc proszę jasno, o co chodzi?
– Mówiłem już: o Rolfa. Pan komisarz Rudziński przysłał mnie z propozycją nabycia Rolfa dla komisariatu. To wszystko.
Pan Malewski w milczeniu podszedł do okna, otworzył je szeroko, wychylił się, jakby czegoś szukał w krzakach bzu, po czym odwrócił się, badawczo spojrzawszy na Kurzeję i stanowczym głosem powiedział:
– Nie ma mowy.
Kurzeja milczał. Leśniczy powtórzył lekko podnosząc głos:
– Nie ma mowy, panie Kurzeja, słyszy pan?
– Co nie mam słyszeć, słyszę – policjant machnął ręką. Ja tam osobiście takiego diabła nie chcę. Żeby nas pozagryzał? Ale pan komisarz...
– Porozmawiajmy spokojnie, skąd komisarz wie o Rolfie?
– A skąd ja to mam wiedzieć. Wezwał mnie dziś rano do siebie i powiada: „Leśniczy Malewski kupił od Niemca Baumanna tresowanego owczarka alzackiego. Niech pan jeszcze dziś idzie do niego

i powie mu, że pies bardziej nam jest potrzebny w policji, aniżeli jemu w lesie. Niech pan zaproponuje leśniczemu sprzedaż tego psa. Cenę uzgodnimy później”.

– Teraz wszystko jest jasne – Malewski pacnął otwartą dłonią w blat biurka, aż kałamarz podskoczył.

– Pan jest na mnie zły, panie leśniczy?

– Skądże, pan przecież wykonuje tylko polecenie przełożonego.

– No właśnie, ale...

– Ale – przerwał mu pan Malewski – ale nie podoba mi się propozycja komisarza.

Kurzeja wzruszył ramionami, co niewątpliwie miało oznaczać, że i temu nie jest winien.

– Zanim dam panu ostateczną odpowiedź, proponuję, aby pan przyjrzał się Rolfowi z bliska i już nie w takiej sytuacji, jak ta przy wejściu.

Kurzeja poderwał się jak oparzony.

– Nie, nie, panie leśniczy, ja już jego zęby widziałem i to z bliska, mam go już dosyć, błagam pana.

– Zapewniam pana, że zobaczy pan zupełnie innego Rolfa – leśniczy był serdecznie ubawiony strachem Kurzeja.

– Ma pan dwa psy?

– Przekona się pan sam, a więc zgoda?

– Jeżeli jest tak, jak pan mówi to... – tu Kurzeja na moment zawiesił głos – Tylko zapowiem, że jeśli ten drugi też okaże się bestią jak tamten i zaatakuje mnie, zrobię użytek z broni.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni rewolwer.

– Zgoda, tylko proszę usiąść tam pod oknem i nie zdradzać zdenerwowania. Psy tego nie lubią.

Malewski wyszedł.

Po chwili Kurzeja usłyszał kroki w pokoju przylegającym do biura. Ich odgłos był wyraźnie zmieszany z sapaniem psa. Zaczyna się – pomyślał i położył rękę na pistolecie leżącym na parapecie okiennym.

Drzwi powoli uchyliły się.

Najpierw Kurzeja ujrzał leśniczego, a tuż przy jego lewej nodze...

Ależ tak, wilczur, jak tamten, taka sierść, taki ogon puszysty i zwisający, tylko ten tu z kagańcem na pysku. I spokojny jak

baranek, krótka linka jest napięta, jej koniec leśniczy trzyma mocno w garści. A więc chyba rzeczywiście są dwa psy w tym domu.

Tymczasem Malewski, trzymając przezornie linkę lewą ręką, prawą zamknął drzwi, stanął przy nich wyprostowany w bezruchu, a wilczur, wpatrując się uparcie w twarz gościa, posłusznie usiadł przy lewej nodze swego pana.

Tak trwali przez chwilę, człowiek i jego pies.

Zdumiony i zaciekawiony Kurzeja powoli unosił się z krzesła, bacznie obserwując psa.

Ten czy nie ten? – Kurzeja nie był pewien.

Tamten rozbójnik, ten – spokojny i potulny jak baranek. Sam nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

Leśniczy Malewski, widząc niezdecydowanie gościa, postanowił wreszcie zakończyć tę psią farsę. Odpiął linkę od kolczastej obroży, wykonał odpowiedni gest dłonią ściśniętą w kułak, a kiedy wilczur, spełniając niemy rozkaz, położył się na ziemi, kładąc głowę na wyciągniętych przed siebie łapach, podszedł do Kurzei.

– Jak się panu podoba ten? – zapytał, wskazując głową na psa.

– Z tym można by wytrzymać, jest spokojny, nie to, co tamten wariat, ale cholernie są do siebie podobne...

Przez twarz Malewskiego przebiegł ironiczny uśmiezek.

– Znaczą psów, panie Kurzeja, to pan nie jest. Jeżeli pan komisarz tak się zna jak pan, czy można wam powierzyć Rolfa?

– Nic nie rozumiem, panie leśniczy – policjant z zakłopotaniem przerzucał wzrok z leśniczego na psa i z psa na leśniczego.

Tymczasem Malewski podszedł do psa, wypowiedział półgłosem jakieś słowo, którego Kurzeja nie dosłyszał i odsunął się na bok. Wtedy pies podbiegł do okna i dał przez nie potężnego susa.

Po chwili wrócił tą samą drogą. Pan Malewski, jak gdyby w nagrodę za dobre sprawowanie i spełnienie zadania, poklepał go po szerokim karku i zdjął kaganiec.

– Po co kazał mu pan skakać?

– Obiegł wkoło domu, nie trafił na obcego, więc wrócił.

– A gdyby natrafił?

– Dałby mi sygnał szczekaniem.

– Coś takiego – Kurzeja nie mógł wyjść z podziwu.

Leśniczy znów podniósł rękę, tym razem wskazując na drzwi. Pies podbiegł do nich, stanął na tylnych łapach, przednimi nacisnął klamkę i wybiegł przez otwarte drzwi z pokoju.

Pan Malewski usłyszał głośnie westchnienie ulgi. Kurzeja dopiero teraz naprawdę się rozluźnił.

– Co za pies, co za tresura, ten byłby dobry.

– Dla kogo?

– Dla komisariatu.

– Więc niech pan słucha, panie Kurzeja – leśniczy energicznym ruchem przybliżył swoje krzesło do krzesła tamtego. – Nie było i nie ma żadnych dwóch psów. Rolf, który zaatakował pana przy furtce i pies, który przed chwilą wybiegł z pokoju, to jeden i ten sam pies. Tak, jest dobrze wytresowany, stąd zachowuje się odpowiednio do sytuacji. Pan wystąpił u niego w dwóch rolach: przy furtce jako intruz, więc pana nie wpuścił, tu w pokoju jako mój gość, więc potraktował pana przychylnie, ale jeden ruch mojej ręki, a przegryzłby panu gardło.

Kurzeja słuchał tego wszystkiego z miną zawstydzonego.

– A co do sprzedaży Rolfa, już powiedziałem. Nie ma i nie może być o tym mowy. Niech pan to powtórzy komisarzowi.

Wtedy Kurzeja na dobre zrezygnował z dalszego nagabywania o psa. Skłonił go do tego stanowczy ton leśniczego i uczucie zawstydzienia spowodowane nierozpoznanie Rolfa. Zabierał się do wyjścia, gdy Malewski zaproponował:

– Na odchodne pokażę panu coś.

Wąskim gankiem obrzeżonym żywopłotem wyszli za furtkę, po czym skręcili na wyboistą drogę, gdzie z zabudowaniami leśnictwa sąsiadował wysoki las.

Leśniczy przystanął i wyciągnął przed siebie rękę.

– Widzi pan jasny szczyt leśniczówki?

– Widzę.

– Z tego lasu mają dogodny ostrzał. Dwa razy już tu byli. Na ścianie są ślady po pociskach.

– O kim pan mówi? – Kurzeja podejrzewał, że pan Malewski znów chce z niego zażartować.

– O tych, co strzelali. W nocy pada kilka strzałów, a potem znów cisza. Do rana.

– Ma pan na myśli jakiś myśliwych?

- Bez mojej wiedzy i w moim rewirze? Wykluczone.
- Więc może wojsko?
- Jestem w stałym kontakcie z oficerami pułku. Na razie nocnych ćwiczeń jeszcze nie przeprowadzają.
- A zgłosił pan w komisariacie?
- Po co? Pięciu was tylko jest i chcecie nocną bitwę toczyć w lesie z niewidzialnym i nieznanym wrogiem?
- Pan się nie boi?
- Oczywiście, że się boję. O dzieci, o żonę. Ale z Rolfem nam raźniej. Teraz pan chyba rozumie, dlaczego nie mogę go sprzedać.
- Tak, teraz rozumiem – Kurzeja wydał dolną wargę i w zamyśleniu potakiwał głową.
- Najgorsze – mówił dalej pan Malewski – że wróg się nie ujawnia, działa tylko pod osłoną nocy. Chociaż ja, panie Kurzeja, nie miałem i nie mam wątpliwości, kto jest tym wrogiem.
- Kurzeja za zdziwienia przystanął.
- Więc pan jednak wie, kto strzelał?
- Orgeszowcy.
- Jeszcze się stąd nie wynieśli?
- Wynieśli, wynieśli, tylko niech pan weźmie pod uwagę, że las ciągnie się aż do samej, słabo strzeżonej granicy. Co to dla nich w nocy przeskoczyć przez nią i dostać się do nas. Chcą nam życie obrzydzić nękaniami, a jak się da, i sabotażami.
- Przez podwórze weszli do małego warzywniaka.
- Niech pan spojrzy, to są ślady kul karabinowych.
- Na białym murze ponad ich głowami widniały głębokie dziury w tynku.
- Aż dziw, że dotychczas nie trafili w okno. Od czasu pierwszej strzelaniny córki śpią z nami, na dole.
- Cień ściany wysokiego lasu dawno przekroczył już drogę i dotarł do zabudowań leśnictwa. Świat zrobił się szary, nagle powiało chłodem.
- Kurzeja, żegnając się z leśniczym, oglądał się przezornie.
- Spokojna głowa, panie Kurzeja, w mojej obecności i bez mojego rozkazu Rolf nie zrobi panu krzywdy.
- Kurzeja zmieszał się, poczerwieniał na twarzy.
- Ja wiem, wiem, ja tylko tak, na wszelki wypadek...

Leśniczy roześmiał się, zamknął za gościem żelazną furtkę na zasuwę, chwilę postał, a gdy tamten minął strumień, z wolna skierował się ku domowi.

ROZDZIAŁ V

Pierwszy do drzwi podszedł Alojzy Gajek. Zanim zdecydował się nacisnąć klamkę, obejrzał się za siebie zdziwiony, że Romek wciąż tkwi i tkwi przy dużym stole zavalonym mapami, drewnianymi cyrklami, liniałami i stosem książek, nowych i kolorowych.

Przez otwarte okno kancelarii mieszczącej się na pierwszym piętrze szkoły widać było szeroki i długi dziedziniec, gdzieś tam dalej odgradzony od szarych domów miasta wysokim parkanem.

Oddalenie i lekka mgiełka unosząca się nad miastem sprawiały, że zabudowania zdawały się być podłużną plamą, rozmazaną tuż przy ziemi w białym tle więziennego muru i wysokiego gmachu sądowego.

Gwar, jaki wpadał do kancelarii, nasilił się, gdy woźny, stojąc w otwartych i szerokich drzwiach szkoły, donośnym dzwonieniem oznajmił koniec przerwy. Tumult za oknem ucichł, za to dla odmiany wewnątrz szkoły, przedtem wyciszone tylko na krótko, teraz sprawiało wrażenie ulla, do którego hurmem powróciły pszczoły.

Jakub Bazarnik, kierownik szkoły uznał rozmowę z chłopcami na razie za zakończoną. Jednak zaciekawiony wyraz twarzy Romka wpatrującego się w książki, nie pozwalał mu przerwać jego fascynacji.

Tymczasem Romek jakby odgradził się od otoczenia i całego świata. Barwny świat książek, na które spoglądał, wydał mu się nagle zagadkowy i tajemniczy. Bliski – tylko rękę wyciągnąć, jednocześnie daleki, bo zamglony, na pół tylko realny. Dopiero kiedy Stanisław Owczarek, nauczyciel i wychowawca chłopców, głośno chrząknął, Romek ocknął się z tego zapatrzenia, nieśmiało powiedział: „przepraszam” i spiesznie wyszedł za Alojzem.

– Coś się tak zagapił?

– Książki, widziałeś jakie fajne książki?

– Teraz na głowie mamy inną sprawę, a nie książki – Alojz był zniecierpliwiony.

Po ostatniej lekcji, zanim rozeszli się do domów, ustalili, co robić dalej, skoro zgodzili się na propozycję pana Bazarnika. A dotyczyła ona wyjazdu do Katowic. Była ona bardzo kusząca. Taka samodzielna wycieczka do dużego miasta mogła być niesamowitą przygodą, ale wiązało się to z wypełnieniem trudnego zadania. Mieli „konwojować do lekarza” – jak to pan kierownik nazwał – kolegę z klasy czwartej, Hanysa Pikulika, który nagle na lekcji geografii zupełnie ogłuchł. Doktor Franciszek Willert oświadczył, że chorego należy niezwłocznie skierować do specjalisty do Katowic. Podał adres. Pan kierownik naradził się z wychowawcą klasy i postanowili, aby Hanysa konwojowało dwóch harcerzy. Wybór padł na Romka i Alojza.

– Chciałbym, aby rodzice zgodzili się na nasz wyjazd, a ty Alojz?

– No pewnie.

– Odwiedziłbym ciotkę Laurę i Frydę.

– Ja nie mam krewnych w Katowicach, ale tyle jest tam ciekawych rzeczy do zobaczenia – Alojz podzielił zaciekawienie Romka wyjazdem.

– Chciałbym zobaczyć kopalnię, podobno widać ją z mieszkania cioci Laury. Mieszkają na końcu ulicy Mickiewicza, za synagogą i gimnazjum.

Na razie drogi marzycieli rozchodziły się: Alojza w stronę śródmieścia, Romka w stronę lasu.

– Spotkamy się jutro o ósmej, przed kancelarią.

– A więc do jutra!

Alojz mieszkał za rynkiem, obok kina. Do szkoły miał bliżej aniżeli Romek. Kiedyś nawet powiedział, że chętnie zamieniłby się z nim na mieszkania. Romek przyjął tę propozycję za żart. Nie zamieniłby się z nikim, za nic w świecie!

Droga Romka do szkoły tylko na małym odcinku biegła przez las, potem przechodziła tuż obok cegielni i cmentarza. Od pryzm białych cegieł zalaływało mdłym zapachem, którego Romek nie znosił, cegielnię mijał więc przyspieszonym krokiem. Podobnie mijał cmentarz z marmurowymi czarnymi nagrobkami, wśród których oczyma wyobraźni widział przechadzającą się śmierć. Z respektem patrzył też na ciemnozielone tuje-żałobnice, które

prócz żalości i smutku, nie były zdolne niczego innego wyrazić. Gdzie im do świerków nasyconych żywicą albo do białych brzoźek o skórze miękkiej jak zamsz.

Od tego miejsca zaczynały się na pół miejskie domy Wesolej i targowisko z gmachem „Strzelnicy”. Z otwartych wciąż drzwi „gościńca” pana Stryczka zalatywał zapach piwa i cygar. Dopiero potem wylaniał się nagle gmach szkoły. Wielki i piętrowy.

Za to powroty do domu zdawały się być krótsze w czasie i przestrzeni.

Wystarczyło wyjść z lekkiego zakrętu, z lewej strony pozostawić drogę do Droniowiczek, z prawej owe czarne nagrobki, a potem prosto jak strzelił: jasny szczyt leśniczówki wtopiony w szare tło starych omszałych sosen i pnący się w górę, niebieski dym z komina. To zapowiedź mamy czekającej z obiadem, a także długie, bo aż do wieczora, wędrówki po lesie za przytłumionym echem dzwonek przywiązanych do krowich karków, gonitwy za wiewiórkami, podpatrywanie dzięciołów i zapach jagodowej ściółki.

Romkowi przypomniał się dzień, a było to kilka dni po przejeździe do Lublińca, gdy wspólnie z tatą wybrali się, by obejrzeć leśniczówkę, w której mieli już wkrótce zamieszkać. Było wcześniej rano. Nocny chłód przewiał zagajniki zatęchłe od kanikuly. Nad strugą i łąką dochodzącą do przydomowego sadu rozścieliła się mgła. Dzień zaskoczył ją na obcowaniu z nocą i teraz chyłkiem umykała leśnymi duktami, po drodze omiatając dom. Kiedy dochodzili do ogrodzenia, właśnie jej resztki osiadły na iglastych jałowcach i wysokim jagodowym runie. Nagle ukazały się im odświętnie przystrojone zabudowania leśnictwa. Nad frontowymi drzwiami domu zwisała niemal do samej ziemi biało-czerwona chorągiew, zwieńczona rzędami małych chorągiewek, biegnących skrajem szerokiego okapu. Chorągiewki tkwiły też za szybami okien, na każdym słupie parkanu, wszędzie, aż po długi rząd gęstych, młodych świerków, stojących wzdłuż drogi i sięgających do narożnika sadu. Pamiętał, że z wrażenia na chwilę zamknął oczy. Pod powiekami utrwalił mu się barwny obraz, który zapamiętał na całe życie. „Tato, patrz, ile tutaj polskich chorągiewek!” – zawołał oczarowany barwami narodowymi. „Skąd one tu i dlaczego nasz dom tak pięknie przystrojony, powiedz?” – szarpał ojca

za rękaw. A tata stał na szeroko rozstawionych nogach, wysoki i mocny, uśmiechnięty. Przesuwał wzrok po całym domu, kolorowym, umajonym, jedną rękę wyciągnął przed siebie, jakby chciał gładzić tą kolorową zjawę, drugą przygarnął głowę syna i powiedział: „Bo tu jest teraz Polska, Romku, i nasz dom...”.

Od tamtego dnia minęły już dwa lata.

Już nie było chorągiewek, a dom nie mienił się biało-czerwono – był szary. Dach pokryty był blachą, zaś za nim znajdował się sad ze starymi jabłonkami i pochyłą gruszą, obórka z dwoma krowami, chlew z chrząkającą maciorką i drewnitnia, przylegająca do drogi biegnącej do Czarneho Lasu.

Do tego domu Romek zawsze rad wraca. Wie, że gdy tylko zje obiad i wejdzie do pokoju, w którym od lata sypia z rodzicami, podbiegnie do niego Kuba, oswojony dzięcioł. Najpierw kilka razy łupnie długim i mocnym dziobem w jego but, potem skacząc niby ptasi kangur, odbiegnie i będzie bił zawzięcie w sosnowy wałek leżący pod oknem.

Romek znalazł Kubusia pewnego dnia w lesie. Siedział skulony pod grubą sosną, widocznie wypadł z dziupli, której otwór chłopak dojrzał wysoko nad głową. Ptak był przestraszony. Ilekroć próbował poderwać się do lotu, zaraz opadał na ziemię. Pozostawienie go na noc pod drzewem, oznaczało pogodzenie się ze śmiercią ptaka. Więc zabrał go do domu.

Romek lubił Kubusia. Pan Malewski przewidział tę przyjaźń i pozwolił przechować na razie skrzydlatego gościa w sypialni. Pani Michalina miała z początku pewne zastrzeżenia, gdy jednak mąż orzekł, że dzieci powinny mieć jak największy kontakt z przyrodą i zwierzętami, wyraziła milczącą zgodę. W ogóle, myślał Romek, tata wtedy okazał się wspaniały, bo wypowiedział wiele dobrych słów nie tylko w obronie Kubu, ale także innych leśnych mieszkańców. „Gdy ptak zmężnieje” – powiedział tata – „zwrócisz mu wolność i wypuścisz do lasu”.

Kuba zasługiwał na specjalną pochwałę. W nocy spał skulony pod łóżkiem Romka, ale gdy tylko pierwsze promienie słońca przedostawały się przez okno do pokoju, zaczynał swoje popisy: z całych sił walił dziobem w podłogę lub sosnowy wałek.

Pewnego dnia Romek po przyjściu ze szkoły do domu zastał na podwórzu nowego bardzo pięknego skrzydlatego gościa.

Wysoki, ciemnobrunatny ptak podobny do dużej sowy siedział nieruchomo na grubym słupie parkanu. Nad ciemnymi, wielkimi oczami wyrastały dwie kępki piór. W krótkich, ale nieregularnych odstępach czasu na oczy ptaka zapadały szare powieki niczym dwie grube zasłony. Dopiero po chwili Romek zauważył, że wielki ptak był przywiązany za nogę do słupa mocnym sznurkiem.

Pan Malewski wyjaśnił, że jest to puchacz, ptak u nas bardzo rzadki i chroniony. Znalazł go siedzącego pod drzewem, więc się domyślił, że puchaczowi coś się przytrafiło. Nie było łatwo go złapać, ptak piszczał, bił skrzydłami, groził otwartym zakrzywionym dziobem. Kiedy wreszcie skapitulował, okazało się, że w stopie nogi tkwił kolec. Puchacz przenocował na podwórzu leśniczówki, a kolejnego dnia Malewski usunął kolec z nogi ptaka. Wieczorem zaś, gdy został odwiązany, wielki ptak, uwolniony od bólu, ciężkim i niskim lotem przefrunął nad podwórzem, drogą i zniknął w lesie.

Gdy przyszło, nie bez żalu, pożegnać Kubusia, miejsce dzieciom zajął jeź. Śmieszny był z tym swoim długim i wciąż wężącym rykiem. Biegał tupiąc maleńkimi nóżkami po całym mieszkaniu. Czasem wydawało się, że przepadł jak kamfora, że w ogóle opuścił dom, ale gdy tylko Romek postawił w kąciku talerzyk z mlekiem, jeź zjawiał się natychmiast. Chłopiec nie wiedział, czy to jest „on”, czy „ona”, więc na chybił trafił nazwał jeża Kolczatką.

Mijały ostatnie dni nauki w szkole.

Do leśniczówki szybkimi krokami zbliżało się leśne lato. Jeszcze tylko ten wyjazd do Katowic – myślał Romek w drodze powrotnej do domu, a potem obóz harcerski w Czarnym Lesie. Żeby tylko rodzice na ten wyjazd się zgodzili. Oporu ze strony taty się nie spodziewał, tata lubił jego pomysły, które w odróżnieniu od prośb starszych od niego sióstr, nazywał „męskimi”. Tak zawsze nazywał i traktował jego pomysły dotyczące leśnych ptaków, zwierząt, ćwiczenia z Rolfem, zabawy wymagające sprawności fizycznej, a więc szybkiego biegania, wdrapywania się na drzewa, walki „na śmierć i życie” z chmurami os, gnieźdzącymi się w ziemi pod płotem, lub szerszeniem kryjącym się w dziuplach starych dębów.

Romek, mając głowę zaprzątniętą myślami o wyjeździe, a ściślej mówiąc obawą, czy uzyska zgodę rodziców na ten wyjazd, nawet nie zauważył, jak Kolczatka podbiegła do jego nóg.

Potem pochylony nad talerzem zupy ukradkiem śledził krzątającą się mamę. Pragnął dociec, czy jest w dobrym nastroju, czy warto zacząć rozmowę na temat wyjazdu, nie czekając na powrót ojca. W pewnej chwili już, już zdawało się, że okazja jest sprzyjająca, gdy mama podeszła do niego, pogładziła go ręką po głowie i powiedziała:

– Jak ci dziś poszło w szkole?

– Na polskim opowiadałem treść książki.

– Jakiej? – mama przysiadła obok.

– „Quo vadis.”

– Romek, coś ty, to taka gruba i poważna książka, a rozumiesz ty jej treść? I kto ci kazał opowiadać?

– Sam się zgłosiłem. Nikt w klasie jej jeszcze nie czytał.

– A słuchali chociaż?

– Jeszcze jak!

Pani Michalina wstała, zaczęła sprzątać ze stołu, pobrzękiwać talerzami. Jej milczenie nie wróżyło nic dobrego.

– Kto was uczy polskiego? – zapytała nagle.

– Pan Owczarek, przecież wiesz, mammo.

– Wiem czy nie wiem, wszystko jedno, ale się dziwię panu Owczarkowi.

– Dlaczego, mammo?

– Bo to jeszcze nie jest książka dla was, rozumiesz?

Tego właśnie Romek nie rozumiał, ale zamilkł, jednocześnie zrezygnował z poinformowania mamy o projektowanym wyjeździe. Miał przeczucie, że pani Michalina, jak wszystkie mamy na świecie, nie zgodzi się na wyjazd, bo nie chce narazić swego jedynaka na niebezpieczeństwo w podróży do wielkiego miasta. A gdyby powiedział, że razem z Alojzem, jako harcerze zostali obdarzeni przez pana kierownika zaufaniem, czy wtedy mama by się zgodziła? Pewnie też nie. Ale gdy już przyjdzie do tej rozmowy w obecności taty, użyje ostatecznego argumentu. Ma go w zapasie i on chyba mamę skruszy.

Tak myślał i czekał.

Tymczasem pomógł Wandzi przynieść drew z szopy, z Micią napompowali wody i napełnili nią cebrzyk w kuchni, z Rolfem oblecieli na wyścigi sad i wtedy dopiero zobaczył ojca, powracającego z lasu.

Rolf spostrzegł go pierwszy. Staął, postawił nieruchomo uszy. Z jego gardzieli dobywało się ciche skomlenie. Ale pan Malewski też już ich dojrzał. Staął, uniół prawą rękę pionowo w górę, a potem nagłym ruchem opuścił.

Rolf na to czekał.

Ruszył jak strzała. Jednym skokiem przesadził drewniany płot i długimi susami pognał do swego pana, tam usiadł po jego lewej stronie i czekał na dalsze rozkazy.

Za chwilę pan i pies weszli do domu.

Romek i Miecia szybko uwinęli się z przyniesieniem мамie ziemniaków z piwnicy, zajrzeli także do kurnika w poszukiwaniu jajek, wreszcie Romek odważył się przedstawić ojcu sprawę wyjazdu. Wszedł do pokoju, w którym pan Malewski skończył przed chwilą obiad i teraz rozmawiał z żoną. Byli tak sobą zajęci, że nawet na Romka nie zwrócili uwagi. Usiadł więc na końcu długiego stołu, pochylił się nad książką i przemyślał, jak tu zacząć rozmowę z rodzicami o wyjeździe do Katowic.

W pewnej chwili w rozmowie rodziców nastąpiła przerwa, pani Michalina zaniósła talerze do kuchni. Wtedy znów padło znane już Romkowi pytanie tym razem z ust ojca:

– Jak ci poszło w szkole?

– Dobrze, tato.

– Niedługo koniec roku, zobaczymy jakie będą świadectwa – pan Malewski uśmiechnął się, zerkając znacząco w stronę Wandy, wchodzącej właśnie do pokoju.

– No, no, no – Wanda stanęła obok Romka i patrząc wymownie na niego, pogroziła mu palcem.

Romek poczerwieniał. Czego ta skarżypyta znów chce? – pomyślał. Ale Wanda mówiła dalej:

– Zamiast odrabiać lekcje, lata po lesie i znosi zwierzaki.

Romek struchlał. Nie dlatego, że Wanda powiedziała o zwierzakach, tata przecież wiedział i o jego dzieciocie, i o jeżu. Wprawdzie nie wie jeszcze o świerszczach, które od wczoraj po kryjomu przechowuje w kartonie, ale nie tego się przestraszył chłopak. Wypowiedź Wandy mogła tacie nasunąć myśli o złych ocenach Romka, a to zapewne sprawiłoby go w zły humor, a wtedy jak tu mówić o wyjeździe do Katowic, jak go prosić o pozwolenie?

Pan Malewski był jednak tego dnia w dobrym nastroju. Popatrzył na Romka i powiedział:

–Pamiętaj Romek, zwierzaki i nauka, każde swoją drogą.

Pan Malewski uniósł się na krześle, co miało oznaczać, że całą sprawę uważa za zakończoną.

I wtedy Romek zdobył się na odwagę.

–Tato, mam z Gajkiem jechać do Katowic.

–Ty z Gajkiem, a po co? – zdumiał się szczerze pan Malewski, siadając z powrotem na krześle.

Romek nie zdążył jeszcze ust otworzyć, gdy do pokoju powróciła pani Malewska.

–Czy ty wiesz coś o wyjeździe Romka do Katowic? – zwrócił się do niej pan Malewski.

–Coś takiego, a to co znowu?

Romek przestraszony nagłym wejściem mamy, zaniemówił.

Z kłopotliwej sytuacji wybawił go sam pan Malewski.

Jak zwykle w podobnych sytuacjach zadecydował jego spokój. Nie zwracając uwagi na wzburzenie żony, zapytał tonem, w którym Romek usłyszał nutę ciekawości.

–A któż to taki wysyła was do tych Katowic?

–Kierownik szkoły, pan Bazarnik.

Pan Malewski uniósł wysoko brwi.

–Pan Bazarnik, mówisz? To rzeczywiście nie żarty, ale w jakiej sprawie macie jechać, po co?

Teraz Romek uspokojony i zachęcony pytaniami taty opowiedział po kolei wszystko. I o biednym Hanysku Pikuliku, o jego nagłej chorobie, o diagnozie doktora Willerta, wreszcie o propozycji pana kierownika Bazarnika. Patrząc na rodziców nie wątpił, że słuchają go z zainteresowaniem.

–I co na to mama? – pan Malewski zwrócił się do żony.

–Żal mi chłopca, ale myślę, że ten pomysł z wyjazdem Romka nie jest najszcześniejszy.

–Mamo, ale tu chodzi o chorego kolegę.

–Ale dlaczego właśnie wy?

–Pan kierownik powiedział, że Pikulik jest harcerzem i że harcerze mają obowiązek mu pomóc. Mówił też, że ta pomoc będzie zaszczytem nie tylko dla harcerzy, ale dla całej naszej szkoły.

Rodzice spojrzeli po sobie. Zachęciło to Romka jeszcze bardziej.

- Pan kierownik proponuje, abyśmy jechali w mundurkach.
- Kiedy powrót? - ojciec widać przechylał się na stronę Romka.
- Tego samego dnia - Romek wyjaśnił skwapliwie.

Patrzył wyczekująco wzrokiem, w którym pan Malewski dostrzegł prośbę, radość i niepokój. I chyba słusznie niepokój, skoro pani Michalina stała marszcząc z lekka brwi, widocznie zastanawiając się nad sposobem odciążenia syna od zamierzonego wyjazdu. Ale nie przychodził jej na myśl żaden sensowny argument wobec tych, którymi posłużył się Romek. Przecież sama zawsze starała się dzieciom wpajać zasady życzliwego stosunku do ludzi będących w potrzebie, nie wiedziała jak teraz z tej sytuacji wybrnąć.

- Mamo, matka Hanysa jest wdową - Romek podświadomie grał na uczuciach pani Michaliny, która wciąż milczała niezdecydowana.

Nagle pan Malewski zwrócił się do żony:

- Chyba zgodzimy się, co?

- Niech jedzie, mimo wszystko będzie to harcerski dobry uczynek - odpowiedziała pani Michalina, rezygnując na dobre z dalszego sprzeciwu.

Romek nie posiadał się z radości, podbiegł do rodziców i kolejno wycalaował. Nie wiedział, jak inaczej podziękować im za wyrażenie zgody. Jakby wyglądał w oczach pana kierownika, a nawet w oczach Alojza, gdyby negocjacje się nie udały. Teraz honor uratowany.

- Skoro już jedziesz do Katowic, chciałbym, abyś odwiedził ciocię Laure i stryja Romusia, trafisz?

- Trafię. Ciocia na ulicy Mickiewicza, stryj na Kościuszki...

- Ale sklep z bronią myśliwską ma na 3 Maja - dodał pan Malewski.

Gdy na drugi dzień rano Romek zjawił się w szkole, zastał już czekającego na korytarzu Gajka. Z daleka zobaczył jego uśmiechniętą twarz, znak, że i jemu mama pozwoliła na wyjazd do Katowic.

Kierownik wręczył im pieniądze na bilety trzeciej klasy i list doktora Willerta z opisem choroby Hanyska. Na kopercie był wykaligrafowany adres lekarza specjalisty.

- Ulica Francuska - powiedział pan Bazarnik - jestem przekonany, że harcerze trafią, co?

- Muszą trafić - chłopcy odpowiedzieli niemal równocześnie.

- A więc w drogę. Wstąpcie po Pikulika.

Matka Hanyska przyjęła ich z radością. Alojz wiedział, że jest kobietą biedną i zarabia na utrzymanie rodziny praniem bielizny.

– Ale Hanys nie ma mundurka. Tak jakoś pieniędzy nie wystarczyło – pani Piklulikowa była zakłopotana.

– To nic, to nic, przewidziałem to – Alojz z małej ceratowej teczki wyciągnął rogatywkę harcerską. – Przynajmniej coś jest, przymierz, Hanys, może będzie dobra. O, w sam raz! To czapka mojego brata, Włodka, pożyczył mi na podróż.

– Nie wiecie, chłopcy, co się stało z tym słuchem Hanyska? Do szkoły rano wyszedł zdrowy, na nic nie narzekał, aż tu od lekarza przyprowadzili go głuchego jak pień – pani Pikulikowa była serdecznie zmartwiona. On mówi, że jak go pan nauczyciel zawołał do tablicy, to jeszcze trochę słyszał, a potem nagle już nic. Co to może być? Nawet pan doktor Willert nic nie mógł pomóc. Boże, żeby tylko nie ogłuchł na dobre!

– My nie wiemy, pani Pikulikowa. Specjalista powie.

– Pewnie, pewnie, że tak – pani Pikulikowa spuściła głowę, ale zaraz się ożywiła. – Jak ja wam, chłopcy, mam dziękować?

– Nie ma o czym gadać. To nasz harcerski obowiązek. – Alojz zamknął sprawę.

– No to jedźcie z Bogiem i wracajcie zdrowi.

ROZDZIAŁ VI

Pociąg relacji Lubliniec-Katowice już czekał na stacji gotowy do odjazdu.

– Panowie harcerze dokąd? – zapytał przyjaźnie stojący na peronie konduktor gotowy w każdej chwili dać sygnał gwizdkiem.

– My do Katowic.

– Dobrze, siadajcie do tamtego wagonu, przed Bytomiem będzie zamknięty. Tranzyt.

Patrzyli na niego, nic nie rozumiejąc.

– No to wam powiem. Pociąg pojedzie przez tak zwany „nos bytomski” czyli przez Bytom, który należy do Niemiec. Dopiero w Królewskiej Hucie, po polskiej już stronie ten wagon otworzę. Gdybyście siedzieli w wagonie niezamkniętym, Niemcy, przeprowadzając w Bytomiu rewizję mogliby was rozebrać z tych ładnych harcerskich mundurków i wsadzić do paki.

– A inną drogą nie możemy?

– Nie, na razie nie. To wszystko przez tę pokręconą granicę.

Gdy pociąg ruszył, Romek rozglądał się po torowisku, czy nie zobaczy spalonego wagonu. Jednak po wraku nie zostało ani śladu. Potem znów wpatrywał się jak urzeczony w las, którego skrajem pomykał pociąg.

– Alojz, patrz, ten las nazywa się Czarny Las.

– Przecież wiem.

– Byłeś tu?

– Nie.

– Chudy mówił, że tu są jadowne żmije.

– A Profesor mówił na zbiórce w zeszłym tygodniu, że w wakacje będzie w Czarnym Lesie obóz. Prowadzić go będą jacyś starsi druhowie z Katowic, zapiszesz się?

– Pewnie. Do domu będę miał blisko. Tylko kilka kilometrów.

– Ale wciąż przez las.

-No to co?
-Moja mama na pewno się nie zgodzi. Ona się lasu boi.
-Ja mieszkam w lesie i się nie boję.
-Bo macie flinty.
-I karabin.
-I karabin?
-Tak i karabin. Rosyjski. Ale co tam flinty! Rolf jest lepszy od flinty.
-Gadasz, najlepszy pies chyba nie zastąpi flinty. A jakie są te flinty?
-Szesnastka jest taty, dwudziestka najstarszej siostry.
-Strzelałeś już z karabinu?
-Tak, do tarczy.
-I co?
-I nic. Było za daleko – Romek zaczerwienił się po uszy.
-Żeby ja tak mógł...
-Przyjdź, tata pozwoli.
Alojz się uśmiechnął. W jego dużych ciemnych oczach Romek dojrzał radość.

Po wyjściu z dużego holu dworcowego w Katowicach w pierwszej chwili nie wiedzieli, w którym kierunku pójść, aby się dostać na ulicę Francuską. Ktoś im wskazał: od dworca w prawo, tunelem pod torami, stamtąd już niedaleko. Tunel okazał się wąski, ale zaimponował im gładkimi jasnymi kafelkami. Nabrali śmiałości. Do lekarza trafili bez trudu. Wręczyli mu list od doktora Willerta. Hanyska zostawili w gabinecie pełnym mieniących się narzędzi lekarskich, sami usiedli w poczekalni. Rozglądali się ciekawie. Na ścianie wisiał obraz martwej natury, na stoliku, przed szeregiem jasnych krzeseł stał wazon świeżych kwiatów. Na pół otwarte okno wychodziło na betonowe podwórze otoczone szarymi murami oficyn. Dolatywały ich głucho i regularne uderzenia. Ktoś cierpliwie trzepał dywan.

Milczeli. Nie byli pewni, czy tu w ogóle wolno rozmawiać.

Nagle drzwi gabinetu otworzyły się, biało ubrana asystentka lekarza zerknęła na chłopców, jakby chciała się upewnić, czy aby jeszcze są i wtedy usłyszeli charakterystyczny brzęk narzędzi odkładanych na szklany blat. Romkowi zdawało się, że słyszy przytłumione pojękiwania Hanyska.

– To nie potrwa już długo, czekajcie – uśmiechnęła się biała anielica.

Więc czekali onieśmieleni ciszą i przejęci pobrzękiwaniem narzędzi dochodzącym od czasu do czasu zza drzwi.

Wreszcie drzwi się otworzyły szeroko i niespodzianie. Ujrzeni w nich bladego Hanyska, za nim lekarza i jego asystentkę.

– Chłopcy, na dzisiaj dosyć. Reszta jutro o tej samej godzinie.

Stali, nie wiedząc, co powiedzieć. Lekarz mówił dalej:

– Jutro powiem wam, co trzeba będzie robić, aby wasz kolega mógł odzyskać słuch. Do widzenia harcerzyki! – uśmiechnął się i znikł za białymi drzwiami.

Anielica została, przyglądając się im bacznie.

– Czemu macie takie zmartwione miny? Wasz kolega będzie zdrowy, na pewno. Powinniście się cieszyć, a wy...

– My się cieszymy, że Hanys będzie zdrowy, tylko...

– Co tylko?

– Tylko myśleliśmy, że dziś jeszcze będziemy mogli wrócić do domu, do Lublińca. Tego nie przewidzieliśmy, że jeszcze jutro...

Asystentka zaszępiła się. Z jej twarzy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znikł uśmiech.

– To rzeczywiście kłopot. Tego i pan doktor nie przewidział. Co teraz zrobicie, biedacy?

Alojz miał wystraszone oczy i z przerażeniem patrzył w jej twarz. Romek, który czuł się dowódcą grupy, przestępował z nogi na nogę, całą siłą woli zgarniając myśli, by podjąć jakąś decyzję. Przecież wyjście musi się znaleźć.

– Mam – powiedział wreszcie i przestał dreptać.

– Naprawdę? – z niedowierzaniem ale jednocześnie z nadzieją zapytała dziewczyna.

– Pójdziemy do cioci Laury, ona nam pomoże.

– Kto to jest?

– Siostra taty. Mają duży sklep konfekcyjny na 3 Maja, a mieszkanie na Mickiewicza. Druga ciocia, Fryda i stryj Romuś mieszkają gdzieś dalej, na ul. Kościuszki, koło jakiegoś parku.

– Całe szczęście – asystentka odetchnęła spokojnie – bo już martwiłam się razem z wami. Ruszajcie do tej cioci zaraz – spojrziała na Hanyska – biedak wycierpiał, bo pan doktor musiał

wprowadzić „łyżki” przez nos, ale Hanysek dzielnie się spisał, jak prawdziwy harcerz. Jutro już tylko płukanie, reszta w domu.

Pożegnali się, wzięli obolałego Hanyśka pod ramiona i ruszyli w drogę do śródmieścia. Najpierw do sklepu cioci. Kiedy stanęli przed witrynami Alojz i Hanyś zostali na ulicy, przyglądając się przejeżdżającym tramwajom. Romek ruszył na zwiad do wnętrza. Kupujących było wielu. W głębi, bliżej kantoru i zaplecza zobaczył wuja Aleksego. Uradowany podszedł do niego, ale wuj nie od razu go poznał. Po chwili jednak, swoim zwyczajem, rozłożył szeroko ręce i zamknął w nich głowę Romka.

– Tak dawno cię nie widziałem. I w dodatku ten mundurek!

Potem nastąpił grad pytań i odpowiedzi. Po godzinie cała trójka znalazła się w mieszkaniu państwa Kościelniaków. Kuzyni Romka, Janek i Dyzio, zajęli się młodymi gośćmi. Romka najbardziej zainteresował Rex, czarny rasowy doberman. Zbolały Hanysek podziwiał akwarium, a Alojz z okna oglądał majaczący w dymach masyw kopalni.

Wydarzeniem dla Romka stała się wizyta w sklepie stryja Romusia. Wydawało mu się, że wszedł do królestwa strzelb i sztucerów wszelkiego kalibru i wszystkich firm. Tyle broni myśliwskiej nagromadzonej w jednym miejscu jeszcze nie widział. Gdy już ochłonął z pierwszego wrażenia, zapytał:

– To wszystko można tu u stryja kupić?

– Jak widzisz, można. Wybierz też coś dla twojego ojca.

Romek nie wiedział, czy stryj żartuje, czy mówi serio, więc patrzył na niego niezdecydowany.

– Ja? Ja mam wybrać dla taty?

– Tak, ty. Musicie mieć dobrą broń, żeby obronić się przed orgeszami, o których tata mi pisał w ostatnim liście. Nie gap się, wybieraj, powiedziałem, z tego tu stoiska, bo chcę, abyś zabrał dryling⁴. Śrut i kula. W lesie najbardziej przydatny. No, który?

– Ten – Romek dotknął ręką ciemnej i zimnej stali. Kolba była gładka, wypolerowana jak lustro.

– Brawo, masz gust. Jutro, gdy pójdziecie od lekarza na dworzec, wpadnij znów do mnie, będę czekał. Dryling zapakuj i naboje też. Tylko pamiętaj. Nikomu w drodze ani słowa! Nawet

4 dryling – broń myśliwska na naboje i śrut

kolegom. Wszystkie formalności potem z tatą załatwię. I nie dajcie się orgeszom. A ty umiesz strzelać?

– Trochę – Romek znowu poczerwieniał.

– Trochę to za mało. Tata ma sam obronić ten cały wasz babiniec? Musisz mu pomóc. Kiedyś przyjadę, przeegzaminuję cię, pamiętaj – tu stryj Romuś swoim zwyczajem zaczął mrugać jednym okiem. Romek był mu wdzięczny za powierzenie tak męskiej i odpowiedzialnej misji.

Później już wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Nocleg u ciotki Laury, przedpołudniowa wizyta u lekarza na Francuskiej i wreszcie znów „królestwo strzelb” stryja Romusia. Tym razem na krótko.

– Alojz, kup bilety, ja pobiegnę do stryja, zaraz wrócę. Czekaście na mnie w holu dworcowym – rzucił Romek.

W sklepie spotkała go nowa miła niespodzianka: ciocia Fryda, żona Romusia, czekała już na niego. Romek wiedział, że ciocia jest z pochodzenia Niemką. Kiedyś usłyszał, jak tata mówił do mamy: „Żeby te wszystkie nasze kobiety były takie, jak Fryda!” W domu, w albumie jest fotografia, na której uśmiechnięta ciocia Fryda w czasie kampanii plebiscytowej w Krywałdzie trzyma olbrzymi plakat z napisem w języku polskim i niemieckim „Głosuj za Polską”. Kochana, złota ciocia Fryda. Zawsze miała dla niego dobre słowo. Teraz też powitała go serdecznie, pytała o rodziców, o siostry, o wszystko. Tylko czasu było niewiele.

– Oto masz twój dryling – stryj Romuś z udaną powagą wypowiedział te słowa i jednocześnie wręczył mu podłużne spore zawiniątko. – Naboje są wewnątrz. Jeszcze raz ci przypominam, nikomu nie mów, co masz w tej paczce.

Wkrótce Romek znów znalazł się w holu dworca. Rozglądał się na wszystkie strony, po towarzyszach podróży ani śladu. A może już są na peronie? Nie, przecież wiedzą chyba, że on bez biletu nie dostanie się na peron. Znalazł ich w sąsiednim budynku, w którym mieścił się hol czwartej klasy.

– Mielicie przecież kupić bilety trzeciej klasy – przywitał ich z wyrzutem.

Alojz coś tam bąkał na usprawiedliwienie. Na peron weszli w ostatniej chwili przed odejściem pociągu.

– Romek, ty z paczką? Od stryja? – Alojz był ciekawy.

– Przecież widzisz, że z paczką, a nie z kożą – Romek nie ochłoniął jeszcze ze złości.

Pociąg sunął powoli, chybocząc się na niezliczonych rozjazdach i zwrotnicach. Po obu stronach torów, zamiast zieleni, z ziemi wyrastały dymiące kominy i szare mury domów.

W kącie wagonu siedziała chuda staruszka, lękliwie wciśnięta między jasne deseczki stanowiące wewnętrzną ścianę wagonu a wąskie okno ze zwisającym skórzanym pasem.

Romek długą chwilę nie mógł oderwać oczu od jej dłoni pokrytych przeźroczystą woskową skórą, pod którą przebiegały niebieskie żyłki. Staruszka przerzucała zdziwiony wzrok z jednego na drugiego, niecierpliwie zaciskała kościste dłonie i coś tam mamrotała po niemiecku.

Chłopcom zdawało się, że coraz głośniejsze dudniły jakieś ciężkie blachy, łoskot przebijał się od spodu, przenikał podłogę wagonu.

Hanysek z dużymi tamponami waty na uszach miał już zgotował inny wyraz twarzy. Zabiegi lekarskie przywróciły mu słuch w znacznej mierze, reszty miały dokonać przepisane napary z rumianku, utleniona woda i jakiś biały proszek wsypywany do uszu. Trzeba będzie panią Pikulikową dobrze poinformować – postanowili wspólnie.

Gdy minęli Królewską Hutę, do wagonu wszedł konduktor.

Spojrzał na nich, na ich mundurki i zbladł.

– Chłopcy, gdzie wy jedziecie?

– Do Lublińca – odpowiedzieli chórem.

– Wsiedliście do złego wagonu, zaraz będziemy w Bytomiu, do tego wagonu wejdą Niemcy, przeprowadzą rewizję, aresztują was!

Struchleli. Padły przecież straszne słowa: „Niemcy” i „aresztują”...

– Nie ma chwili do stracenia, za mną! – krzyknął nagle konduktor – wychodzić kolejno, trzymać się mocno uchwytów, nie patrzeć w dół, musimy zdążyć.

Staruszka nasiliła swoje mamrotanie, było teraz głośniejsze i ciągle.

Rozpoczęło się dramatyczne przejście do wagonu tranzytowego, czyli zamkniętego na czas przejazdu przez teren niemiecki.

Na szczęście pociąg zwolnił bieg.

Chłopcy jeden za drugim wychodzili z przedziału na zewnątrz wagonu. Trzymali się uchwytów, ostrożnie, metr po metrze, posuwali się za konduktorem po długim drewnianym stopniu biegnącym wzdłuż wagonu. Całą uwagę skupili na utrzymaniu równowagi, pewnym stawianiu stóp i ścisłym przyleganiu ciała do ścian wagonu. Ręce instynktownie działały jak automaty. Podczas gdy jedna dłoń kurczowo trzymała za żelazny pręt, druga w tym czasie już sięgała po następny. A potem zaraz zmiana. Lewa, prawa i krok naprzód i znów, i znów...

Strach przed Niemcami i upadkiem dodawał im sił i odwagi. Wydawało im się, że to posuwanie się nie ma końca.

Pociąg na pewnym odcinku swej drogi sunął płytkim wykopem. Właśnie wtedy od łoskotu żelastwa tętniła ziemia. Z przodu dochodził szum i uparte sapanie parowozu. Za radą konduktora nie patrzyli w dół, gdzie uciekała czarna, kamienista rzeka. Słyszeli jak spod ich nóg wyrывał się nagły i niecierpliwy klekot kół, ale natychmiast ginął zgniatany pędem.

W najtrudniejszej sytuacji pozostawał Romek. Kiedy padł rozkaz konduktora „za mną”, podjął natychmiast decyzję: odpiął pas, pakunek ze złożonym drylingiem przyłożył pionowo do ciała i powtórnie ścisnął pasem. Nie mógł się zginać, za to ręce miał wolne. To uratowało jego i dryling.

Gdy potem dzielny konduktor podawał im ręce i kolejno wciągał do wagonu, który przedtem otworzył specjalnym kluczem, Romek kątem oka widział już czarne litery „Bauten” wypisane na białym tle przedstacyjnego budynku.

Na ławkę w wagonie opadli bez sił. Ze zmęczenia i emocji nie mogli wykrztusić ani słowa. Ale wiedzieli, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

– Udało się – konduktor dyszał ciężko i ocierał pot z czoła. – Ale czegoś podobnego jeszcze nie przeżyłem. Teraz Germany mogą wam nagwizdać.

Gdy odsapnęli, Alojz podeszedł do okna, pociągnął, okno opadło w dół. W tej chwili właśnie pociąg zadudnił pod dachem peronu Bytomia i z wolna kończył bieg. Do okna podeszli zaciekawieni Romek i Hanysek. Naprzeciw nich, na peronie stał gruby niemiecki żandarm.

Ręce założone na plecach, nogi w rozkroku, marsowa mina – wszystko to nadawało tej postaci wyraz siły i agresji. Na widok harcerskich mundurków poczerwieniał ze złości.

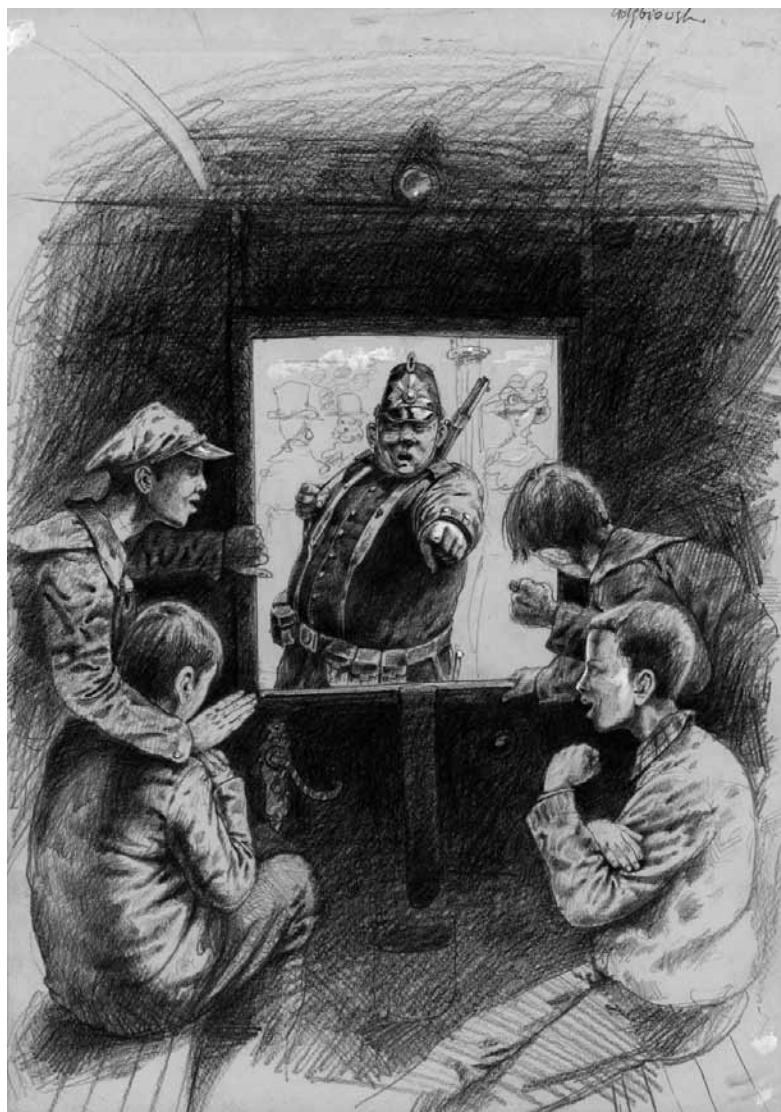
– Okno zamknąć, szczeniaki! – wrzasnął po niemiecku.

Ale oni już czuli się bezpieczni, od konduktora wiedzieli, że nikt z Niemców do tego wagonu nie ma prawa wejść, okno zamykali więc ostentacyjnie powoli, z przekorą, patrząc w oczy tamtego.

– Nasze mundurki mu się nie podobają – zakpił Alojz.

A gdyby jeszcze wiedział, co jest w tej paczce od stryja Romusia, dopiero by mu oko zbieleło – pomyślał z satysfakcją Romek i oddał się rozważaniu nad tym, jak rodzice zareagują na jego spóźniony powrót do domu.

Pocieszała go myśl, że wracają z wyleczonym Hanyskiem i nowym drylingiem.



– Okno zamknąć, szczeniaki! – wrzasnął po niemiecku

ROZDZIAŁ VII

– Idź już, idź, bo się spóźnisz do szkoły – pani Michalina ponagliła Romka.

– Dziewczyny też jeszcze nie wyszły.

– Ile razy ci mówiłam, że macie iść razem? Z jednego domu i w dodatku rodzeństwo, a do szkoły chodzą osobno, co ludzie sobie pomyślą?

– Bo one zawsze do mnie coś mają. A to guzik odpięty, a to nieuczestany, a to, że wczoraj albo przedwczoraj drzewa do kuchni nie naniósł mamie – i jak tu iść z nimi? One i tak od cegielni skręcają przez las, a ja dalej sam.

– Wszystko jedno, razem i koniec powiedziałam.

Pani Michalina zamknęła za nimi furtkę.

Romek odwrócił się, kiwnął na pożegnanie ręką. Patrzyła za nimi, aż cała trójka minęła ogród i rosnące przy drodze świerki. Kochała ich wszystkich, a Romka chyba najbardziej. Urodził się ostatni, może dlatego przylgnęła do niego nazwa „beniaminek”. Tak w domu nad Morminem rósł w cieniu wielkich i starych dębów. Ale po dwóch latach wojna zabrała i dom pod dębami, i ciszę, i radość, i męża na długo. Wtedy cały ciężar życia oraz utrzymania dzieci spoczął na jej barkach. Mała izba na skraju miasteczka na zły czas wojny stała się skrzyneczką, w której, tak jak teraz Romek swoje książki, ona poukładała wszystkie radości i smutki, troskę o dzieci i przetrwanie, nieprzespane noce i dni przepracowane poza domem za kosz ziemniaków.

Teraz znów szczęście powróciło razem z lasem. Czują, jak przenika ją cała, rozszerza się dalej na otoczenie, dzieci, męża, na dziesiątki drobnych czynności, które składają się na jej życie od rana do późnego wieczora, gdy jako ostatnia, cicho, jak najciszej zamyka za sobą drzwi i gasi lampę. Wie, że rano, gdy otworzy okno, w zależności od pory roku, razem ze świeżym powietrzem

wdychać będzie chłód pozostały po nocy czerwcowej lub wilgoć jesieni. Potem ani się obejrzy, jak piętrzyć się zaczną sprawy ważne i błahe, nie pozwalające na pozostawienie miejsca dla najzwyczajszej myśli niedotyczącej domu. Instynktem niby czujkami wyczuwa zagrożenie, czasem jeszcze oddalone, ale gotowe w każdej chwili przybliżyć się. I wtedy wkracza zdecydowanie, mylone przez niektórych z oschłością, a czasem nawet nieżyczliwością, jak na przykład wtedy, gdy Romek pojechał sam do Katowic. Gdy wrócił cały i zdrow, przytuliła go bez słowa, ale gdy Romek zakończył opowiadać o swojej podróży, powiedziała do męża: „Przeczuwałam, że coś będzie.” Owo „coś będzie” w jej ustach brzmiało jak „nieszczęście” lub „wypadek”. – A mógł być? – zapytała. Pan Malewski musiał przyznać: „Ano mógł być, mógł być.”

Po wyjściu dzieci do szkoły pani Michalina powróciła do domowych zajęć. Po chwili przez otwarte okno doleciało do niej ujadanie Rolfa. Przed furtką stał obcy młody człowiek. Odwołała psa do domu i zamknęła na klucz w kancelarii, upewniwszy się przedtem, że okno zamknięte.

– Ja do pana leśniczego. Po asygnatę na drzewo – młody człowiek mówił po polsku, ale pani Michalinie zdawało się, że z lekkim obcym akcentem. Kiedy podchodził do niej, zauważyła, że utyka na prawą nogę.

– Męża jeszcze nie ma. Spodziewam go się lada chwila. Powinien wrócić na śniadanie. Niech pan usiądzie na ławce i poczeka.

Obcy rozglądał się.

– A pies?

– Pies zamknięty – pani Michalina roześmiała się.

– Ostry.

– O tak, bardzo.

– Policyjny?

– Tresowany. Nasz obrońca.

– To poczekam – obcy zmienił nagle temat, poprawiając węzełek przyciśnięty pod pachą.

Pan Malewski spóźnił się na śniadanie. Zatrzymali go „jagodziarze”, którzy na trzecim oddziale, dochodzącym do samej granicy, długo starali się go przekonać, że obowiązek posiadania zezwolenia na zbieranie jagód jest nowym wymysłem, niestosowanym wcześniej przez Niemców. „Ludzie, bo granicy wtedy nie było”

– mówił im. A oni: „Jaka tam panie leśniczy granica, las i las, nic więcej.” Na razie na tym stanęło. Przyzwyczajenia ludzi silniejsze są od przypisów.

Tak opowiadał żonie pan Malewski przy śniadaniu, zanim wyszedł do obcego, który cierpliwie czekał na pojawienie się leśniczego.

– Ja od pana Wielgosa.

– Po asygnatę? Jakoś ostatnio dużo tego drzewa bierzecie. Nowy młyn stawiacie czy co?

– Ja pracuję tam od niedawna. Tym razem pan Wielgos prosi o żerdzie – odpowiedział obcy wymijająco.

– Dobrze, ale wyrobić je musicie z posuszu.

– Chętnie to zrobię, panie leśniczy.

– Asygnatę wystawię na nazwisko pana Wielgosa. Pana nazwiska nie znam.

– Kulawik, Egon Kulawik.

– Pan jest Polakiem?

– Nie, jestem Niemcem.

Weszli na ganek, przed dom.

– Ładnie pan tu mieszka – Kulawik rozglądał się ciekawie.

Pan Malewski, zdziwiony obcesowością i zainteresowaniem Kulawika, nic nie odpowiedział. Po powrocie do mieszkania zwierzył się żonie:

– Ten pomocnik młynarza zadziwia mnie. Niemiec, choć po polsku mówi całkiem poprawnie. Ciekaw jestem, co go tu trzyma?

– Bo co? – pani Michalina zapytała obojętnie.

– Niemiec powinien być po stronie swoich.

– A może on jest po stronie swoich? – pani Michalinie udał się dowcip.

Oboje zaśmiali się.

– Pamiętasz, Wiktor, jak to pan Wielgos zaprosił nas kiedyś do odwiedzenia młyna? Tyle czasu minęło, a my nic. Moglibyśmy jutro się wybrać. W drodze powrotnej przez miasto zrobię zakupy.

– Pójdiesz z dziećmi, domu nie można samego zostawić.

– Szkoda, tak bym chciała pójść z tobą, ale masz rację, ktoś musi zostać w domu.

Do obiadu zostało jeszcze sporo czasu, więc Malewski pochylił głowę nad wykazami w kancelarii. Pod koniec tygodnia

muszą się znaleźć w nadleśnictwie w Czarnym Lesie. Czas, jaki pozostał do powrotu dzieci ze szkoły, minął szybko. Leśniczy był zadowolony, gdyż nie zawsze udawało mu się zjeść obiad w gronie całej rodziny, chociaż wraz z żoną przykładał do tego wielką wagę. Oboje uważali, że obiad jest swoistym ceremoniałem, mającym znaczenie wychowawcze.

Przed wstaniem od stołu padło sakramentalne pytanie pana Malewskiego:

– A teraz powiedzcie, jakie pojutrze przyniesiecie świadectwa?

Wanda i Miecia zachichotały. Bardziej rezolutna Wanda odpowiedziała, że „chyba niezłe”, a potem odpowiedziała, jak to pan Markiton, dyrektor gimnazjum pochwalił dziś ich klasę za dyscyplinę i porządek, a ksiądz kapelan Jan Szymała, katecheta, zgniał za wyniki z ostatniej klasówki z łaciny.

– Nie wiadomo tyłko, jakie on będzie miał świadectwo – spojrzęła wymownie na Romka.

– Czemu mówisz za niego? – pani Michalina skarciła córkę wzrokiem.

– Zobaczymy pojutrze, prawda Romek? – tata wybawił go na razie z kłopotu.

– Tak, bo ja sam jeszcze nie wiem – Romek wołał nie ryzykować.

Potem, korzystając z dobrego nastroju rodziców, poprosił, aby Konrad Bazarnik mógł następnego dnia pozostać u niego na noc. Sprawa przeszła gładko, tym bardziej że chłopcy darzyli się wzajemną przyjaźnią i od czasu do czasu nocowali jeden u drugiego.

– Jeżeli Konrad ma być jutro gościem Romka, proponuję Wiktor, abyśmy wycieczkę do młyna odbyli z tobą. W domu zostaną chłopcy i Rolf – wpadła na pomysł pani Michalina.

– Tyłko co na to Romek?

– Chcemy z Profesorem opracować dla zastępów plan podchodów. Gdy będziemy sami, łatwiej będzie nam się skupić. To dobry pomysł.

– A ten twój Profesor nie będzie się bał?

– Tato, przecież on jest naszym zastępowym.

– Tego nie wiedziałem, przepraszam i zgoda. Dziewczynki, jutro wyruszamy na wycieczkę do młyna. Dom zostanie pod opieką dzielnej trójki: Romka, Konrada i Rolf.

Na drugi dzień, jak zwykle rano, pan Malewski wypuścił Rolf'a na podwórkę. Ledwie jednak zdążył z powrotem zamknąć drzwi, gdy usłyszał szczekanie psa. Rolf sygnalizował krótkimi szczeknięciami. Wrócił więc na podwórze i zastał psa w dziwnej pozycji. Przywarł on do ziemi, głowę położył na wyciągniętych łapach i uporczywie wpatrywał się w jakiś brązowy przedmiot, leżący tuż przed jego nozdrzami. Co chwila podnosił głowę i urywanymi szczeknięciami wzywał pana.

Pan Malewski oczom nie wierzył: przed nosem Rolf'a leżał spory krążek kielbasy. Pies oczywiście nie ruszył smacznego kąska, gdyż pokarm przyjmował tylko z ręki swojego pana, jednak znalezisko najwidoczniej go intrygowało.

–Dobre, dobre psisko – pochwalił go pan Malewski.

W kuchni pani Michalina przygotowywała śniadanie.

–Wiktor, skąd taki piękny krążek kielbasy? – zapytała.

–Właśnie, sam chciałbym to wiedzieć – odrzekł zdumiony Malewski. Czy zginęła ci ze spiżarni?

–Pokaż, niech się przyjrzę. Nie, z całą pewnością nie. Powiedz wreszcie, skąd ją masz?

–Rolf znalazł pod ścianą domu, w ogródku.

–Nie do wiary! Od kiedy to kielbasa z nieba spada?

–A widocznie spada – pan Malewski nie podzielał wesołości żony.

–Podejrzewasz kogoś? – spoważniała nagle.

–Sam nie wiem, co o tym wszystkim sądzić, ale...

–Wiesz co, Wiktor – przerwała mu – dam ci radę: wyrzuć ją za chlew, na kompostnik i nie myśl więcej o tym. Wróć wcześniej z lasu na obiad. Pamiętaj, że idziemy do młyna.

Pan Malewski poszedł za radą żony. Kielbasę wyrzucił i ruszył piaszczystą drogą w stronę Czarnego Lasu.

Słońce coraz wyżej wspinało się po bezchmurnym niebie. Jego ciepłe promienie padały na pola i długi pas łąki, której płytkim zagłębieniem płynął wartki strumień. Leśniczy wiedział, że wypływa on ze stawów i wielkiego zbiornika wodnego w okolicy przedzalni. Z prawej strony drogi, od samego leśnictwa brał początek stary las sosnowy. Sędziwe drzewa ostałe po trzebieżach⁵ zdawały się

5 trzebież – las po pielęgnacyjnym wycięciu zbędnych drzew

sięgać chmur, tak się przynajmniej zdawało tym, co pod nimi stali i zadzierali w górę głowy, aby przez zwartą ciemnozieloną gęstwą igliwia zobaczyć skrawek nieba. To właśnie ta droga stanowiła solidny, żywy mur, chroniący znaczną część rewiru przed naporem zachodnich wiatrów, które nie napotykać przeszkody na polnych przestrzeniach, lekkomyślnie i nierozsądnie chciały wdrzeć się w leśne dukty, przygiąć do ziemi młodniki, zaskoczyć je, uderzyć, a potem, gdzieś tam w głębi, powalić na ziemię stare, zmęczone drzewa, pohulać na zrębach i wreszcie zniknąć nie wiadomo gdzie...

W przedłużeniu tego sosnowego muru znajdował się świerkowy zagajnik, od tego miejsca sąsiadujący po przeciwnej stronie drogi z rozległym liściastym lasem. Brzozy stały rzędem nad drogą, jakby ciekawe gości tędy przejeżdżających. I tak do samej „gwiazdy”, czyli skrzyżowania, skąd wszystkie drogi zagłębiały się w las, zaś główna prowadziła do nadleśnictwa usytuowanego w starym pałacu i otoczonego gromadą dębów, z których każdy liczył sobie po kilkaset lat.

Tą właśnie drogą szedł pan Malewski, ale doszedł nią tylko do „gwiazdy”, po czym skręcił w prawo, by za chwilę szerokim duktem dotrzeć do zaniedbanej tego lata szkółki⁶. Ogrodzona przed laty, co roku bardziej dewastowana przez zwierzynę i czas, coraz bardziej upodobniała się do leśnego otoczenia. Pan Malewski zdążył już przedłożyć w nadleśnictwie ogólny plan odnowy tego miejsca, teraz chodziło o szczegóły. Właśnie na dziś umówił się z Weberem, aby dokonać ostatecznych oględzin szkółki i spisać potrzeby.

Georg Weber był Niemcem i doświadczonym robotnikiem leśnym. Pan Malewski pamiętał, jak przy obejmowaniu leśnictwa wyraził zdziwienie, że wśród trzech stałych robotników jeden jest Niemcem. Rozmawiał potem z nim na ten temat. „Panie leśniczy – mówi Weber – tak jestem Niemcem, górnośląskim Niemcem, tego nie mogę przecież zmienić i tego też nie chcę zataić. Tu się urodziłem. Cały czas pracuję w lesie, zostałem sam z żoną Gertrudą. Pełnoletni syn, Martin, z żoną optowali za Niemcami, więc wyjechali do Gliwic. Ich sprawa. Myśmy z żoną zostali, bo gdzie będziemy się po świecie tułać. Mieszkamy na skraju Droniowiczek,

6 szkółka – miejsce, gdzie hoduje się sadzonki drzew do zalesień

pod lasem, między dobrymi ludźmi. Do pracy blisko, po polsku umiem, więc myślę, że się dogadamy...”.

Dogadali się szybko.

Potem okazało się, że Weber zasługuje na pełne zaufanie. Na leśnej robocie znalazł się, pracował solidnie i uczciwie.

Teraz z robotą uwinęli się szybko.

Malewski mógł udać się w drogę powrotną do domu. Był zadowolony, widząc coraz realniej możliwość uruchomienia w przyszłym roku odnowionej szkółki. Do „gwiazdy” szedł z Weberem. Gdy wyszli z ocienionego duktu na drogę wypełnioną słońcem, Weber, idący skrajem drogi nad rowem, przystanął.

– Panie leśniczy, czemu pan daje asygnaty na żerdzie aż w dalekim trzecim oddziale, przecież posuszu więcej w pierwszym? I niedaleko.

– Weber, co też pan powiada? Przecież o tym wiem. Asygnaty na żerdzie dają tylko z pierwszego.

– Kulawik pokazywał mi wczoraj asygnatę na żerdzie z trzeciego.

– To dziwne, czyżbym się pomylił? Na przebywanie w trzecim trzeba mieć oddzielne zezwolenie.

– O to go nie zapytałem, bo nie mam prawa. Ja tylko tak...

– Nie zaprzatajmy sobie teraz tym głowy, Weber. Widocznie zaszła pomyłka. Sprawdzę przy okazji.

– Tak, tak, widocznie zaszła pomyłka, panie leśniczy – powiedział Weber bez przekonania.

Doszli do skrzyżowania. Tu rozchodziły się ich drogi. Weber wszedł na drogę do Droniowiczek, Malewski ruszył przyspieszonym krokiem do leśnictwa.

Słońce stało wysoko, było już południe.

W domu podczas obiadu panował nastrój wyczekiwania. Dziewczęta z panią Malewską cieszyły się na wizytę w młynie, Romek na odwiedzinach Konrada, a potem na męskie zadanie, jakim było zadbanie o dom pod nieobecność rodziców i sióstr.

– Wybieracie się jak sójki za morze – Malewski żartował, przyglądając się córkom, czyniącym po okiem Henryki ostatnie przygotowania do wyjścia z domu.

– Czy pójdziemy przez miasto?

– Nie. Proponuję – pan Malewski zwrócił się do żony – abyśmy w naszej dzisiejszej eskapadzie połączyli przyjemne z pożytecznym.

Pójdziemy przechadzką przez las i Park Grunwaldzki, obok boiska, a stamtąd do młyna już niedaleko. Jeżeli zdążymy, w drodze powrotnej załatwimy sprawunki w mieście, dobrze?

– Chleba trzeba przynieść, na jutro nie starczy – zdecydowała pani Michalina.

– Profesor już idzie, jest punktualny – oznajmiła Miecia, wyglądając przez okno, z którego był widok na przydomową część ogrodu, ganek biegnący od drzwi wejściowych z drewnianą altaną, furtkę w płocie i szeroką drogę.

Pan Malewski nałożył Rolfowi kaganiec. Romkowi kazał otworzyć furtkę i wpuścić Konrada. Gdy ten wchodził do pokoju, bacznie obserwował zachowanie psa. Pies jednak potraktował gościa z życzliwą obojętnością. Rolf, żeby zachować psią „twarz”, z wolna podszedł do Konrada, nosem wciągnął haust zapachu i uspokojony wygodnie położył się pod stołem.

– No druhowie, pilnujcie domu – powiedział pan Malewski, gdy dziewczęta z mamą już wyszły z mieszkania – nikogo, kogo nie znacie, nie wpuszczajcie. Rolf na razie niech pilnuje domu na zewnątrz. Pod wieczór, gdybyśmy do tego czasu nie wrócili, trzeba Rolfa odwołać do mieszkania – pamiętajcie.

– Dobrze, tato.

– Jeszcze jedno: żebyście z głodu nie umarli do chwili naszego powrotu, mama przygotowała jedzenie na stole w kuchni, a gdyby było i tego mało, Romek, ty przecież wiesz, gdzie jest spiżarnia, prawda? – pan Malewski mrugnął okiem.

– Wiem, wiem.

Stuknęły zamykane drzwi.

Rolf oswobodzony z kagańca raźnie wybiegł przed dom, aby zacząć kontrolowanie i strzeżenie obejścia, czynności tak dobrze mu znane.

Romek i Profesor po krótkiej rozmowie na różne tematy, wśród których sprawy zastępu były najważniejsze, przystąpili do przygotowywania planu zajęć na najbliższą zbiórkę. Głównym jej punktem miały być podchody w Nadleśnictwie Czarny Las. W tym celu zastęp podzielony został na dwa podzespoły: „błękitnych” i „białych”. Ci ostatni mieli na godzinę przed wyruszeniem „błękitnych” zagłębić się w najdalej położonym oddziale rewiru pana Malewskiego i zamaskować swoje stanowiska. Zadaniem

grupy pierwszej będzie tropienie śladów „białych” i wykrycie ich kryjówek. Zbiórka musi odbyć się przed piętnastym lipca, gdyż potem zaczyna się obóz w zabudowaniach nadleśnictwa.

Chłopcy po omówieniu ogólnego założenia zbiórki przystąpili do redagowania szczegółów, zapisując wszystko na razie w brudnopisie, ołówkiem.

– Gdy wygładzimy, przepiszemy na czysto, zgoda? – zaproponował Profesor.

– Zgoda. Przejdziemy wtedy do kancelarii taty, tam jest pióro, atrament i papier. Chyba najlepszy będzie w kratkę, co?

– Ale czy jest?

– Jest, nie ma obawy. Tata robi wykazy tylko na kratkowanym. Teraz będę czytał moje gryzmoły. Jak coś poplątam, zaraz przerwij mi i mów.

Poprawianie i ostateczne redagowanie treści trwało dłużej aniżeli przypuszczali.

ROZDZIAŁ VIII

Zegar wybił godzinę piątą.

Chłopcy po zaimprovizowanym posiłku w kuchni przeszli do kancelarii pana Malewskiego i tam przystąpili wreszcie do przepisywania na czysto szczegółowego planu zbiórki.

– Profesor, pisz ty, wiesz przecież, że ja gryzmołę – Romek zawsze szczerze się do tego przyznawał. Konradowi nie zostało nic innego, jak tylko zasiąść przy biurku pana Malewskiego, chwycić pióro do ręki i rozpocząć przepisywanie.

– Wcześniej się dziś ściemnia. W dodatku zaczyna grzmieć. Będzie burza. Pójdę po Rolfa.

Romek otworzył drzwi prowadzące z przedpokoju do altany. Zauważył, że pies waruje przy nich. Znudził się widać wielogodzinnym, samotnym przebywaniem na zewnątrz, gdyż nie czekając na wezwanie, wbiegł do domu. Obecność Profesora traktował nadal obojętnie, nawet nie spojrzał na niego. Obszedł wszystkie pomieszczenia, potem uspokojony i jakby w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, legł u drzwi w przedpokoju.

– Uważasz, Roman, że na zewnątrz wszystko jest w porządku? – w głosie Profesora Romek wyczuł lekki niepokój. Uległ pokusie zażartował z kolegi.

– Tak myślę, chociaż... – Romek udał, że nadśluchuje.

– Czy coś słyszysz? – teraz niepokój Profesora był wyraźniejszy. Odłożył powoli pióro i wpatrywał się w twarz Romka.

Zaległa cisza, ale tylko na chwilę, bo przerwał ją nagle wybuch śmiechu. To Romek nie mógł powstrzymać wesołości.

– Profesorze, druhu zastępowy, czego się tak przestraszyłeś, grzmotu?

– Myślałem, że...

– ... że co, że jesteśmy otoczeni przez Siuksów?

– Eee tam, Roman, zgrywus jesteś i tyle – zreflektował się Konrad. Patrząc na twoją minę, myślałem, że naprawdę coś się dzieje.

– Pożartować nie można? Przecież widzisz, że Rolf jest spokojny. Gdyby coś nam groziło, nie leżałby tak cicho.

– Tobie dobrze mówić, siedzisz w tym lesie jak borsuk, jesteś przyzwyczajony.

Potem było jeszcze trochę śmiechu, gadania o tym i owym. Wreszcie na biurku spoczęły dwa, wyraźnie napisane przez Profesora egzemplarze planu zbiórki i podchodów.

Ani się spostrzegli, gdy do pokoju zaczął wkradać się zmierzch. Ale i burza zbliżała się coraz bardziej. Słońce z pewnością wisiało jeszcze gdzieś daleko nad horyzontem, ale leśniczówka, przytulona do cienistej ściany burego lasu wcześniej zaczęła zanurzać się w mroku. Meble i inne przedmioty w pokoju straciły stopniowo wyrazistość kształtów. Szarość zaczęła je obejmować we władanie. Obrazy na ścianie, za dnia przyjazne oczom, teraz pozbawione światła dziennego, zmieniały się w szare plamy bez treści i znaczenia. Znać było, jak niechętnie dzień uchodzi przed nocą. Gdy błyskawica rozjaśniała niebo, meble padały pokracznym cieniem na ściany. Wtedy chłopcy głośno odliczali sekundy do czasu, kiedy po nieboskłonie przetoczy się grzmot. Jeszcze daleko. Teraz bliżej, a teraz chyba nad nami – obliczali.

– Tata mówi, że burzom trudno przedostać się nad lasami. Kołują, kołują i długo trwają.

W pewnej chwili Profesor napomknął o zapaleniu światła. Romek, przyzwyczajony do obcowania z taką właśnie porą na granicy dnia i nocy, rozmyślnie zwlekał. Chciał też, aby Konrad, nie nawykły do przebywania o zmierzchu na takim, bądź co bądź, odludziu, nabrał do tego miejsca więcej zaufania, a może nawet szacunku. Romek nie mógł zapomnieć tych uszczypliwych słówek, przez kolegów-mieszczuchów wypowiedzianych niby to od niechcienia, pół żartem, pół serio, gdy on, zakochany w lesie po uszy, roztaczał przed nimi wizję leśnego życia. Gdy już nie starczyło drwinek, mówili: „Czemu nie, czemu nie, można przecież las odwiedzić w niedzielę na godzinę, dwie, nazbierać grzybów albo jagód, ale żeby w nim zamieszkać na stałe, no to już nie. Daruj, ale naprawdę nie”.

W tym chórze zabrakło głosów Profesora i Alojza. I dlatego Romek ich polubił. I na to nie trzeba było ani tygodni ani miesięcy. Polubił ich i już. Oni obaj odstawali od innych, dzielali jego pasję czytania książek, nie drwili z lasu, z zaciekawieniem słuchali opowiadań o leśnych zwierzakach. Popołudnia spędzali na podchodzeniu i podpatrywaniu zwierzyny i ptaków, szukaniu żmij zygzakowatych, wygrzewających się w słońcu na leśnych ścieżkach, a wieczory na głośnym czytaniu ciekawych książek z dopiero co otwartej biblioteki Czytelni Ludowej. Nadszedł też czas czytania „szwat”. Były to, książeczki, a raczej broszurki o detektywach ukazujące się po raz pierwszy na Śląsku. Królowali w nich Sherlock Holmes, Nat Pinkerton, Nick Carter i dżentelmen włamywacz, Arsen Lupin. Dopiero później zdystansował ich czerwonoskóry Winnetou Karola Maya.

– Twoich rodziców długo nie widać – napomknął Profesor.

– Widocznie wycieczka udała się, może też wstąpił do znajomych w mieście i chcą przeczekać burzę – Romek uspakajał zniecierpliwionego przyjaciela.

Nagle Rolf, dotychczas spokojnie leżący pod drzwiami w przedpokoju, wstał, przyłożył nos do szpary w drzwiach i węszył. Po chwili wrócił na dawne miejsce. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie pewien szczegół, który uderzył Romka. Pies, zamiast zgodnie ze swym zwyczajem położyć się pod stołem, zaczął niecierpliwie obchodzić pokój. Gdy na moment przystawał, do siedzących przy stole chłopców dochodziło jego sapanie.

– Roman, Rolf węszy...

– Słyszę, może wyczuł rodziców. Otworzę drzwi.

– Nie, nie otwieraj, poczekajmy jeszcze.

Rolf przyspieszył obchód pokoju. Widzieli jego szary cień i słyszeli twardy szelest łap na deskach podłogi. Po chwili sapanie zmieniło się w cichy, ale zaniepokojony skowyt. Przyłgnęli do krzesel, z przejęciem śledzili każdy ruch psa.

Nagle Rolf podszedł do Romka.

Błyskawica, która w tym momencie rozdarła mrok, pozwoliła Romkowi ujrzeć pysk psa i oczy wpatrzone w jego twarz. Romek pochylił się. Rolf, Rolf, co chcesz mi powiedzieć? – przemknęło przez jego głowę niespokojne, podejrzliwe pytanie, ale zaraz uznał

je za niedorzeczne, bo pies znowu zaczął swoje kołowanie. Jednak tylko na chwilę.

Zdecydowanie i szybko przerwał obchód i znów podszedł do Romka. Nosem trącił go w nogę. Zdziwiony Romek w pierwszej chwili nie zareagował. Może pies niechcący zawadził o moje kolano? – pomyślał.

Za chwilę poczuł, jak pies trąca go zdecydowanie mocniej, jakby ponagłająco.

Poderwał się więc z krzesła i wtedy Rolf jednym susem znalazł się przy drzwiach.

Niemal jednocześnie rozległ się rozdzierający powietrze suchy trzask błyskawicy i huk grzmotu. Na podłogę przedpokoju spadła z brzękiem blaszana skrzynka, kryjąca w swym wnętrzu przewody telefoniczne. Sam telefon krótko i jękliwie zaterkotał i natychmiast zamilkł.

–Jezus, Maria! Piorun uderzył w dom! – krzyknął Profesor, przewracając się o krzesło, z którego tyle co podniósł się Romek.

Nowa błyskawica pozwoliła mu podnieść się na nogi. Ręką trafił do kontaktu. Pokój zalany został światłem.

–Zgaś! Okna nie zasłonięte! – Romek krzyknął przez grzmot.

Pokój znów utonął w ciemnościach. Ale tylko na chwilę. Teraz już pioruny były jeden za drugim. Bez opamiętania.

Jednocześnie o blaszany dach leśniczówki zaczęły bębnić wielkie krople deszczu. Zrazu usłyszeli pojedyncze uderzenia, ale nie minęła nawet minuta, a chłopcom wydało się, że nad ich głowami niebo pękło i teraz wylewa całe morze deszczu.

–Roman, co teraz? – Profesor był niemal zdruzgotany.

–Piorun uderzył blisko, ale nie w nasz dom – głos Romka dochodził do Profesora zniekształcony szumem ulewy, która nie zamierzała odpuścić.

–Musimy zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz, Rolf nadal nie daje spokoju.

–Taka burza, dziwisz mu się?

–Podejrzewam, że nie o burzę mu chodzi.

–A o co?

–Gdybym wiedział... Otworzę drzwi, zobaczymy jak wtedy się zachowa. Wyjdziemy na drogę, może rodzice nadejdą.

–W taką ulewę?

– Włóż pelerynę, ja wezmę kurtę ojca. Gotowe?

– Uważaj, otwieram.

Romek powoli odciągnął ciężką zasuwę, przekręcił klucz w zamku i nacisnął klamkę. Drzwi stanęły otworem. Do pokoju wtargnęła jednostajny, ale natarczywy szum deszczu i zapach mokrej ziemi.

Rolf tylko na to czekał.

W świetle błyskawic olbrzymimi susami dopadł furtki. Tam stanął i skomleniem ponaglał chłopców.

Wyszli. Panowała ciemność, błyskawice były teraz już rzadsze. Burza zdawała się oddalać.

Zaczęli się rozglądać. Ulegli złudzeniu, że za sprawą niewidzialnych sił nagle znaleźli się w jakimś nieznanym sobie miejscu. Z lewej strony domu rysowała się podłużna czarna plama starego lasu. Podstawa jej była niewidoczna, gdyż wyrastała z równie ciemnego podłoża, za to górna granica wyraźnie odcinała się od jasnych chmur, które napłynęły w miejsce tamtych, rozpędzonych przez wiatr. Od strony pól i cegielni niebo wisiało nad ziemią ołowiane i wciąż jeszcze groźne.

Gdy znaleźli się na drodze, usłyszeli głucho, przeciągłe buczenie. Dochodziło z daleka, od strony przędzalni. Było w tym przerwany i nagłym buczeniu coś bardziej zatrważającego niż błyskawice i grzmot. Romkowi mimo woli przesunął się w myślach opis tonącego okrętu, na którym kapitan na pożegnanie uruchomił syrenę okrętową.

Rolf nadal zdradzał niepokój. Odbiegał, powracał i znów odbiegał, jakby chciał ich zmusić do pójścia jego śladem.

Tak też zrobili.

Kiedy uszli kilkadziesiąt kroków i znaleźli się w miejscu, w którym ogród dochodził do łąki, do uszu ich doleciał głuchy szum wody, odgłosem podobny do wodospadu.

Syrena wyła daleko. Szum wydawał się bliski.

– Rolf uciekł, zostawił nas, zamknij dom, biegnijmy do miasta

– Profesor nie panował już nad nerwami.

– Nie, patrz, pies wraca! Rolf, Rolf! Chodź do mnie. Do nogi – Romek przywoływał psa.

Ale Rolf za chwilę znów odbiegł.

– Coś tam musi być. Chodźmy za nim – zdecydował Romek.

Uszli kilka kroków, grzęznąc w błocie. Czyżby ulegli nowemu złudzeniu? Oto droga, po której człapali, skończyła się, a oni nagle stanęli przed nieznaną, rozlaną i rozjaśnioną przestrzenią, zaczynającą się od ostatnich drzew ogrodu, ginącą gdzieś dalej w kierunku niewidocznych stąd zabudowań cegielni.

– Woda, wszędzie woda! Powódź! – krzyknął Profesor.

– Skąd ona tu napłynęła? – Romek też się przeraził.

Obaj czuli, jak wraz z szumem tej wody przewalającej się przez wysoki i szeroki nasyp drogi, wraz z chłodem, jaki ciągnął od niej, ogarnął ich lęk przed nieznanym żywiołem.

Droga do miasta była odcięta.

Teraz dopiero Romek zrozumiał instynktowny niepokój psa. Rolf, mądre, kochane psisko!

Z daleka, z ciemności wciąż dochodził ochrypty, basowy głos syreny, przeplatany pomrukami oddalającej się burzy.

Podeszli na sam brzeg rozlewiska.

Rolf teraz już nie opuszczał ich ani na krok. Romek dotknął jego mokrego grzbietu. Czuł, jak całe ciało tego wielkiego psa drży z emocji.

Poprzez ciemność dochodził ich szum wody w przepuście. Słyszeli, jak pod drogą kotłuje się i napiera i jak po drugiej stronie, uwolniona z kamiennej gardzieli pędzi, coraz bardziej wypełniając wodą przestrzeń między wysokim lasem a młodnikiem.

Nagle doleciał ich krzyk z tamtej strony rozlewiska.

Próbowali odpowiedzieć tamtym głosom, jednak zaprzestali, kiedy stwierdzili, że szum wody i deszczu zagłusza ich wołanie.

– To z pewnością rodzice – dla Romka nawet niepewne przypuszczenie stało się krzepiące.

Ani się spostrzegli, że stoją po kostki w wodzie, która z wolna, ale uparcie podnosiła się, zalewając niżej położoną część ogrodu i drogi.

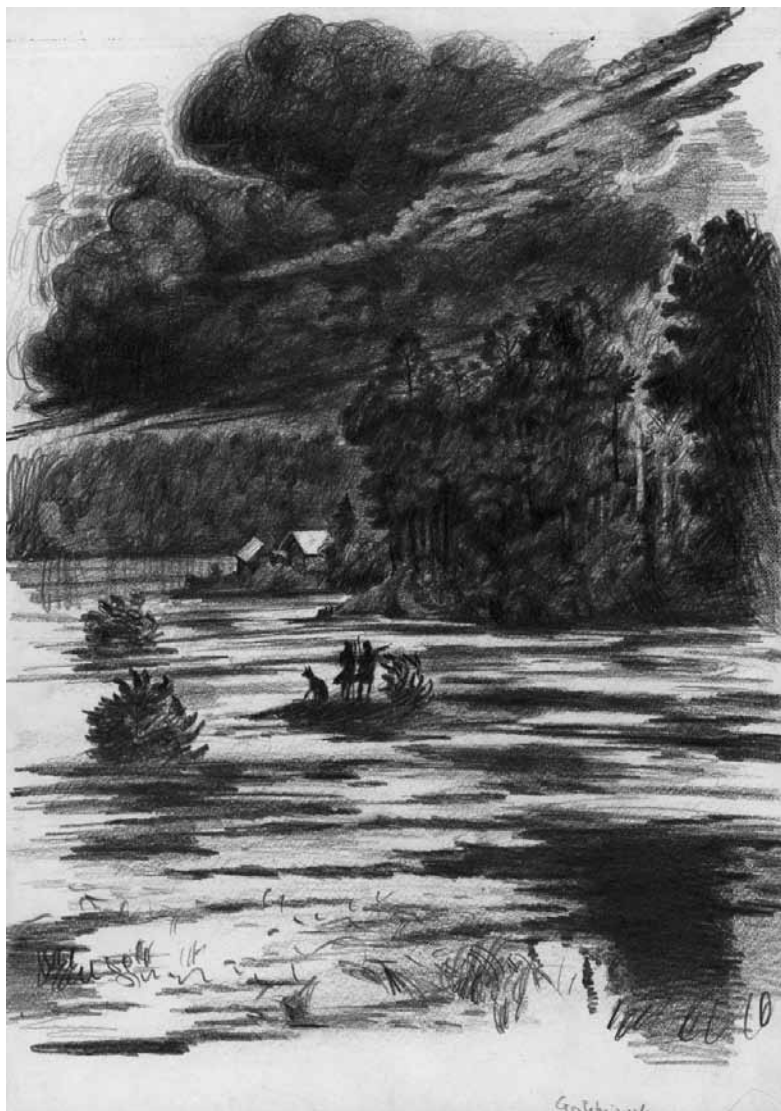
– Zatopi nas – Profesor trząsał się jak osika.

– Nie – Romek starał się nadać głosowi spokojne brzmienie, choć sam wewnątrz dygotał.

– Dlaczego nie? – Profesor podchwycił skwapliwie.

– Bo dom stoi na górze.

– Jaka tam górką, co za górką – Profesora znów napadły wątpliwości.



– Woda, wszędzie woda! Powódź! – krzyknął Profesor

– Mówię Ci, że do domu nie dojdzie. Mam nadzieję – Romek dodał już mniej pewnie.

Cofnęli się, kiedy pod stopami znów poczuli wodę.

Może to i dobrze, że ich chłopięce niedoświadczenie nie nasu-
nęło im na myśl całej powagi zagrożenia, wobec jakiego przyszło
im nagle stanąć. Zareagowali na nie tak, jak najprawdopodobniej
zareagowałoby wielu dorosłych ludzi, to znaczy z przestrachem,
ale bez paniki. Oceniając jednak zagrożenie rosnącym poziomem
wody i to tylko na drodze, na której stali, popełnili błąd.
Nie uwzględnili bowiem niżej położonego ogrodu. Tam bowiem
poziom wody rósł szybciej. Woda do leśniczówki tą drogą miała
ułatwiony dostęp.

– Dopóki woda znów nie odsłoni drogi, nie wydostaniemy się
stąd – słusznie zauważył Romek.

– Ani twoi rodzice nie wrócą do domu – uzupełnił Profesor.

– Wracajmy, przemokliśmy do suchej nitki. Pozostało nam tyl-
ko czekanie.

W domu przestraszyli się swego wyglądu. Chwilę postali
w przedpokoju, a już wokół nich pojawiły się kałuże wody. Ro-
mek pokręcił się po mieszkaniu i przyniósł kilka szmat, którymi
starał się zebrać zgromadzoną w przedpokoju wodę, potem starym
ręcznikiem przetarł sierść Rolf.

Leniwie mijały minuty. Chłopcy uwięzieni w leśniczówce nie
potrafili znaleźć miejsca dla siebie. Raz po raz podchodzili do okna
sprawdzając, czy burza już się skończyła.

– Przestało padać. Wyjdę do ogrodu. Zobaczę, jak daleko po-
deszła woda – powiedział Romek.

– Wracaj zaraz – Profesor sam czuł się nieswojo.

Po chwili Romek pojawił się znowu w pokoju.

– Woda zalała dolną część ogrodu. Na wszelki wypadek trzeba
przeprowadzić krowy do szopy. Pomożesz mi?

Już mieli wychodzić, gdy z kancelarii pana Malewskiego do-
biegł ich głos telefonu.

Romek zaintrygowany podniósł słuchawkę.

– Tato, to ty?

– ...

– O niczym nie wiedzieliśmy. Rolf nas zaalarmował.

– ...

- Właśnie sprawdzałem, doszła do połowy ogrodu.
- ...
- Nie wiem. Jest za ciemno. Deszcz przestał padać.
- ...
- Dobrze.
- ...
- Dobrze tato. Trzymamy się, będziemy czekać.
Romek skończył rozmowę.
- Wszystko ci opowiem, tylko przeprowadźmy wpierw Czerwoną i Łaciątą.

Krowy łatwo dały się zaprowadzić do nowego pomieszczenia. Szopa stała w kącie podwórza, na lekkim wzniesieniu. Za nią biegła droga do Czarnego Lasu.

- Tata ma rację, tu woda nie dojdzie. Ze świnią nie damy rady, musimy zrezygnować.

Gdy wrócili do mieszkania, Romek zrelacjonował Profesorowi rozmowę telefoniczną z ojcem. Pan Malewski dzwonił z komisariatu policji. Woda, która zalała łąki i drogę, pochodzi ze zbiornika i stawów przędzalni. Ktoś otworzył śluzę, woda runęła na stawy, poprzerywała groble i teraz spływa dolinką koło nas. Sytuację pogorszyła ulewa, jakiej – jak mówił pan Malewski – dawno nie było. Sam próbował dotrzeć do chłopców od strony miasta, potem Droniowiczek, wreszcie z drugiej strony: od Parku Grunwaldzkiego. Bez skutku. Trzeba czekać aż woda spłynie z drogi.

- Twój tata powiedział, że „ktoś otworzył śluzę”. Co to znaczy „ktoś”? – Profesor zawsze był dociekliwy, więc i tym razem w pamięci zarejestrował słowa pana Malewskiego, które go szczególnie zaintrygowały.

- Tata tak rzeczywiście powiedział, ale co to znaczy, sam nie wiem – Romek również był ciekawy.

Czas płynął powoli.

Ulokowali się w narożnikach kanapy i w oczekiwaniu na opadnięcie wody oraz powrót rodziców Romka walczyli ze snem. Rolf leżał spokojnie w przedpokoju obok drzwi. Też zdawał się drzeć. Od czasu do czasu wstawał, wchodził do pokoju, ale potem znów wracał na poprzednie miejsce. Burza kończyła gniewne kołowanie nad lasem. Zegar wybijał kolejne godziny. Nic nowego się nie działo.

Pierwszy ze snu otrząsnął się Profesor.

– Roman, może by tak zobaczyć, co z wodą?

– Dobrze. A która to godzina? – Romek kciukami przetarł oczy.

– Przed chwilą zegar wybił drugą.

– Chodźmy.

Zrezygnowali jednak z wychodzenia na drogę. Lampa zapalona nad drzwiami prowadzącymi na podwórko rzuciła rześiste światło daleko w ogród. Tam też poszli. Zdumieni, w brzasku budzącego się dnia zobaczyli ogród uwolniony już od topieli. Po śliskim gruncie zeszli na dół, w pobliże świerka, wiekowego olbrzyma, który samotnie wyznaczał granicę ogrodu i łąki. Za nim widniała jeszcze jasna powierzchnia wody, jednak płynąca już znacznie węższym pasmem i znacznie wolniej niż przedtem.

– Teraz na drogę, może już wolna!

Pobiegli.

Pies widocznie podzielał ich zaciekawienie. Biegł przed nimi.

Ich przewidywania spełniły się: wody z każdą chwilą ubywało. Doszli do miejsca, w którym woda nie mogąc już przepłynąć ponad powierzchnią drogi, wciąż jeszcze gniewnie atakowała kamienny przepust. Z hukiem zniknęła pod powierzchnią drogi, znacząc z drugiej jej strony swój bieg pianistym nurtem.

Kiedy tak stali w milczeniu, nagle usłyszeli od strony miasta nawoływania. Odpowiedzieli okrzykami.

Właśnie wtedy zza starych, wysokich sosen wyrzało słońce.

ROZDZIAŁ IX

Po nocy pełnej przygód wszyscy długo spali. Pozwoliły na to pierwsze dni upragnionych wakacji. Tylko pan Malewski na prośbę policji z samego rana udał się z Rolfem na teren przędzalni. Tam już oczekiwali na niego komisarz Rudziński i funkcjonariusz Kurzeja.

Rolf, którego zabrał ze sobą leśniczy, miał pomóc w wytropieniu jednego z dwóch sprawców wczorajszej powodzi.

Ustalenie stanu faktycznego przestępstwa nastąpiło krótko po jego zaistnieniu, to znaczy wtedy, kiedy zaalarmowana syrena i telefonem policja znalazła się na terenie przędzalni.

Kubera, ślusowy, nie miał nic do zatajenia. Tego dnia jak zwykle siedział w swej służbówce u wejścia na główną groblę i myślał – tak zeznał – że chyba będzie burza, bo noga kontuzjowana pod Verdun zaczęła mu znów mocno dokuczać. „Jak mnie tak zaczniesz ten gizd świdrować od kostki aż do kolana, to, panie komisarzu, wiem, że przyndzie jakaś zmiana, jak amen w pacierzu”. I Kubera miał rację, bo pod wieczór od strony Koszęcina zaciągnęło się i zaczęło grzmieć. Zdaniem Kubery, nie było tak źle, bo burze od tej strony nie mają takiej siły ani zaciętości, bo jak nie daj Boże nadejdzie ta od strony Kokotka i zatrzyma się nad lasem i stawami, to już, jak pod Verdun, istny koniec świata. „Piorunami prasko raz ta, drugi raz tamta, a bywa, że obie razem”.

Kubera zapewniał komisarza, że niejedną taką burzę już tu w przędzalni przeżył.

Kiedy komisarz Rudziński zwrócił mu uwagę, aby zamiast o burzy opowiadał o tamtych dwóch „osobnikach”, Kubera odpowiedział, że właśnie o burzy musi mówić, bo gdyby nie burza „na pewno nie udałoby się tym chacharom otworzyć śluzy”. Więc była ta burza od Koszęcina, ale chmury znad Czarnego Lasu i Kokotka też już pomrukiwały. Wtedy lunął deszcz. Ale jaki! Kubera

patrzył jak okno zalewają strugi deszczu. Wtedy ktoś załomotał w szybę i krzyknął: „Kubera, masz zaraz przyjść do biura przędzalni”. Ani nie zdążył się zapytać, po co i do kogo. Przyjrząc się temu, co łomotał w szybę, też nie dał rady, podział się gdzieś, jakby pod ziemię się zapadł. Więc Kubera naciągnął na grzbiet pelerynę i skierował się w stronę zakładu. Łaził po placu, poszedł do biura. Zamknięte. Stróż o niczym nie wiedział. Kubere diabli brali na taki porządek i na taki deszcz. Wrócił na drogę do służy i tak myślał: wody przybędzie nad miarę, trzeba będzie jej potem trochę upuścić służą. Gdy tak szedł, wciąż w deszczu i błyskawicach, spotkał jakiegoś do cna zmoczonego chłopca, chciał go spytać, co tu robi, ale zanim gębę otworzył, tamten już go minął. Pochylił się i „gnoł, panie komisarzu, aż mu się galoty trzęsły”. A on, Kubera, chwilę posiedział w służbówce, potem postanowił zobaczyć, czy służy nie należałoby trochę podnieść. Ale ani rusz nie mógł znaleźć korby. „Tu na tym regale zawsze leżała, panie komisarzu, a teraz zniknęła jak kamfora”. Więc ruszył ku służce bez korby. Ledwie uszedł kilka kroków – struchlał. Od służy szedł szum, jakby od jakiegoś morza. Zaczął biec. Stało się to, co myślał, służa była otwarta. Ale jak! Na cały regulator. Woda runęła na stawy, przewracała mnichy⁷ i szerokim rozlewiskiem szła w dół. A on Kubera, stał przed służą, myślał, że nogi mu wrosły w ziemię. Taki był bezradny i taki przerażony. Dopiero po chwili ruszył na plac do przędzalni, do syreny. Czy kogoś widział? Ano, tego pochylonego, mijanego w deszczu, a tak to nikogo. Chyba żeby tam po drugiej stronie służy. Tak, tam ktoś biegł groblą, ale nad wodą już była mgła, więc może mu się to tylko zwidziało, głowy nie mógłby dać za to. W ogóle, jak pomyśli o tym, co tu kilka godzin temu się działo, sam nie wie, czy to było naprawdę, czy mu się śniło.

Komisarz Rudziński mruknął, że co to za sen, skoro woda uszła ze zbiornika razem z całym zapasem lnu, który się tam moczył, a ze stawów poszły wszystkie ryby? I korby nie ma. Właśnie, gdzie jest korba? Kubera szukał cały wieczór i teraz rano też. Na nic, nie ma i koniec. Na to pan Malewski wtrącił, że nie ma co korby szukać, bo ten co służę korbą otworzył, na pewno albo ją zabrał, albo ją utopił.

7 mnich – urządzenie do regulowania poziomu wody

I na tym stanęło.

Teraz pozostało pytanie, kto otworzył służę?

–Wróćmy jeszcze raz do tego, o którym żeście, Kubera, powiedzieli, że mijał was, gdy wracaliście z przędzalni. Opiszcie go, jak wyglądał?

Kubera nie odpowiedział od razu.

Na jego kanciastej twarzy widać było zasepienie. Znać, że zastanawiał się nad pytaniem komisarza. Wreszcie przestał przestępować z nogi na nogę.

–Mówiłem przecie, że deszcz lał, byłem opatulony peleryną, świata nie widziałem tyle, co pod nogami. Tamtego zobaczyłem dopiero, gdy już miałem na niego wleźć.

–Jaki był, wysoki czy mały, chudy czy tęgi?

–No taki sobie, ani chudy, ani gruby. Zgarbiony od deszczu, a może się pochylił, żeby go nie poznać. Gęby nie widziałem. Jedno jest pewne – Kubera dodał po namyśle – że musiał być młody, bo gnał, jakby go pies w żyć ugryzł.

–Nie mogliście go zatrzymać?

–Chciałem, panie komisarzu, ale nie zdążyłem. Chwilę to jednak patrzyłem za nim.

– Czemu?

–Sam nie wiem...

–Czy was, Kubera, coś zaciekało, na coś zwróciliście uwagę? – komisarz z zawodowego nawyku przyczepił się do ostatnich słów Kubery.

–Prawdę mówiąc, to nie, tylko...

–Tylko co? – nalegał komisarz.

–Eee tam, panie komisarzu, głupota i tyle.

–Jaka głupota?

–A no taka, że wydawało mi się, że on kuleje, ale to pewnie przez dziury w drodze, więc nie ma co gadać.

Potem komisarz chciał, aby pan Malewski przeszedł z Rolfem na drugą stronę otwartej wciąż służy i spróbował, czy pies nie naprowadzi go na ślad tego, o którym Kubera mówił, że „biegł groblą”.

–Możemy spróbować – Malewski od samego początku był sceptycznie nastawiony do angażowania Rolfa – ale, moim zdaniem

to nic nie da. Ziemia i ślady są dokładnie splukane przez deszcz, pies w takich warunkach jest bezradny.

I tak też było.

Rolf kręcił się po grobli, szukając tropu, jednak nadaremnie.

– Oni wiedzieli, kiedy przeprowadzić akcję. Najlepiej w burzę i ulewę. Pamiętam, jak na froncie pod Verdun...

– Dobrze już, dobrze, Kubera. W południe zgłosicie się na komisariacie, spisane zostaną wasze zeznania – uciął komisarz zniecierpliwiony.

Pan Malewski zwlekał z odejściem. Intrygował go w opowieści Kubery pewien szczegół, na który komisarz prawdopodobnie nie zwrócił uwagi. Gdy więc ten odszedł, leśniczy podszedł jeszcze raz do Kubery i zapytał:

– Wspomniał pan o tym, że jak się panu zdawało, człowiek, którego pan na grobli mijał, kulał. Czy tak?

– Ano tak mi się zdawało.

– Mógłby pan mi powiedzieć, na którą nogę?

– Czy to nie wszystko jedno na którą, panie leśniczy? – Kubera się roześmiał.

– Pewnie, pewnie, że wszystko jedno, ja się pytam tak tylko z ciekawości.

Widać było, że Kubera się zastanawia. Podrapał się po głowie i powiedział:

– Na pewno nie mogę powiedzieć, czy on w ogóle kulał, a pan mnie tu jeszcze pyta, na którą nogę...

– A jednak niech pan pomyśli.

Więc Kubera myślał. Wreszcie powiedział krótko:

– Na prawą.

Leśniczy i pies powrócili do domu.

Teraz pan Malewski miał okazję i czas dokładnie przyjrzeć się skutkom owej nagłej, całe szczęście, że krótkotrwałej, powodzi. Woda, co prawda, spłynęła już z okolicznych pól i ogrodu, zaś na powierzchni drogi pozostał po niej tylko odrażający lepki muł, ale w długim i wąskim zagłębieniu zamiast bujnej zielonej trawy rozpościerała się zabrudzona i szara płaszczyna grząskiej łąki. Strumień też nie wydawał się ten sam. Rozrośnięty w swym dotychczasowym rachitycznym łóżysku, teraz po nocy płynął jeszcze zawadiacko, ucieszony wczorajszą nagłą i wyimaginowaną szansą

stania się rzeką. Przepust pod drogą był dla niego pierwszą przeszkodą. Solidny i sklepiony, wymurowany wielkimi kamieniami, gotowy był przyjąć i przepuścić nawet największe burzowe ulewy, ale żeby powódź? Zrazu w pośpiechu i łapczywie połykał ten wczorajszy niespodziewany przyływ, cierpliwie, choć z coraz większym wysiłkiem przepuszczał go na drugą stronę drogi, ale jak długo można było wytrzymać napór? Więc gdy wreszcie zakrzusił się i skapitulował, wodzie nagromadzonej przed nasypem drogi nie pozostało nic innego, jak sforsować ją i runąć na jej drugą stronę.

Potem przyszło opamiętanie.

Wody z każdą chwilą ubywało. Strumień początkowo zagarniał ją w łożysko i pchał w przepust, ale gdy jej resztki spływać już zaczęły z najdalszych zakątków, stał się znowu podobny do tamtego strumienia sprzed dwóch dni. Wtedy sklepiony przepust także odetchnął.

Pan Malewski przystanął na chwilę, rozejrzał się po łące z tej i tamtej strony drogi, posłuchał dudnienia wody, wydobywającego się z tunelu, próbował policzyć snopki lnu, które tu i ówdzie zatrzymane zostały przez gałęzie i pomyślał o Rolfie i dwóch dzielnych chłopcach, którzy przetrzymali nocną próbę odwagi.

Jeszcze nie doszedł do ogrodowej furtki, gdy usłyszał wołanie Romka:

– Tato, tato, chodź prędzej!

– Co ci tak pilno?

– Kraska nie żyje. Zdechła.

Pan Malewski nie wchodził już do domu, obszedł go od strony szczytu i znalazł się na podwórku. Tu zastał Wandę i Romka pochylonych nad suką Kraską, młodym psem podwórzowym.

– Jak to się mogło stać?

– Wanda znalazła ją koło kompostnika. Już nie żyła. Przynieśliśmy ją tu bliżej domu. Mama już widziała.

– Szkoda Kraski, ale trudno, nic na to nie poradzimy. Romek, zakopcie ją za szopą, tam ziemia miękką.

W kuchni pani Michalina krzątała się koło śniadania.

– Podobno już widziałaś?

– Tak. Żal mi psiska. A jak myślisz... – pani Michalina przestała na chwilę nalewać kawę do kubków i zawiesiła wzrok na twarzy męża.

– Co mam myśleć, zdechła i tyle. Tak już jest, że psy zdychają. Pamiętaj Kruczka, Normę?

– Pewnie, że pamiętam. Kruczek wpadł pod wóz. Norma zdechła z ran, postrzelona przez tego niedołęgę Cypcera, ale dlaczego Kraska? Nic ci nie przychodzi na myśl?

– Absolutnie.

– No to ja ci, panie mężu, powiem: a kielbasa?

– Jaka znowu kielbasa?

– Ta, którą wyrzuciłeś na kompostownik.

Malewski z wolna uniósł się z krzesła. Przez chwilę patrzeli na siebie w milczeniu.

– Kielbasa, powiadasz?

– Dzieci mówią, że w kompostowniku już jej nie ma. A Kraska zdechła...

Pan Malewski przetarł ręką czoło, jakby odgarnąć chciał złe myśli.

– A Kraska zdechła... – w zamyśleniu powtórzył za żoną. Rzeczywiście, ale to straszne, gdyby było tak, jak mówisz.

– Nie ja mówię, ale fakty mówią za siebie, Wiktorze, a one czasem bywają rzeczywiście złe.

Pani Michalina znów powróciła do napełniania kubków kawy. Na dużym talerzu piętrzył się stos skibek chleba.

– Dziś żuru nie będzie. Dla odmiany kawa i chleb. Musimy nasze menu urozmaicić w czasie wakacji – pani Michalina zmieniła temat rozmowy.

Przez otwarte okno dochodziły już głosy powracających dzieci. Widocznie zakończyły psi pochówek.

– Wiktorze, póki dzieci nie ma, powiem ci coś jeszcze, co przyszło mi do głowy.

– Mów szybko, bo już idą.

– Ta kielbasa wcale nie była przeznaczona dla Kraski, tylko dla Rolfa.

Do kuchni weszli Wanda i Romek. Zdali rodzicom krótkie sprawozdanie z „pogrzebu” Kraski. Pan Malewski słuchał ich roztargniony, myślami był przy tym, co powiedziała żona. Jeżeli zatruta kielbasa przeznaczona byłaby dla Rolfa, to sprawa jest groźniejsza, aniżeli oboje przypuszczają, gdyż mają do czynienia z jakimś działaniem utajonym i zamierzonym, kto wie, czy nie

zbrodniczym. Idąc śladem takiego rozumowania, otrucie Rolfa nie byłoby celem samym w sobie, lecz tylko środkiem do celu. Ale jakiego?

Rodzicom nie dane było dokończyć rozmowy, gdyż nadszedł pan Weber, takie bowiem otrzymał polecenie od Malewskiego wydane dwa dni temu w czasie lustracji szkółki – udać się do nadleśnictwa w Czarnym Lesie, a potem, jeżeli zajdzie potrzeba, uzupełnić dane dotyczące szkółki i powtórnie dokonać pomiarów na miejscu. Ale Weber i bez tego polecenia musiałby zjawić się w leśnictwie.

– Niech pan usiądzie, panie Weber, i chwilę poczeka, zaraz będę gotowy, tylko skompletuję papiery i wezmę naboje do drylinga. Nowy, trzeba go przestrzelać.

– Pani leśniczy, znalazłem trupa w lesie.

– Jezus Maria, panie Weber, co pan powiedział? – pani Michalina zawołała przerażona.

– Trup mężczyzny w rowie.

– Gdzie?

– Od „gwiazdy” w prawo, będzie z dwieście metrów. Leży głową do ziemi, na dnie rowu. Nie żyje.

Pan Malewski wiadomość o trupie przekazał telefonicznie komisarzowi, a sam, nie tracąc czasu, ruszył z Weberem w drogę.

Romek często towarzyszył ojcu w jego leśnych wędrownkach, najczęściej popołudniami. W letni, wakacyjny czas ruszali z rana, by powrócić na obiad, czasem później. Tym razem jednak pan Malewski postanowił pójść tylko z Weberem. Na nic się zdały prośby Romka. Jak zwykle w takich sytuacjach zadecydował głos pani Michaliny. „Oglądanie trupów to nie dla ciebie, Romku” – powiedziała. Więc został.

I dobrze, że został, gdyż niedługo po odejściu ojca i Webera Rolf, leżący w cieniu altany, zaszyfrował nadejście obcych. Gdy Romek wyszedł przed dom, zobaczył przy furtce Piegusa i Chudego. Wiedzieli, że każdy ostrzejszy ruch może rozdrażnić Rolfa, stali więc nieruchomo w pewnej odległości od furtki w przekonaniu, że ktoś z domowników wreszcie ich dostrzeże.

I tak też się stało.

Romek, jak zwykle w takich sytuacjach, zamknął Rolfa w kancelarii, a sam usiadł z gośćmi w altanie.

Piegus nie zwlekał z wyjaśnieniami celu wizyty. Od samego rana miastem owładnęła stugębna fama o powodzi spowodowanej wysadzeniem w powietrze śluzy.

Wiesz, Roman – powiedział – w mieście mówią, że woda zabrała po drodze pół Droniowiczek i że leśniczówka zalana.

O tym, że w tej plotce nie było wiele prawdy, chłopcy przekonali się, gdy w drodze do leśniczówki zawadzili o Droniowiczki – które jak stały, tak stoją. Leśniczówka zresztą też. A co ze śluzą, nie wiadomo, gdyż na jej teren nie wpuszczano nikogo.

– A tu tylko struga zgrubiała – dopowiedział po chwili zawieszony Piegus.

– Wczoraj wieczorem i w nocy było tyle wody, że szła przez drogę – tą wiadomością Romek chciał Chudego i Piegusa wprowadzić w podziw, co udało się tylko częściowo, gdyż Piegus zapytał „naprawdę?” i na tym się skończyło. Szkoda, że ich tu nie było wczoraj wieczorem i w nocy, gdy pioruny biły, na pewno trzęsłiby portkami – pomyślał Romek.

Miał pójść z mamą do miasta, pomóc jej i siostrze w zakupach, których nie udało się zrobić wczoraj z powodu burzy, ale przyjscie kolegów zmieniło ten plan. Gdy chłopcy zostali sami, ich nastrój radykalnie się zmienił. Miejsce pewnego onieśmienia, które mogło być spowodowane obecnością pani Malewskiej oraz tym, że byli tu po raz pierwszy, zajęła wesołość granicząca z nonszalancją. Wspominali biwak w Woźnikach i wypadek Romka z widłami, a także wspólnie przeżyte przygody, które miały miejsce podczas zbiórek drużyny. Zabrali się też do przeglądania książek zgromadzonych w skrzynce Romka. Chudy, nie mogąc się oprzeć ciekawości, w pewnej chwili zapragnął poznać wnętrze domu. Zwiedzanie postanowił rozpocząć od przedpokoju, do którego przylegała kancelaria pana Malewskiego. Ani Romek, ani Piegus tego nie zauważyli, gdyż zajęci byli oglądaniem rycin w książce Staszewicza „Było to pod Smoleńskiem”.

Nagle poderwało ich na nogi głucho uderzenie w drzwi kancelarii. Jednocześnie usłyszeli głośne i wściekłe warknięcie psa. Z przedpokoju, jak z procy, wypadł Chudy, kryjąc się za plecami Romka. Krótką przebył drogę, zaledwie kilka kroków od wnętrza przedpokoju do ławki w altanie, na której siedzieli jego koledzy,

ale sprawiał wrażenie jakby odbył długi i męczący bieg. Taki był zdyszany, znać bardziej ze strachu, niż ze zmęczenia. Wzrok wlepił w drzwi, jakby lada chwila miał w nich ukazać się co najmniej wilkołak.

Romek w mig się zorientował.

– Nie bój się, Rolf jest zamknięty. Na klucz.

– Zupełnie o nim zapomniałem. Jak się rzucił do drzwi, myślałem, że je wyłamie. Tylko go nie wypuszczaj.

Chudy szybko doszedł do siebie i znów się rozochocił.

– Wiecie co, chłopaki? Mam pomysł: przepłynę przepustem pod drogą. Co wy na to?

Piegus z miejsca przyklasnął, choć na razie nie bardzo wiedział, na czym owo „przeplnięcie” ma polegać, zaś Romek zdziwiony niecodzienną propozycją, milczał. Po chwili zapytał:

– A wiesz, że tam jest pełno kamieni i ciemnica?

– Zanim tu przyszliśmy, widziałem już tę twoją ciemnicę. Nigdzie nie jest tak fajnie, nawet u Wielgosa we młynie, prawda Piegus?

– No, pewnie!

– Roman, chętna mnie bierze przepłynąć, mówię ci.

Romek do tego czasu zdążył pozbierać myśli.

– Ja ci nie radzę, może być wypadek.

– Jaki wypadek? Te dziesięć metrów pod drogą? Wody coraz mniej, sięga połowy przepustu. W sam raz.

– Głową uderzysz o kamień i będzie koniec.

– Po co zaraz głową?

– Teraz zupełnie nie rozumiem. Chcesz płynąć bez głowy? – zakpił Romek.

Wszyscy się roześmiali. Ale Chudy nie odpuścił. Odgryzł się:

– Widzę, że zaczynasz myśleć.

– No wiesz! – Romek nie wiedział, czy się oburzyć, czy puścić mimo uszu złośliwe słowa Chudego, który zaraz zaskoczył go pytaniem:

– Macie balię?

– Pewnie, że mamy, a w czym mama by prała?

– Więc przepłynę w bali. Tak, tak, w bali – dodał Chudy, gdy Piegus i Romek patrzyli na niego ze zdziwieniem.

Pochylił się w stronę Romka, rozjaśnił swą ogorzałą chudą twarz uśmiechem obiecującym niebo, klasnął w dłonie jak człowiek, który wpadł na cudowny pomysł, a potem zaraz przymilnie poprosił:

– Roman, bądź kolegą, daj balię.

ROZDZIAŁ X

W budynku gospodarczym było pomieszczenie zwane pralnią. Jej wyposażenie stanowiła duża kuchenna kotlina, a na niej wielki, cynowy kocioł, obok stał stół z szerokim, czystym blatem. Posadzka była z betonu, z lekkim spadem, umożliwiającym odpływ wody.

Chudemu oczy się zaświeciły, gdy zobaczył nie jedną, ale dwie drewniane balie, oparte o zawilgoconą z lekka ścianę.

– Możecie wziąć tylko tę – Romek wskazał na mniejszą i skleconą z klepek wytartych i ściągniętych obręczami, na których widniały szerniałe plamy rdzy.

– Nie dałbyś tej? – Chudy podszedł do drugiej, nieco większej i nowszej.

– Jeżeli nie weźmiecie tamtej...

– Dobrze, już dobrze. Piegus, łap za ucho, ja za drugie – przewrwał Romkowi Chudy widząc, że tym razem nic nie wskóra. Roman gotów się jeszcze rozmyślić, a wtedy pomysł zabawy w ogóle zakończył się fiaskiem.

Taszczyli więc balię przez podwórko, bramą wyszli na piaszczystą drogę, potem na tę, która prowadzi do przepustu. Romek ponaglał ich.

– Spieszcie się, bo jak mama wróci, balia znów musi być w pralni.

Ten argument poskutkował. Na równej drodze puścili się biegiem. Przepustu dopadli zmęczeni. Zeszli z nasypu drogi i z miejsca ugrzęźli po kostki w rozmięklej, torfiastej mazi. Skutecznie utrudniała ona dostęp do gardzieli przepustu.

– Zmieści się – Chudy fachowo ocenił możliwość przepłynięcia pod drogą. Roman, ściągaj buty i chodź do nas, pomożesz nam.

Za chwilę już cała trójka z podwiniętymi nogawkami tkwiła w miejscu, w którym woda, napływająca dotąd spokojniejszym strumieniem, nagle wpadała do tunelu. Z jego wnętrza dochodziło

do nich bulgotanie i dudnienie. Było głucho i zwielokrotnione kamiennym sklepieniem i pustką.

Po drugiej stronie przepust oddawał pozornie tę samą wodę. Jednak ona, uwolniona z natarczywego kamiennego uścisku, wypływała na powierzchnię wolna, ale wzburzona, jakby niepogodziona z tym, co ją spotkało w czeluści. Uchodziła więc spieszenie skrajem sosnowego lasu, ciągnąc za sobą długi, pienisty nurt.

–Więc kto pierwszy? – zapytał Chudy, patrząc kolejno na kolegów.

–To twój pomysł, ja w ogóle nie wchodzę w rachubę – Romek od razu postawił jasno sprawę.

–Dobrze – rzekł Chudy – ja pierwszy, Piegus, ty drugi.

–Najpierw przepłyni, potem zobaczymy – odpowiedział Piegus wymijająco. Ale zdjął koszulę.

Wspólnymi siłami zepchnęli balię na sam brzeg strumienia, skąd był już tylko krok do miejsca, w którym zaczynał się tunel i zawrotny nurt. Chudy przezornie zdjął spodnie i koszulę, został w krótkich kąpielówkach.

Romek i Piegus przytrzymali balię, Chudy wolno ułożył się w niej zwinięty jak precelek. Jego chude ciało, już z natury ponad miarę ogorzałe, wyraźnie kontrastowało z jasnymi i wylugowanymi deseczkami wysłużonej balii.

Romek dopiero później, gdy przyjdzie czas na rozpamiętywanie wszystkiego, co się zdarzyło od chwili ułożenia się Chudego w balii aż do zakończenia jego podziemnej eskapady, przypomni sobie wrażenie, jakie zrobił na nim widok tego chudego ciała, mającego za chwilę odbyć dramatyczną podróż. Chudy, wciśnięty w balię, w ten niecodzienny środek wodnej komunikacji, leżał na prawym boku, z kolanami podciągniętymi pod brodę, z rękoma zaciśniętymi w jeden kurczowy splot i zamkniętymi oczyma. Dobrowolnie oddawał się na pastwę losu.

–Zaczynajcie – usłyszeli przytłumiony głos z balii.

Piegus, trzymając lewą ręką za przednią klepkę z wydrążonym okrągłym otworem, prawą mocno uchwycił brzeg balii i pociągnął po wodzie. Tymczasem Romek, zapierając się obiema nogami o rozmiękły grunt, pchał ją z całej siły tak, aby swą przednią częścią trafiła w otwór w tunelu.

Manewr udał się bez trudu.



Chudy wciśnięty w balię, w ten niecodzienny środek wodnej komunikacji, leżał na prawym boku, z kolanami podciągniętymi pod brodę

Balia, gdy tylko całym swym płaskim spodem znalazła się na wodzie, zakołysała się lekko, a potem ruszyła wprost w gardziel przepustu. Piegus i Romek pochylili się, śledząc w napięciu jej bieg.

Upłynęła sekunda, może dwie, balia zniknęła im z oczu. Teraz mogli już tylko nasłuchiwać. Kolejne sekundy wypełniał szum wody. Już, już chcieli się poderwać, biec na drugą stronę drogi, do ujścia przepustu i tam powitać żeglarza, zwycięzcę, gdy nagle usłyszeli łomot dochodzący z głębi tunelu. Najpierw jeden, zaraz potem drugi, silniejszy. Towarzyszył mu stłumiony krzyk.

To był krzyk Chudego.

Nastąpiła długa chwila niepewności.

Romek czuł, jak serce podeszło mu do gardła. Nogi się pod nim ugięły.

I właśnie wtedy w otwór tunelu skoczył Piegus.

Gdy znacznie później pytano Romka, co było potem – nie potrafił z całą precyzją odpowiedzieć. Po prostu. Przede wszystkim nie wiedział, kiedy i dlaczego znalazł się po drugiej stronie drogi. Pamiętał tylko, że z przerażeniem wpatrywał się w spieniony nurt wypływający z tunelu. Jak długo, tego też nie wiedział. Czy słyszał jeszcze później następne krzyki – może tak, może nie, wiedział tylko, że w spienionym nurcie zobaczył najpierw pojedyncze klepki rozbitej balii. Pędziły, podskakiwały bezradnie na powierzchni wody, zapadały się, by za chwilę znów wypłynąć, tylko tyle, że dalej.

Wreszcie jego oczom ukazały się dwa nagie ciała, żywe, pry-chające, trącające wodę chaotycznymi ruchami rąk.

Następnie chłopcy przyłgnęli do trawy, w tym miejscu wyjątkowo gęstej i zamulonej. Powietrze wciągali głębokimi haustami.

Romek usiadł przy nich na łące. Nikt z nich nie mógł wydobyć z siebie nawet pół słowa.

ROZDZIAŁ XI

Wodna wyprawa w balii zakończyła się zupełną klapą.

Wszyscy trzech długo nie mogli przyjść do siebie, drżąc z emocji i chłodu, jaki wraz z cieniem nadciągnął z sąsiedniego zagajnika. Nie odzywali się do siebie. Patrzyli z zakłopotaniem to na klepki rozbitej balii, wtłoczone nurtem strumienia w torfiasty brzeg, to znów na siebie i powoli, powoli zaczęli sobie zdawać sprawę z podjętego ryzyka, którego ceną mogło być przecież życie Chudego.

Romek widział ich rozbiegane oczy, unikające jego wzroku i dziwił się, bo przecież oprócz podziwu dla odwagi Chudego, a potem bohaterskiego skoku Piegusa, nic innego nie chodziło mu po głowie. Na razie czuł, że utrwała się w nim przekonanie o przeżyciu przez tamtych dwóch, wprawdzie krótkiej, ale fascynującej przygody. I choć zdawał sobie sprawę z tego, że on sam, niestety, nie stał się głównym czy nawet tylko jednym z bohaterów, to jednak niczego nie żałował, co dla nich uczynił. Przecież nie byłoby tej przygody, żeby nie jego balia. Ostatecznie od niego też, a nie od kogoś innego, wyszło zezwolenie na tę szaloną wyprawę. Więc sprawiedliwie czuł się jej uczestnikiem.

Dopiero kiedy usłyszał słowa Chudego: „balia rozbita”, wypowiedziane cicho, nie wiadomo do kogo, naszała go krótka, niepozabawiona obawy refleksja. Przecież rodzice nie byli świadkami tej ich przygody, pełnej dramatu i odwagi jego przyjaciół, zatem ich ocena sytuacji może być zupełnie inna i dla całej trójki, a w szczególności dla niego, niekorzystna. W dodatku rozbita balia! Nawet klepek nie można pozbierać. Woda je zabrała.

Znów zerknął na kolegów. Obaj siedzieli na brzegu, dotykali się mokrymi jeszcze ramionami, drżeli. I nadal milczeli. Jakby tym milczeniem chcieli przeprosić cały świat.

Minęło kilka kolejnych minut.

Chłopcy wstali, dłońmi zaczęli rozcierać krople wody, uparcie trzymające się ciała.

Pierwszy odezwał się Chudy:

– Nie myślałem, nie myślałem...

– O czym? – Piegus zapytał bez ciekawości.

– Że to tak będzie.

– Eee tam, nie ma co – Piegus pierwszy opanował trzęsienie brody. Ale głos miał jeszcze nieswój.

Nagle Romek usłyszał głos taty:

– Ej, chłopcy, co wy tam robicie?

Pan Malewski z żoną stali na nasypie drogi i przyglądali się chłopcom.

Zrazu nikt z nich nie odpowiedział. Nie zdążyli jeszcze ochłonać z tamtej grozy, a tu nowe zaskoczenie: rodzice Romka. Ale on już wiedział, że mama zauważyła porozrzucone klapki z rozbitej balii, które odbijały się jasnością od zielonej darni brzegu strumienia. Palcem wyciągniętej ręki w milczeniu wskazywała je mężowi.

– A to co znowu? – zapytał pan Malewski.

Chłopcy spojrzeli po sobie. Chudemu zabulgotało coś w gardle, co jednak nie było podobne do słów. Piegus oczami szukał ratunku w twarzy Romka, a ten, widząc, że mama z pewnością poznała szczątki balii i że jakiegokolwiek wykręty mogą tylko pogorszyć sprawę, niepewnym głosem podjął próbę wyjaśnienia. W tym celu chciał podejść do rodziców po pochyłej skarpie na skraj drogi, ale ubiegł go pan Malewski, schodząc sam na podmokłą łąkę i brzeg wciąż jeszcze nieuspokojonego strumienia. Przyjrzał się dokładnie chłopcom, wyciągnął z wody klepkę i powtórzył pytanie, tym razem jednak skierowane wprost do Romka:

– Pytam, a to co?

Romek jak zawsze w takim przypadku, tak i teraz, postanowił powiedzieć całą prawdę. Obejrzał się na drogę, ale mamy już na niej nie było. Zobaczył ją schodzącą z drogi na ogrodową ścieżkę, wiodącą do domu. To ośmieliło go jeszcze bardziej.

Tymczasem pan Malewski, trzymając wciąż w ręce klepkę, czekał na odpowiedź Romka.

– Próbowaliśmy balią przepłynąć pod drogą...

– I co?

– Balia się rozbiła.

– Cała trójka w jednej balii? – w głosie pana Malewskiego brzmiało niedowierzanie.

– Tak, to znaczy nie – Romek poprawił się – w balii miał przepłynąć tylko jeden, on – ręką wskazał na Chudego. My mieliśmy mu tylko pomagać.

– Przepłynął? – tym razem pan Malewski zapytał szczerze zaciekawiony.

– Nie, nie udało mi się – Chudy wyręczył Romka w odpowiedzi. Balia zaczęła obijać się o ściany przepustu, utraciła równowagę, potem łomotnęła o wystający kamień i się rozleciała.

– I co, co potem? – Malewski był coraz bardziej ciekawy.

– Kolega skoczył mi na pomoc – Chudy, niezgrabnym ruchem ręki wskazał na Piegusa.

– Eee tam – Piegus zareagował po swojemu.

Teraz już pan Malewski wiedział wszystko, no prawie wszystko. Do wyjaśnienia pozostała tylko sprawa balii, ale – pomyślał – to już chyba wyłącznie sprawa Romka.

– Jesteście harcerzami, prawda? – pan Malewski zapytał chłopców.

– Tak, jesteśmy.

– Podziwiam waszą harcerską odwagę, ale muszę zganić ryzyko graniczące z lekkomyślnością. Mogliście się przecież potopić w tym przepuście, zwłaszcza ty – pan Malewski, zwrócił się do Chudego. Ale ty także – spojrzał na Piegusa.

– Eee tam, tak znów źle nie było – bąknął Piegus.

Romek w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. Obawiał się, że tata w ostrych słowach zgani tę ich nieudaną eskapadę, że szczególnie jego zwymyśla za rozbitą balię mamy i w ogóle za wszystko, bo przecież ta ich przygoda mogła zakończyć się tragicznie. Ale – pomyślał nie bez satysfakcji – tata znów stanął na wysokości zadania. Co prawda wspominał o lekkomyślności, bo też trzeba przyznać, że mieli szczęście w nieszczęściu, ale najważniejsze jest to, że tata wyraził uznanie dla odwagi jego kolegów. Przyjemnie mu będzie potem usłyszeć: „Masz fajnego tatę”. Romek lubił, gdy ktoś dobrze mówił o jego ojcu.

– Najważniejsze, że wszystko skończyło się szczęśliwie – powiedział na koniec pan Malewski. Tylko na przyszłość do takich wypraw nie polecam druhom balii.

I mrugnął żartobliwie okiem.

Po minach Chudego i Piegusa widać było, że się nie spodziewali takiego obrotu sprawy w rozmowie z ojcem Romana. Zrobiło im się raźniej. Już nie szczękali zębami, a z ich ciała zniknęła gęsia skórka.

– Panie leśniczy, ale balia jest rozbita – napomknął Chudy. I patrzył wyczekująco w przyjazną i rozpogodzoną twarz pana Malewskiego.

– Widzę, widzę, że rozbita – z nutą żalu przytaknął pan Malewski. – Ale z tego będzie się już tłumaczył wasz kolega, druh Roman. I nie przed byle kim, tylko przed swoją mamą – potem obrócił się w stronę Romka. – Od jutra rana pójdzie z robotnikami do lasu. Sosny trzeba smolnymi pierścieniami zabezpieczyć przed mniszką. Dzień, dwa takiej roboty w czasie wakacji mu przyda się. Zarobek dołoży do kupna nowej balii.

W domu po relacji pana Malewskiego o przygodzie chłopców i po skontestowaniu, że rozbitej balii już w żaden sposób nie da się naprawić, nastrój nie był wesoły.

Pani Michalina rzeczowo oceniła sytuację:

– Przygoda przygodą, odwaga odwagą, a ja mówię, że cała historia zasługuje na naganę, gdyż była lekkomyślna, mogła się fatalnie skończyć, a w dodatku spowodowała stratę materialną.

– Już powiedziałem: strata materialna musi być naprawiona, choćby tylko w części – pan Malewski wpadł w surowy ton, ale jego oczy tego nie potwierdzały. Patrzył na Romka w przekonaniu, że jego decyzja zatrudnienia go w lesie przyjęta zostanie przez chłopca ze zrozumieniem.

Tak też było.

Romek zdawał sobie sprawę ze szkody, jaką wyrządził mamie, pozbawiając ją rezerwowej balii, której koszt na pewno przekraczał kilkudniowy zarobek w lesie. Pracy proponowanej przez tatę nie lubił. Żeby tak przy sadzonkach, to co innego, robota czysta. Ciężkim kosturem w spulchnioną ziemię – raz, kostur przyciągnąć do siebie – dwa, potem od siebie – trzy, i sadzonka już w ziemi. Sam rwałby się do takiej roboty, ale pałętać się wśród starej drągownicy z kubłem czarnej mazi i opasywać nią niezliczoną ilość sosen, nie, to do przyjemności nie należy. Ale od decyzji taty, i tak w sumie łagodnej, nie było odwołania.

Na drugi dzień skoro świt zaczął przygotowania do pracy w lesie. Przywdział stare, podniszczone ubranie, przywrócił do łaski bucioro wyniesione już do rupieciarni w szopie, nanosił mamie do kuchni dREW i świeżej wody, zjadł talerz żuru i cierpliwie czekał na robotników.

Pan Malewski zastał go w kuchni na przekomarzaniu się z Rolfem. Pies chodził za Romkiem trop w trop, jakby przeczuwając, że przyjdzie mu się z nim rozstać na cały dzień.

Na podwórzu zaczęli zbierać się ludzie zwerbowani przez Webera do walki ze szkodnikiem. Romek usłyszał przez otwarte okno jak tata mówił:

–Dziś do pracy przydzielam wam specjalnego pracownika, mego syna. Niech go pan, panie Weber, pouczy, a potem może już sam pracować.

Odpowiedzi Webera Romek nie dosłyszał, bo tata, nie czekając na nią, znów zawołał:

–A wy co tu robicie tak wcześnie rano?

Po chwili ciszy, Romek usłyszał znajomy głos.

–My do pracy w lesie. Z Romkiem.

Wypadł z kuchni na podwórze. Nie mylił się, to był głos Chudego.

Pan Malewski poznał wczorajszych „topielców”. Kiwnął na Romka. Razem podeszli do chłopców i przywitali się z nimi.

–Druhowie żartują? Chcecie naprawdę pracować przy smoleniu?

–Tak, chcemy, razem z Romanem. Choć w części odpracujemy wyrządzoną szkodę.

–Jaką szkodę?

–Rozbitą balię.

–A to ci dopiero! Ambitni jesteście.

–Namówiliśmy Romana, więc za szkodę wspólnie odpowiadamy – Piegus mówił spokojnie, ale stanowczo.

Pan Malewski dobrą chwilę patrzył na nich z nieukrywanym podziwem.

–Tylko że wy w tej pracy nie macie doświadczenia – próbował jeszcze odwieść ich od powziętego zamiaru.

–To nic. Oni nas nauczą – Piegus wskazał ludzi kręcących się przed domem.

–Widzę, że macie swój harcerski honor, więc zgoda.

Obrócił się w stronę Webera.

–Zgoda, panie Weber, niech idą z wami. Romkowi będzie lżej. Wieczorem rzetelnie ich rozliczymy. Ale, ale, druhowie, w mundurkach nie możecie pracować, plam od smoły nie usunięcie – zauważył nagle.

–Przewidzieliśmy to, panie leśniczy – pochwalił się Chudy – w plecakach mamy stare ubrania. Same hadry⁸, dodał wiedząc, że pan Malewski zna gwarę śląską.

Poszli.

Wrócili, kiedy ogromna tarcza słońca zapadała już za daleki horyzont, obramowany resztkami chmur, od góry i od dołu podpalonymi czerwienią. Nad lasem niebo było szare, pozbawione łagodnego blasku. Cisza i zmierzch cierpliwie czekały w gęstwinie.

Wynurzyli się z lasu z osmolonymi twarzami i dłońmi. Nieśli z sobą cierpki zapach smolistej cieczy, którą rozlepiali na drzewach. Miały w niej znaleźć śmierć tysiące gąsienic, pnących się łakomie na żer ku iglastym koronom dorodnych i wonnych sosen i świerków.

Gdy dotarli do leśniczówki, zmęczeni rozsiedli się na kłodach ściętego posuszu, na gęstej zielonej trawie obok drewnitni i na szerokiej brzoazowej ławie przed domem. Wiedzieli, że za chwilę pani Michalina odda do ich dyspozycji kocioł gorącej wody. Wleją ją do dwóch wielkich mis, zmieszają z zimną wodą ze studni, kawałkami żółtego mydła namydlą twarze i ręce, i tak, podobni wreszcie bardziej ludziom niż smolarzom, pójdą do własnych domów. Ale nim to się stanie, leśniczy, zgodnie z listą sporządzoną przez Webera, na poczekaniu obliczy zarobek każdego i dokona wypłaty.

Piegus i Chudy starali się przekonać leśniczego, że zarobione przez nich pieniądze powinny zostać oddane Romkowi na zakup nowej balii, ale pan Malewski nie chciał nawet słuchać o tym. Dopiero później, po jakimś czasie, Romek ze zbiórki zastępu przyniesie wiadomość, że pieniądze chłopcy wpłacili na urządzenie harcówki. „Dzielni, honorowi chłopcy” – skwituje tę wiadomość pan Malewski.

8 hadry – lachy, zniszczone ubrania

Kolacja przyrządzona przez mamę smakowała Romkowi jak żadna inna. Rolf, ucieszony widokiem chłopca, co chwila podchodził do niego, poruszając z lekka puszystym ogonem. Gdy Romek był zajęty opowiadaniem o pracy w lesie, zdawał się nie dostrzegać psich umizgów. Pies zniecierpliwiony podszedł do niego i kładąc mu wielką głowę na kolanach, wymownie wpatrywał się w jego twarz swymi burymi oczami. Tak demonstrował swoje wielkie psie przywiązanie.

– W drugim oddziale odkryłem aż cztery dziuple dzięciołów – pochwalił się Romek.

– Tych pożytecznych „kowali” w lesie nigdy nie jest za dużo. Jagody też w tym roku obrodziły. Borówek tylko trochę mniej – odpowiedział pan Malewski.

– Tato, ale Chudy widział jakiegoś obcego w lesie.

– Mało to teraz kręci się jagodziarzy? – pan Malewski machnął ręką.

– Ale Chudy mówił, że to nie był jagodziarz, tylko „obcy”.

– Co znaczy „obcy”? – zniecierpliwiał się pan Malewski.

– Obcy, to znaczy, że nie stąd, ani nie z Droniowiczek, ani z miasta. Chudy i Piegus znają wszystkich. A to właśnie był „obcy” – upierał się Romek. Nie miał ani koszyka, ani dzbanka. Leżał na skraju zagajenia. Gdy zobaczył Chudego i Piegusa, skrył się w paprociach. Potem przeskoczył dukt i przepadł w gęstwinie.

– Jak był ubrany, Chudy nie mówił? – zaciekawił się pan Malewski.

– Mówił, że obcy miał na głowie taką czapkę, jaką nosili orgeszowcy.

Pan Malewski spojrzał z niepokojem na żonę.

– To nie wróży nic dobrego – powiedział. – Oczywiście, jeżeli twój kolega się nie pomylił. Podobno kryjówki mają wciąż jeszcze przy granicy. Może w trzecim oddziale. Tam bór gęsty i najstarszy. Powiadasz, że kolega widział tego człowieka w drugim oddziale? To niedaleko stąd. Złe nie śpi. Będziemy musieli czuwać. Dopilnuj, aby dzieci przed zmrokiem były w domu – zwrócił się do żony. Ty, Romek, pozamykaj wszystkie furtki. Do drylinga i kule, i naboje mam, do dwudziestki pozostało tylko pięć. Ale co tam dwudziestka na takich łotrów, oni przecież mają karabiny!

– Jezus Maria! Mówisz, jakby za chwilę miała się tu rozegrać nocna bitwa. Tak chyba źle nie będzie, co? – pani Michalina przejęła się słowami męża. Lepiej zwrócić się o pomoc do policji lub wojska. W dwie fuzje przeciwko całej bandzie?

Malewski zasepił się i zaczął bezwiednie pukać palcami po blacie stołu. Na opalonym czole, pojawiła się pionowa krecha zmarszczki. Rozwahał słowa żony. Trafność jej sądów nieraz pomogła mu w podjęciu, jak się później okazywało, słusznej decyzji. A może będzie tak i tym razem? – pomyślał. Dwa razy już jasny szczyt leśniczówki był ostrzeliwany. Były to, co prawda, strzały pojedyncze, nękające, oddawane z sosnowego lasu o zmroku lub nocy, z lasu, który rozpoczynał się tuż za drogą i w dużym kompleksie ciągnął się wzdłuż szosy aż do Kokotka. Napastnikami mogli być tylko oni, orgeszowcy. Przegrali, ale jeszcze nie ustąpili. Przygraniczne lasy stanowiły dla nich doskonałą kryjówkę. W nich, jak dziki, mają swoją ostoję. Człowiek w sukiennej, ciemnoniebieskiej czapce na pewno jest jednym z nich. I na pewno nie jest sam. Widocznie w najbliższym czasie, może jutro, a może nawet dziś, planują nowy ostrzał leśniczówki. I czy tylko ostrzał? A może napad, według wszelkich prawideł terrorystycznej sztuki? Nie, nie, żona i tym razem ma rację, on nie może sam podejmować walki z nimi, nie może narażać na niebezpieczeństwo całej rodziny. Kiedyś musi się przecież skończyć to ich swobodne przekraczanie granicy. Na razie pilnują jej „zielonki”, ale są tylko na przejściach granicznych, więc nic dziwnego, że orgeszowcy przekraczają ją w wielu innych miejscach, ile razy chcą i kiedy chcą. Słyszał coś o powołaniu straży granicznej, ale kiedy to się stanie?

Pani Michalina wpatrywała się w zamyśloną twarz męża. Nie chciała nowymi uwagami burzyć toku tych myśli, wiedziała, że decyzja, jaką podejmie mąż, będzie rozsądna.

– Wiesz, ty masz rację – pan Malewski zaczął oględnie i powoli, z namysłem cedzić słowa. Bo jak tu podejmować walkę z napastnikami, którzy z ciemnego lasu, z bliskiej odległości, nasz dom mają jak na dłoni? Dostrzec ich nie można, a strzelają. My dwie fuzyjki, oni karabiny.

– Więc co proponujesz? – pani Michalina ożywiła się.

– Na ewentualną zaczepkę nie reagować strzałami, wycofać się do koszar.

– To będzie jedyne i najlepsze wyjście.

Pani Michalina wstała, podeszła do męża i ucałowała go w policzek. Malewski, uwolniony od konieczności podjęcia decyzji z góry skazanej na przegraną, znacznie się uspokoił.

– Dzieci – zwrócił się do dziewczynek i Romka przysłuchujących się rozmowie rodziców – spać pójdziecie o zwykłej porze, ale miejcie wszystko przygotowane do ewentualnego wymarszu. W razie czego obudzimy was. W minutę musicie być ubrani.

Na tym rozmowę zakończono.

Dziewczęta poszły do swojego pokoju przygotować się do ewentualnej nocnej eskapady, Romek wybiegł z Rolfem na podwórko po chrust na rozpałkę, zaś pani Michalina kończyła krzątanie się po kuchni. Pogaszono światła. Mrok wcisnął się w każdy zakątek domu.

– Nie siedź długo – pani Michalina napomniała męża – wszyscy musimy być wypoczęci, a ty szczególnie.

Ale panu Malewskiemu ani w głowie był sen. Owinął się myśliwską, zieloną peleryną, głowę podparł ręką i przymknął oczy. Rolf położył się na swoim miejscu między biurkiem a piecem, złożył głowę na wyciągniętych przed siebie łapach. Był gotowy na każde skinienie czy rozkaz swego pana.

Zapadł mrok i cisza dźwięczała w uszach. Od czasu do czasu przerywana brzęczeniem muchy uwikłanej w pajęczynie pod sufitem, powodowała napór myśli i wspomnień u Malewskiego. Niewołane same nadchodziły i same odpływały. Matka nad balią w Jeżowej... kasztany w Samostrzelu, dęby na wzgórzu i jezioro Mormin... Potem okopy, na moment przed nawałą ogniwą... huk dział... długie, przeciągłe hurraa... bieg, w oczach czerwone koła... zderzenie z ziemią cuchnącą żelazem i prochem. I twarze ludzi, wszędzie twarze, gesty spokojne i nagle, ręce wyciągnięte przyjaźnie i pięści zaciśnięte w złości... A wszystko to w ciszy ruchliwej i niemej, która wykradła się z lasu, po omacku przeszła drogę i przykucnęła w domu. Jest tu, nie słyhać jej oddechu, ale jest, na pewno jest...

Nagły huk strzału poderwał go na równe nogi.

Uleciały majaki. Rolf wstał i drżąc z lekka, przywarł do jego nogi.

A więc jednak są, przewidywania się sprawdziły – pan Malewski nie zdążył zapalić przygotowanej zawczasu lampy karbidowej, gdy rozległ się kolejny strzał. I jeszcze jeden, i jeszcze...

Okazało się, że pani Michalina też nie spała. Po pierwszym strzale obudziła dzieci, teraz wszyscy w pośpiechu ubierali się przy mdłym świetle karbidówki przyniesionej przez ojca. Wanda i Miecia, ponaglone przez najstarszą siostrę, Henrykę, drżąc od strachu, stanęły gotowe w przedpokoju.

– Słuchajcie – zapowiedział Malewski – wyjdziemy drzwiami prowadzącymi na ganek i drogę. Pójdziemy gęsiego, pierwsza Henryka, za nią Miecia i Wanda, potem Romek i mama. Na końcu ja z Rolfem. Nie rozmawiać, idźcie szybko i nie oglądajcie się.

Odryglował drzwi. Czapką nakrył szkło lampki. Henryka z dwudziestką ruszyła pierwsza, za nią reszta, tak jak zapowiedział ojciec.

– Na drodze przyspieszcie kroku – Malewski szepnął do żony. Lampę odsoń dopiero za przepustem, dogonię was...

– Będziemy czekać za przepustem. Bez ciebie nie ruszymy dalej – odpowiedziała zaniepokojona.

– Dobrze już, dobrze, tylko idźcie!

Gdy jej sylwetka zlała się z mrokiem nocy, pan Malewski chyłkiem podkradł się pod płot stojący nad drogą oddzielającą wartywnik od lasu. Na chwilę zastygł w oczekiwaniu na nową serię strzałów. Ale las milczał. Wtedy lekko popychając Rolfa, wydał krótki, cichy rozkaz:

– Rolf, szukaj!

Pies najpierw przywarł do ziemi, a potem nagle, jakby popchnięty sprężyną, uniósł się i jednym płynnym susem przeskoczył płot, przesadził drogę i zniknął w ciemności nocy.

Z lasu doleciały krótkie, ucięte warknięcia, stłumiony okrzyk bólu i przekleństwa w języku niemieckim. Wśród drzew zabłyśnieło rozbiegane światło lampki elektrycznej i znów padło kilka chaotycznych strzałów.

Minęła jeszcze chwila i z lasu wyłonił się Rolf. Podbiegł do leśniczego. Dobry, dobry piesek – pogłaskał go pan Malewski.

Padły kolejne strzały. Tym razem słychać było uderzenia pocisków w bielony szczyt leśniczówki. Odbity tynk spadł z szelstem

na betonowe obramowanie fundamentów. Z brzdękiem sypało się szkło z rozbitych szyb.

Dłuższe przebywanie w tym miejscu było niebezpieczne. Napastnicy mogli nadejść lada chwila. Chyłkiem więc i pośpiesznie leśniczy wycofał się na ganek, stamtąd pod osłoną żywopłotu na drogę, gdzie czekała na niego po drugiej stronie przepustu żona z dziećmi. Opowiedział im, jak to Rolf przeprowadził błyskawiczny i skuteczny rekonesans. Wspólnie ruszyli w stronę koszar.

Na wysokości cegielni zeszedli z drogi na ścieżkę, biegnącą przez młodnik do muru okalającego koszary. Stamtąd do wartowni było już blisko. Leśniczówka nieraz gościła oficerów 74 pułku piechoty, nie trudno więc było uzyskać zgodę oficera inspekcyjnego na tymczasowe zakwaterowanie uciekinierów w pomieszczeniu dowódcy warty. W rejon leśniczówki wysłany został patrol. Wrócił po dwóch godzinach. Dowódca złożył meldunek o szczytowej ścianie podziurawionej kulami, o wybitych szybach i przewróconym drewnianym płocie, a także o zerwanych drutach telefonicznych. „To z pewnością za Rolfa” – powiedział pan Malewski do żony.

Gdy rodzina wróciła wczesnym rankiem do leśniczówki, las powitał ich najurokliwszym ptasim chórem, rozsiadłym wśród rozłożystych ciemnozielonych koron starych sosen.

Jak gdyby nigdy nic.

ROZDZIAŁ XII

Okno wychodzi na małe podwórko.

Romek patrzy przez nie i widzi krople rosy. Wiszą na żdźbłach trawy jak małe szklane kuleczki. Nawet mienią się w słońcu. Cień za drewnutnią z pewnością przetrwa najdłużej. Tam po nocnej mgle pozostała jeszcze wilgotna szarość. Do piaszczystej drogi podpełzły korzenie drzew. Zgniatane kołami wozaków są nagie i obolałe. Na nie i na piach padają ukośne smugi słońca, które znalazło szczeliny w iglastych koronach i kolumnach wielkich drzew. Teraz, za chłodną noc, dają ziemi ciepło.

Ptaki już milkną. Powitanie dnia już się odbyło na wszystkich piętrach leśnej opery. Tylko dzięcioły dalej kują w rozwidleniach grubych gałęzi.

Romek wie, że tak będzie przez cały dzień do następnej nocy, aż las zapadnie znów w głęboki sen. Tak, w głęboki sen, bo co go będzie obchodzić, że pod jego nogami labiryntem weksli⁹ znów rozpoczną się bliskie i dalekie podróże leśnej gawiedzi. Romek wie też, że wtedy błądzą, tłuką się po gąszczach lisy i jelenie. Borsuki i kozły wychodzą nierozważnie na przyleśne łąki, w mgłę. A wataha dzików, niczym czarnych duchów, aroganckim chrząkaniem przerywa spokojny sen ptaków.

Druhowie z miasta mają tu być o godzinie siódmej.

Romek nie wie, ilu ich naprawdę przyjdzie. Z zastępu Profesora chyba kilku, a wśród nich Chudy i Piegus, dwaj nierozłączni przyjaciele. Stąd do Czarnego Lasu kilka kilometrów. W zabudowaniach nadleśnictwa rozbije namioty pierwszy w rejonie Lublińca prawdziwy obóz harcerski. Na zbiorce dowiedział się, że komendę obozową mają tworzyć druhowie z Katowic. Z uzyskaniem zgody

9 weksel – w gwarze łowieckiej ścieżka, po której przemieszczają się dzikie zwierzęta

rodziców nie miał trudności. Wprawdzie zrazu mama zareagowała wymownym milczeniem, potem jednak zadbała o wszystko: o dodatkowy komplet bielizny, o guziki przy mundurku, o przybory do mycia i szycia i o takie tam inne drobiazgi. Tata fachowo przytroczył koc do plecaka, zaopatrzył w manierkę, menażkę i niezbędny oraz gruby notes i ołówek. Teraz cały ten skompletowany rynsztunek czeka na ławce przed domem, skąd wyruszą do Czarnego Lasu.

Przyszli punktualnie, pod komendą Profesora.

Chwila odpoczynku i pierwsze łyki kawy z manierki. Chudy i Piegus zachowywali się swobodniej od innych. Wiadomo, to starzy bywalcy w leśniczówce, pechowi rozbitkowie z wyprawy białą, smolarze-ochotnicy do walki z mniszka.

Wszyscy chcieli zobaczyć Rolfa, tego psa obrońcę, przyjaciela i groźnego przeciwnika. Profesor uległ nagabywaniom kolegów i poprosił Romka, aby wyprowadził psa na podwórko. Nim Romek zdążył zareagować, uczynił to sam pan Malewski.

Rolf z nałożonym kagańcem ukazał się druhom w całej swej psiej indywidualności. Szedł przy boku pana, trzymany krótko na mocnej rzemiennej smyczy, przymocowanej do niklowanej kolczastej obroży, gotowej w każdej chwili w razie potrzeby, zacisnąć się na jego szyi. Gdy pan Malewski przystanął, pies znieruchomiał przy jego lewej nodze, bacznie przyglądając się chłopcom. Oni też stali w milczeniu. Podziwiali jego sylwetkę wspartą na silnych łapach, szeroki grzbiet i pierś, skąd brał początek mocny kark. Obserwowali puszysty ogon, wilczym zwyczajem zwisający ciężko, wreszcie czerwony jęzor, drgający równo z szybkim oddechem i przeświecający przez pręty kagańca.

–Panie leśniczy – Profesor odezwał się pierwszy za namową Chudego – czy pies, to znaczy Rolf – poprawił się – nie mógłby nam pokazać jakiejś sztuczki?

–Rolf nie jest psem cyrkowym – zaśmiał się Malewski – więc nie zna „sztuczek”.

Romek widział, jak delikatną twarz Profesora zalewa rumieniec zakłopotania.

–Ale to nic, to nic, wiem, o co ci chodzi – pan Malewski wybawił Profesora z kłopotu. Poczekajcie chwilę.

Zniknął z psem za drzwiami mieszkania.

Po chwili wrócił, ale już bez Rolfa.

– Jeden z was ukryje się na drzewie w ogrodzie, zgoda? Przedtem jednak da mi swoją czapkę. Zaniosę ją Rolfowi do powąchania i rozkażę mu szukać zbiega. Zobaczymy, czy go znajdzie. No, który z druhów na ochotnika?

– Ja – podniósł rękę Chudy.

– Oczywiście – bąknął Romek – Chudy, jak zwykle...

Pan Malewski poznał Chudego. Uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

– Daj mi czapkę i biegnij do ogrodu, ukryj się na drzewie, ale wysoko.

Chudy ruszył. Po pewnej chwili do chłopaków dotarł dźwięk jego gwizdka. Wtedy pan leśniczy znów wyprowadził psa. Tym razem bez kagańca. Pod nos podsunął mu rogatywkę Chudego. Pies przez moment chłonał jej zapach. Padła komenda.

Pies z nosem przy ziemi, nie wykazując zupełnie zainteresowania chłopcami, obleciał wzdłuż i wszerz podwórko. Na moment przystanął. Widocznie węchem natrafił na ślad Chudego. Dobiegł do zamkniętej za nim furtki ogrodowej i łapami nacisnął klamkę. Furtka otworzyła się, a on, wciąż z nosem przy ziemi, wtargnął do ogrodu. Gromada ciekawych, na czele z panem Malewskim, spieszenie ruszyła za nim. Rolf bezbłędnie trafił do drzewa, na którym ukrył się Chudy. Gdy zobaczył zbiega ukrytego wśród listowia, zaczął wściekle ujadać i podejmować próbę uchwycenia łapami najbliższych konarów. Po kilku skokach udało mu się to wreszcie, gdyż Chudy, nie znając skoczności psa, na swoją kryjówkę wybrał lekkomyślnie młodą gruszę.

Tymczasem pies, wściekle warcząc, z niezwykłą zwinnością zdołał usadowić się na jednej z najniższych i najgrubszych gałęzi. Widać było, że wcale nie zrezygnował z dalszej trudnej wspinaczki za Chudym. Ten, zaskoczony tak niespodziewanym obrotem sprawy, skulił się na samym wierzchołku drzewa, okrzykami wzywając pomocy.

Na szczęście nadbiegł pan Malewski, więc pies, chcąc nie chcąc, musiał z drzewa zeskoczyć. Odprowadzany przez swego pana do domu, co rusz oglądał się za Chudym, swą niedoszłą ofiarą.



Rolf bezbłędnie trafił do drzewa, na którym ukrył się Chudy

– Te, Chudy, tę „sztuczkę” Rolfa, pewnie będziesz długo pamiętał – Piegus podszedł do przyjaciela i przyjaźnie poklepał go po ramieniu. Chyba mosz galoty pełne strachu, no nie?

Chudy nie odpowiedział. Rozdygotanymi rękami zarzucił plecak na ramiona i potulnie stanął w szeregu na zbiórce zarządzanej przez Profesora.

Za chwilę zielony zastęp ruszył drogą w stronę „gwiazdy”, a stamtąd już wprost do Czarnego Lasu.

ROZDZIAŁ XIII

– Że też Profesor musiał właśnie mnie wyznaczyć na wartę i to teraz, nad ranem – myślał niepokieszony i zaspany Piegus, gdy Franek Busler, zwany Napoleonem, zbudził go, świecąc w twarz lampką kieszonkową.

– Wstawaj, już czas.

– Wcale nie spałem, dawaj latarkę i laskę.

– Uważaj na schody – przypomniał Napoleon.

Kluczyli między śpiącymi, leżącymi na podłodze wysokiego poddasza ni to stodoły, ni to spichlerza. Wreszcie stromymi schodami zeszli na dół. Do wnętrza przez rozmyślnie niedomknięte szerokie drzwi, wkraadał się poranny brzask, a z nim nocny chłód. Zaspany Piegus nieopatrznie trącił ramieniem ciężkie drzwi. Nie wiele ustąpiły, za to przeraźliwie skrzypnęły.

– Co się dzieje? – usłyszeli niecierpliwy szept Profesora, który kwaterował w dolnej części spichrza.

Nie odpowiedzieli.

– Masz się poruszać i obserwować na odcinku stąd do bramy, całe podwórze i wejście do budynku komendy. Jeżeli zauważysz coś podejrzanego, obudź Puchacza, śpi obok Profesora. W nagłej potrzebie – zaalarmuj gwizdkiem, jasne? – Franek skrótowo przekazał Piegusowi podstawowe obowiązki wartownika.

– Jasne – z Piegusa już opadły resztki snu.

Napoleon niczym duch znikł za ciężkimi drzwiami. Po chwili Piegus poczuł, jak chłód obejmuje mu gołe kolana, wciska się w mundurek, studzi całe ciało, rozgrzane jeszcze snem i zaczął żałować, że nie wziął ze sobą koca. Owinąłby się nim, odgrodził od chłodu i nocy.

Mrok z wolna wycofuje się z obszernego podwórza. Piegus dostrzega już kontury zwalistego gmaszyska nadleśnictwa. Nawet budynki gospodarcze po drugiej stronie placu też odcinają się

długimi liniami kalenic od coraz bardziej jaśniejącego tła nieba. Ale las za nim jest wciąż ciemny. Gromada starych dębów jest też wkomponowana w tę ciemność bez reszty.

Piegus pamięta gorące przedpołudnie sprzed kilku dni. Zbliżali się do celu, którym było Nadleśnictwo Czarny Las. Szeroki trakt obramowany był wysokim starodrzewiem. Słońce było dopiero na początku swej drogi, więc długo wisiało nad lasem, nie zapuszczając promieni w piach drogi. Zastęp posuwał się w cieniu. Dopiero gdy wyszli na rozległy zrąb, zanurzyli się w skwarze południa. A potem znów w cień.

On sam, Piegus, i ci z miasta zwykli się zapuszczać najdalej w region lasu miejskiego, a tam psia trawka, runo takie, że dziki królik się nie ukryje, a sosny mają cienką, bladą i wygładzoną korę. Tu żeby ujrzeć igliwie i wierzchołki drzew, trzeba porządnie zadzierać głowę. Do drogi dochodzą skrycie foremne i ugładzone krzaki jałowca. O zmroku będą udawały ludzi sunących poboczem lasu jak czarne zjawy. Jest cicho jak w kościele, tylko z głębokiego starodrzewu od czasu do czasu usłyszeć można terkot czarnego dzięcioła. Pachnie jagodami i wysuszonym igliwem.

I wreszcie dęby.

Objawiły im się nagle pierwszego dnia obozu, gdy wyszli z gęstwy świerków, jak z głębokiej, chłodnej studni. Stoją w luźnej gromadzie, bo tak właśnie przystoi olbrzymom. Może gdzieś tam w górze dotykają się przyjaźnie gałęziami, za to tu, w dole, budzą respekt rozległą kolumnadą i niedopuszczaniem do siebie leśnej gawiedzi. Mają szarosrebrzystą korę, zaznaczoną płytkimi podłużnymi żłobieniami. Któryś z chłopaków powiedział, że chyba stoją tak od początku świata. Ale Roman zaraz zaprzeczył. Nie mają więcej jak czterysta, pięćset lat. Roman się na tym zna. Zna się także na leśnych ptakach, zwierzynie mieszkającej w lesie, na polowaniu i sadzeniu drzew. Wczoraj podczas zajęć kilka razy poprawiał druha Chrapkowicza, nazwanego przez nich Puchaczem. Roman mówił, że zajac nie ma sierści tylko „turzycę”, i że zajęcze nogi to nie nogi – tylko „skoki”. Najśmieszniej było jednak, gdy Puchacz mówił o dzikach. Tu Roman też go poprawił, powiedział, że dzik nie ma ryja tylko „gwizd” zakończony „tabakierą”. Puchacz był trochę zły na Romana, ale się rozpozgodził, gdy Profesor wyjaśnił, że tata Romka jest leśniczym i to właśnie w tych lasach.

Puchacz mieszka w Bielsku, więc z ciekawością słuchają go, gdy opowiada o Beskidach i w ogóle o górach. Mówił, że z kometantem Konckim, nazywanym na obozie Orlikiem, w przyszłym roku zorganizują obóz niedaleko Żywca, jeżeli dobrze zapamiętali, to w Pewli Małej. Puchacz proponował im udział w nim, ale czy drużynowy Musielok się zgodzi? Bo on, Piegus, chciałby chętnie zobaczyć góry i Chudy na pewno też, i Roman, i Profesor.

Piegus błądzi myślami po lesie, którego dobrze nie zna, po górach, których jeszcze nie widział i sam się dziwi, że na tym odludziu wytrzymuje bez piłki, którą z Chudym i innymi codziennie kopali na placu przed Strzelnicą. Piłka jest w dobrym stanie, otrzymali ją w spadku po Anglikach. Razem z Chudym z wielkim zainteresowaniem oglądali mecze, które w wolnych chwilach rozgrywali angielscy żołnierze. Gonili za piłką, gdy ta, wybita na aut, spadała na chwilę w wysokiej trawie czy krzakach. Żołnierze mieli z nich wyrękę, oni zaś przyjemność. Tuż przed ich wyjazdem piłkę otrzymali od żołnierzy w prezencie.

Tymczasem zaczęło świtać.

Piegus zajęty swymi myślami ani się spostrzegł, kiedy z ciemności zaczęły wylinać się budynki, płoty i bliżej rosnące drzewa. A wśród nich dęby. Właśnie dęby. Zwłaszcza ten olbrzym przy szczycie gmachu. Między nim a murem Piegus rozpoznaje grube pręty solidnej furty, która prowadzi na plac podwórzowy i do obozowych kwater. Ze stajni dochodzi go rzenie koni, a z wysokich świerków pierwsze, poranne głosy ptaków. Za chwilę okaże się, że to wstępne intonacje ptasiego chóru. Piegus ma sposobność usłyszeć go po raz pierwszy, więc zaciekawienie rośnie w nim wraz z nowymi głosami wciąż dochodzącymi do tego chóralnego śpiewu skrzydlatych mieszkańców lasu. Nie widzi ich. Wyobraźnią sięga wierzchołków drzew i wtedy wydaje mu się, że ptaki muszą być bajecznie kolorowe i że właśnie głos każdego z nich uzależniony jest od koloru. On sam najbardziej lubi kolor niebieski, więc te, które najpiękniej śpiewają, z pewnością mają takie upierzenie. Szkoda, że nie można ich dostrzec, bo siedzą tam, na tych najwyższych drzewach. Jakby chciały być bliżej wschodzącego słońca. Drzewa stoją na samym skraju lasu, pochylają się nad polaną obrosłą badylastą trawą. To właśnie na tę kępkę drzew padają teraz promienie słońca. Piegusowi zdaje się, że promienie skupione są na tamtym

chórże jak w soczewce i że zachęcają go do śpiewu. I jeszcze wydaje mu się, a właściwie jest tego pewny, że między wschodzącym słońcem a śpiewającymi ptakami istnieje coś w rodzaju porozumienia, a nawet współzależność. Czy ptaki by śpiewały – myśli – gdyby dzień był pochmurny i nie byłoby takiego świtu? Piegus widzi, jak promienie słońca przenikają korony drzew, wspinają się po nich coraz wyżej, wreszcie zalewają całą powierzchnię podwórza i ściany, i dachy, a on sam czuje na twarzy i całym ciele szybko rozchodzące się ciepło. Chłód razem z mrokiem gdzieś się podziały, świat dookoła ożywił się, nabrał kolorów.

Piegus usiadł na pieńku przemyślnie przez kogoś ustawionym obok przymkniętych drzwi, za którymi w najlepsze śpią jeszcze jego koledzy. Wystawił twarz na słońce. Przymknął oczy i dopuścił do siebie tylko jedno pragnienie: trwać tak jak najdłużej...

Zaterkotał budzik.

Roman Koncki, harcerz orli, komendant obozu, prawą rękę wsunął pod poduszkę, lewą odgarnął koc i unióśł się rześko z polowego łóżka. Z obawą spojrział na sąsiednie posłanie, na którym spał druh Walter Gojny, oboźny. Upewniwszy się, że ten na dźwięk dzwonka nie zareagował, umył się i ośpiesznie opuścił pokój. Znał swoje obowiązki. Do nich zaliczał doraźne inspekcje wart nocnych. Z własnego doświadczenia wiedział, że dla wszystkich, zarówno młodszych jak i starszych wartowników, najtrudniejszą porą czuwania jest czas na granicy nocy i dnia.

On, wielki przyjaciel lasu i harcerzy wie, że wtedy do swoich leśnych ostoi przezornie wracają z pól dziki i sarny. Czasem zakwili ptak, bo sny jeszcze nie opuściły ptasich gniazd, z dębowych dziupli nie wylatują też jeszcze szerszenie. Cały las zatopiony jest w ciszy i półmroku. I wtedy właśnie wartownikom zaczynają ciążyć coraz bardziej zmęczone powieki.

O tym wszystkim wiedział i myślał Orlik, powoli zbliżając się do Piegusa, wciąż jeszcze siedzącego na świerkowym kłocu, obdartym do połowy z wyschniętej kory. Chociaż szedł w słońcu i był z daleka widoczny, Piegus, wbrew oczekiwaniu, nie poderwał się na równe nogi. Głowę i twarz zmęczoną, a może zniechęconą słońcem, opuścił nisko i w zamyśleniu zdawał się wpatrywać w ziemię. W rzeczywistości przyglądał się jaszczurce, która nadbiegła bezszelestnie i przytuliła się do plamy słońca. Czujnie wygięta

w zatrzymanym ruchu, z łapkami rozczapierzonymi, w mgnieniu oka gotowa była do ucieczki. Piegusowi ani w głowie było zagrozić jej wolności. Niepostrzeżenie pochylał się coraz niżej i niżej, chcąc dokładnie przypatrzeć się deseniom jej skóry, pulsującemu gardziółku i ciemnym rozbieganym oczkom.

Nagle jaszczurka drgnęła. Na krąg słońca, w którym się wygrzewała, naszedł jakiś cień. Zdziwiony Piegus oderwał wzrok od niej i podniósł głowę. Struchlał, gdy zobaczył nad sobą pochylonego Orlika. Zerwał się, stanął na baczność, zasalutował.

– Druhu komendancie, jaszczurka...

– Jaka jaszczurka?

– Taka mała – Piegus rozwarł kciuk i palec wskazujący prawej ręki. – Miała świecąca skórę. I ogon. Teraz uciekła.

Piegus z zakłopotaniem zaczął mrugać powiekami i przestępować z nogi na nogę.

Orlik nie przewyższał wzrostem Piegusa, toteż gdy tak stali naprzeciwko siebie, mógł swymi ciemnymi oczyma, tkwiącymi w śniadej twarzy, z łatwością śledzić każdy szczegół twarzy chłopca. Kilka sekund tej obserwacji wystarczyło też, aby się upewnić, że młody wartownik naprawdę nie spał.

Ale Piegus już zdążył zebrać myśli i opanować twarz. Widział, jak w czarnych źrenicach Orlika na moment zapaliły się jasne iskierki, jak drgnęła w uśmiechu jego górna warga, pokryta czarnym wąsikiem.

– Uciekła, powiadasz, a może ta jaszczurka ci się przyśniła? – Orlik uśmiechnął się wyrozumiale, poklepał Piegusa po ramieniu. Wiem, wiem, że nie spałeś, tylko niedobrze, że pozwoliłeś mi tak blisko siebie podejść.

Piegusowi znów zaczęły latać powieki.

– Podoba ci się tu, w lesie? – Orlik zmienił temat rozmowy.

– Podoba – Piegus znów doszedł do siebie.

– A co najbardziej?

Piegus potoczył oczyma po placu, po zabudowaniach, wreszcie zatrzymał wzrok na wysokich drzewach i tonem takim, jakby mu się udało odgadnąć wielką tajemnicę, powiedział:

– Ptaki.

– Jakie znowu ptaki? – Orlik teraz już nie taił zaciekawienia.

– Te, które tam, w tych drzewach śpiewały. O świcie.

Orlik w zamyśleniu przyglądał się chłopcu. Patrzył na jego wychudzoną twarz, na wypłowiały od słońca, ale czysty mundurek, na połatane półbuty, a potem zapytał:

– Jesteś z Lublińca?

– Tak.

– A kim jest twój tata?

– Tata nie żyje...

Orlik rozmyślnie nie zadał kolejnego pytania. Jakby wiedział, że Piegus dopowie resztę. I tak też było.

– Tata był powstańcem. Zabili go pod Dobrodzieniem. Mama mówi, że orgesze.

ROZDZIAŁ XIV

Nareszcie będzie ognisko!

Wszyscy czekali na nie od pierwszego dnia, gdy tylko chłopcy rozłożyli się obozem w zabudowaniach nadleśnictwa. Wiadomość o ognisku przyjęli z radością. Choć ktoś przed wczorajszą ciszą nocną bąknął: „Ja tam nie wierzę, komenda od kilku dni obiecuje, a ogniska jak nie było, tak nie ma”. Nikt na to nie odpowiedział. Może dlatego, że sen już powoli ich ogarniał po długim marszu, jaki odbyli leśnymi duktami, a może i dlatego, że nikt z nich nie znalazł argumentu, którym można by podważyć opinię tamtego. Na drugi dzień rano, na porannym apelu, oboźny, druh Gojny oficjalnie podał do wiadomości, że ognisko odbędzie się wieczorem.

Okazało się, że sprawa z tym ogniskiem nie była znów taka prosta. Chłopcom się zdawało, że wystarczy nanosić drewna w dowolne miejsce, wzniecić ogień, usiąść wokoło, zaśpiewać i gotowe. Tymczasem między komendą obozu a nadleśnictwem szły targi. Nadleśniczy od pierwszego dnia nazwany przez chłopców Żubrem, miał zastrzeżenia do każdej wysuwanej przez Orlika propozycji. „Panie – mówił – chce mi pan las spalić. Taka susza! wystarczy jedna iskierka”. „Między dębami przestrzenie duże, może by tam?”. „Widzi pan, jak się tam w górze łączą koronami? A ogień bije wysoko. Nie, nie mogę i na to wyrazić zgody”. „Wiec gdzie panie nadleśniczy, na zrębie, na uprawie?”. „Do zrębu mielibyście za daleko. Na uprawie sadzonki – Boże uchowaj!”.

Ostatnia rozmowa w tej sprawie odbyła się któregoś wieczora na obszernym podwórzu.

– Już wiem, gdzie rozpalimy ognisko, panie nadleśniczy – Orlik był pewny swego.

– No gdzie? – nadleśniczy począł skubać szpakowatą bródkę.

– Tu, na tym podwórzu – odpowiedział Orlik.

I ten właśnie pomysł się przyjął.

Do południa zastępy poszły w las do zajęć z terenoznawstwa i marszu na kierunek. Popołudnie zeszło na porządkowaniu rejonu. Chłopcy uwijali się jak pszczoły w ulu. Kilku z nich miało saperki, ci zostali wyznaczeni do przygotowania miejsca na ognisko. Dowodził nimi Puchacz, zmuszony od czasu do czasu wysłuchiwać uwag Żubra, niesłuchanie zatroskanego o bezpieczeństwo zabudowań. Gdy niecka na środku podwórza obramowana już została niskim wałem ziemnym, a pod ścianą stajni zgromadzono najniezbędniejszy sprzęt przeciwpożarowy, nadleśniczy odetchnął z ulgą. Nie zapomniał zaznaczyć, że chętnie, a jakże, skorzysta z zaproszenia i weźmie udział w ognisku. Przystał też na chytry pomysł Puchacza oddania do dyspozycji harcerzom trzech wielkich świerków, które rok temu padły ofiarą mniszki. Ścięte i na wpeł okorowane leżały między płotem a szczytem spichrza. Puchacz wpadł też na pomysł, aby pociąć świerki na niskie klocki i otoczyć nimi ognisko. Starczy ich na dwa kręgi. Czemu chłopcy mają siedzieć na ziemi? Żubr z początku nie chciał się zgodzić, bo „jak ja się z tego rozliczę”, ale gdy Puchacz nastawał, ustąpił, nawet wydał z magazynu długą leśną piłę, by wreszcie zadowolić Puchacza, co rusz przedstawiającego nowe projekty.

Przygotowania do ogniska przebiegały w spokojnej, niemal miłej atmosferze. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że zakłócić je mogą niepomyślne zdarzenia.

Po południu pracami porządkowymi objęto przede wszystkim podwórze z przyległą do niego drogą i terenem na zapleczu nadleśnictwa, a więc obiekty najbardziej narażone na zaśmiecenie. I właśnie wtedy, gdy chłopcom się wydawało, że wszystko jest „na medal”, drogą nadjechał drabiniasty wóz z sianem.

Konie długimi ogonami opędzały się od stada bąków wirujących nad ich grzbietami, człapały wolno i leniwie. Lejce zwisające bezwładnie i chód koni wzbudziły wśród chłopców podejrzenie, że tam na furze siana nie ma woźnicy, a jeśli już jest, to śpi i nie wie nic o bożym świecie. Najbardziej jednak chłopców rozzłościły kiście siana spadające z wozu i zaśmiecające dopiero co zagrabioną przez nich drogę. Romek podbiegł na tył wozu i zaczął się wspinać po łańcuchu przytrzymującym długi drąg. Chciał obudzić woźnicę – śpiocha. Zachęcany okrzykami kolegów nie zauważył kosa tkwiącej w sianie. Przytrzymując łańcuch prawą ręką, lewą

dłonią nieopatrznie przesunął po stalowym ostrzu kosy. Nagły ból strącił go na ziemię. Upadł w piach drogi. Gdy wstał, rękę miał już całą we krwi. Instynktownie ścisnął ją w przegubie. Nadbiegli koledzy i zaprowadzili go do komendy. Tam sanitariusz obmył ranę i obficie zlał jodyną.

Jeszcze nie zdążył obandażować Romka, gdy do pokoju wpadł Gojny. Zdążył tylko krzyknąć, że Franka Śmigaja ukąsiła żmija, że jedzie z nim do miasta do lekarza, że należy o tym powiadomić komendanta i tak szybko jak wpadł, tak szybko wypadł z pokoju.

Potem Romek widział, jak Gojny z Żubrem zaprzęgali w pośpiechu konia do bryczki, jak usadowili na niej bladego Franka i jak Gojny galopem ruszył drogą do miasta. I wtedy Romek na moment zaniepokoił się, czy aby obożnemu uda się na tej wąskiej drodze wyprzedzić nieszczęsny wóz z sianem i śpiącym woźnicą. Czy aby nie będzie musiał wlec się za nim aż do „gwiazdy”? Ze żmijami nie ma przecież żartów, to nie to samo, co rana od kosy. Ta szybko się zagoi i mama może wcale nie zauważy. Ale żmija? Gdzie ten Franek chodził? Na pewno szedł ścieżką w lesie i nadepnął na nią, gdy wygrzewała się na słońcu. Orlik już w pierwszym dniu przestrzegwał, żeby w lesie nie chodzić na bosaka. Ale z tymi z miasta zawsze tak – myślał Romek, przyglądając się, jak kilku jego kolegów na zmianę i pod wodzą Puchacza cięło na klocki długie, suche świerki.

I tak minęło sobotnie przedpołudnie.

Po kolacji zaczęto nosić z lasu suche gałęzie. Niewiele chrustu na podpałkę, za to dużo grubizny. „Bo tu nie chodzi o dym – mówił Puchacz – tylko o ogień, czysty i wielki. A ten jest łakomy. Co tam dla niego chrust i inny drzewny drobiazg. Trzeba żywicznych szczap. Gdy je ogień trawi, trzask idzie po lesie”.

Słyszał to Chudy. Podszedł do Piegusa, potem poszeptał z innymi i razem spieszenie zniknęli za dębami, za którymi rozciągał się gęsty świerkowy las. Do tego miejsca nikt z obozu nie docierał z obawy przed szerszeniami, których jad jest niebezpieczny.

Chudy już w drugim dniu dowiedział się od Romana o ich agresywności. Z tego, co Roman mówił, wynikało, że był on zaprawiony w utarczkach z szerszeniami. Mówił, że zanim zdecydował się na walkę z nimi, przy okazji pobytu z ojcem w nadleśnictwie, długo śledził tryb życia i zwyczaje tych owadzych drapieżników. Wiedział, że skoro świt wylatują z dziupli, za to wcześniej kończą

loty. I zawsze w pojedynkę, nigdy gromadnie, tak jak chętnie robią to osy. Nie opuszczają też gniazd w dni pochmurne i deszczowe, chociaż nadejście takich dni sygnalizują szczególnym rozdrażnieniem. Teraz Chudy korzysta ze wskazówek Romana, cicho i ostrożnie przebiega z kolegami strefę dębów i szerszeni w poszukiwaniu świerkowych szczap. Gdy je odnajduje, w kilka minut gromadzą ich dostateczną ilość. Będą czekać na swój los w rejonie ogniska przezornie pokryte gałęziami.

Czas się dłużył. Chłopcy nie mogli doczekać się chwili, w której obsiądą wielkie huczące ognisko. Jedynie obawa o los Franka Śmigaja mąciła ich spokój. Koledzy z jego zastępu dopytywali się o niego u Orlika, ale ten niewiele mógł im powiedzieć poza tym, że druh Gojny szczęśliwie i szybko dotarł z chłopakiem do lekarza. Potem nadeszła kolejna informacja, że sprawa się skomplikowała, gdyż lekarz nie miał surowicy. Znaleziono ją dopiero w szpitaliku Zakładu dla Umysłowo Chorych. Teraz Frankowi nic już nie zagraża. Jednak do obozu już nie powróci, lekarz zalecił mu pozostanie w domu. Druh Gojny wykorzysta pobyt w mieście, dokona zakupów żywności i wróci późnym wieczorem.

Tymczasem wieczór już gęstniał.

Zabudowania, drzewa, te rosnące w ich sąsiedztwie i te za zrębem, najdłużej pozbawionym cienia, wszystko zaczął ogarniać zmierzch. Zdawał się czekać, aż słońce zapadnie za zielone listowie dębów, za iglasty las. Gdy to się już stało, zapanował równo i sprawiedliwie nad całą leśną osadą.

Wtedy się zaczęło. Do wyrównanych harcerek szeregów podszedł Orlik. Puchacz zameldował zastępy na zbiórce „gotowe do ogniska”. On też miał być gospodarzem ogniska zamiast nieobecnego Gojnego.

A gdy już zasiedli wokół stosu, jeszcze nie zapalonego i nie buchającego iskrami, ale gotowego to uczynić w każdej chwili, mieli możliwość przekonać się, jak praktyczny stał się pomysł Puchacza wykorzystania świerkowych klocków. W wydzielonym sektorze zajęli miejsca druhowie z komendy obozu wraz z gośćmi, nadleśniczym i jego zastępcą.

Buchnął ogień podłożony ręką Orlika.

Chrust z domieszką wyschniętego igliwia nie dał od razu czystego płomienia. Skłębiony, ciemny dym bił pod niebo zrazu wąskim,

a u góry szerokim, słupem. Na głowy siedzących opadały jasne, spopieliałe resztki chrustu. Twarze siedzących bliżej ognia nabierały ciepła i koloru pomarańczy. Bo też z początku nachylały się do tej ciepłoty skwapliwie, dopiero potem, gdy od smolnych świerków, podrzucanych skrycie przez Chudego, poszedł żar i trzask, głowy niektórych zaczynały się odchyłać. Czerwone języki ognia pięły się niecierpliwie w górę, zakwitwały nagle jak ogniste kwiaty, to znów nagle ginęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Mrok wprawdzie wyszedł z lasu, ale długo nie miał dostępu do podwórza rozjaśnionego ogniskiem, wciąż i wciąż podsycanym nowymi naręczami drzewa.

Przemówił druh Koncki. Zwyczajnie i bez wielkich słów. O Śląsku, który znów wrócił do Macierzy, o powstaniach i powstańcach, wreszcie o nich, harcerzach śląskich. O prawie i przyrzeczeniu harcerskim.

Gdy Orlik skończył, Puchacz poderwał wszystkich na nogi i zaintonował „Rotę” Marii Konopnickiej. Jego donośny głos przebił się przez trzask palących się gałęzi i po kilku słowach utonął w chórze chłopięcych głosów, chórze nieśmiałym, bo w tym czasie na Śląsku nie wszyscy jeszcze znali słowa tej pieśni.

– Druhowie, a może by tak „Płonie ognisko”? – zaproponował Puchacz, gdy już rozluźnieni zajęli swoje miejsca. Nauczył ich tej nieznaney im piosenki zaledwie kilka dni temu.

*Płonie ognisko i szumią knieje,
Drużynowy jest wśród nas.
Opowiada starodawne dzieje,
Bohaterski wskrzesza czas...
O rycerstwie spod kresowych stanic,
O obrońcach naszych polskich granic.
A ponad nami wiatr szumny wieje,
I dębowy huczy las...*

Polubili od razu tę piosenkę. „Puchacz to gorol, ale pieśniczki polskie i harcerskie zno” – mówił Chudy do kolegów.

A potem jeszcze zaśpiewali:

*Tam od Wisły, tam od Warty,
Biją głosy w świat otwarty...*

I taką o wierzbinię i skrzypkach:

*Powiedz ty mi, oj wierzbino,
Z czym ja większe szczęście mam...*

Od naszych powstańców nauczyliśmy się o bytomskich strzelcach – możemy? – tym razem Profesor wyszedł z propozycją.

– Pewnie, że możecie – Puchacz był ciekawy.

*Do bytomskich strzelców wojska zaciągają
Niejednej kochance, niejednej dziewczynie
Serce zasmucają, serce zasmucają...*

Żubr wsłuchiwał się w melodie znanych i nieznanym mu piosenek, nadstawiał ucha, rytm wybijał nogą, kiwał siwiejącą głową, od czasu do czasu coś tam mówił do Orlika. Wtedy obaj nachylali twarze ku sobie jak dobrzy znajomi. Chudy już nie krył się z dokładaniem do ognia żywicznych szczap. Naznosili ich przecież wiele. Stary leśnik wiedział, że inny jest ogień z chrustu, inny z byle jakich gałęzi, a jeszcze inny z drzew nasiąkniętych żywicą. Więc zajęty rozmową z Orlikiem albo zasluchany w śpiew chłopców zaraz odwracał twarz w stronę ogniska, gdy tylko usłyszał wzmagający się szum ognia lub trzask pękających bierwion. I wtedy wiedział już wszystko. Chudy zza pleców sąsiada podpatrywał go ukradkiem, spodziewał się nieprzychylniej reakcji Żubra, ale się jej nie doczekał. Nadleśniczy, jak gdyby nigdy nic, wzrokiem gonił iskry pędzące ku niebu i, jak przedtem, uśmiechał się życzliwie.

– Kto by to pomyślał, kto by to pomyślał...

– Że co, panie nadleśniczy?

– Że ja, że ten las – Żubr zatoczył ręką półkole – że my tu na tym odludziu usłyszymy kiedyś polski śpiew i polskie piosenki.

– Nie wierzył pan w sprawiedliwość historii? – Orlik zadał mu trudne pytanie.

Żubr popatrzył na niego przenikliwie, po czym rozgarniając patykiem zwiędłe od ciepłoty resztki trawy, powiedział:

– Historia, powiada pan? Może jest sprawiedliwa, nie wiem, ale na pewno ma jedno złe przyzwyczajenie.

– Jakie?

- Lubi się spóźniać.
- Nie rozumiem – Orlik nie był pewien, czy Żubr przypadkiem nie żartuje.
- Polacy we wszystkich dzielnicach byli już po wojnie wolni, a my tu na Śląsku – ostatni. I to dopiero po trzech powstaniach.
- Orlik nie wiedział, co ma Żubrowi odpowiedzieć, a ten jakby zachęcony milczeniem, zapatrzony w ognisko, mówił dalej.
- Was młodych czas nie goni, to wy go wyprzedzacie. My starzy, całe życie czekaliśmy. A pan wie, co znaczy czekać?
- Orlik poruszył się niespokojnie, był zaskoczony refleksjami starego leśnika. Nigdy by go o nie, nie posądzał.
- No czekać, to znaczy czekać – bąknął bez sensu.
- Nie. Czekać, to znaczy stać w miejscu. A wie pan, że stanie w miejscu, czyli czekanie, bardziej męczy aniżeli ruch?
- Chyba tak – Orlik zupełnie już skapitulował.
- A widzi pan, więc w nas, starych, wszystko jest zmęczone od tego czekania. Życie, zdrowie, nadzieja – wszystko. Nasi ojcowie od czekania na Polskę dawno pomarli.

W przerwie między piosenkami gwarно było wokół ogniska. Tu i tam słyhać było próby solowego śpiewu. Ktoś zaczął dyskantem i po kilku słowach umilkł. Ktoś inny, napiętnowany mutacją, w połowie frazy przeszedł z falsetu na bas, czym wzbudził powszechną wesołość. Tak właśnie było, gdy ktoś próbował sztucznym basem zaśpiewać:

*Przy piecu stoła,
I krupnioki grzola,
A łon jom...*

Dalej zabrakło tchu. I odwagi.

Ogień co rusz podsycany przez Chudego i jego pomocników, huczał, odbijał się blaskiem od szerokich wrót spichrza, od pobielanych ścian stajni i chlewa i od wielkiego gmachu nadleśnictwa. Pokraczne cienie uciekały przed arogancką jasnością, panoszącą się niemal w środku nocy.

Profesor i Romek przeniesli się z drugiego rzędu do Chudego.

- Znasz Żubra? – zapytał Romana Profesor.
- Pewnie, że znam. Przychodzę tu często z tatą.

– To poproś go, żeby nam opowiedział jakąś myśliwską przygodę.

Romka nie trzeba było długo namawiać. Za to nadleśniczy wymawiał się jak tylko mógł. Wreszcie zachęcony przez Orlika, zgodził się.

Chłopcy, zaciekawieni zapowiedzią Puchacza, przenieśli swe klocki bliżej Orlika i Żubra. Ucichł gwar.

– Może być o dziku? – zapytał Żubr, rozglądając się.

– Może, może – odpowiedział chór zaciekawionych.

Opowieść zaczęła się prawdziwie po myśliwsku z odpowiednim cieniowaniem głosu, ilustrowana wymownymi gestami. Chudemu trzeba było nawet w pewnej chwili przypomnieć o dołożeniu drew do ogniska, bo tak był zasłuchany w opowieść leśnika.

Odyniec, o którym stary myśliwy opowiadał, był postrachem całej okolicy. W dzień nie buchtował¹⁰. Zalegał w błotnistych grundach i mszarach¹¹. Wylegiwał się w nich, chłodził, rehotaniem straszył ptaki i inny drobiazg leśny. Dopiero w nocy wychodził na pola. Ludzie rankiem obchodzący swe gospodarstwa żegnali się przestraszeni tym, co zastali. Ziemniaczyska zryte były tak, że redlin nie było widać, a owies, jeżeli nie stratowany rapetami¹², to tak gwizdem wyluskany z ziarna, że tylko słoma została. Słuchy po rapciach zostawiał ogromne, jak cielak. Ludzie przychodzili, żalili się, pomstowali, a nawet złorzeczyli, że to zły duch przybrał postać dzika. „Postanowiliśmy skończyć z rabusiem” – mówił Żubr. „Były więc polowania, zawsze w kilka strzelb. I zasiadki w pojedynkę też. Na czarnej i białej stopie¹³. Jeden rok, drugi rok, wszystko na nic. On wciąż jak duch przenikał linie strzelców, omijał ludzi. Z zasadzek uchodził cały, jakby się go kule nie imały. Tylko raz puścił farbę¹⁴, akurat była ponowa¹⁵. Po strzale szliśmy jego tropem, chyba kilka kilometrów i nie dopadliśmy go. Farba, z początku obfita, nagle się urwała, a on sam rozplynął się we mgle” – stary myśliwy rozłożył bezradnie ręce. „Nikt z nas nie

10 buchtować – w gwarze myśliwskiej ryc w ziemi

11 grundy i mszary – doliny bagienne

12 rapety – inaczej racice czy rapcie

13 biała stopa – teren zaśnieżony; czarna stopa – teren pozbawiony śniegu

14 farba – krew

15 ponowa – świeży śnieg

odważył się pójść za nim na bagna, ledwie zamarznięte. Minęła zima, przyszło lato, dzika ni widu, ni słychu. Ludzie odetchnęli. Na przyleśnych polach przysiewy dojrzewały w słońcu i spokoju, bo żeby odstraszyć sarny, wystarczyło stracha postawić. Byliśmy przekonani, że jeśli tamten nie skończył swojego zbójnickiego życia w bagnach, to z pewnością wyniósł się w inne strony. Ludzie mówili: Ze złym tak bywa, że wędruje... I tak z dnia na dzień bladły wśród ludzi złe wspomnienia o odyńcu rozbójniku. Tylko mnie, od czasu do czasu, przyśnił się nastroszony czarny chyb i potężne szable¹⁶.

Tym stary leśnik zdawał się kończyć opowieść o dziku. Nastała cisza. Słysząc było tylko syk żywicy trawionej ogniem. W wyobraźni chłopców gęstym lasem pomykał dzik – zjawa. Tymczasem Żubr chusteczką otarł pot z czoła, rozejrzał się wokoło i nagle zapytał:

– Myślicie pewnie, że na tym koniec, co?

Odpowiedzią był szmer zdziwienia. Znów pochyliły się głowy w jego stronę.

– Nieraz jeszcze w życiu usłyszycie – ciągnął dalej Żubr – jak to myśliwy szukał ratunku przed dzikiem na drzewie. Mogę was zapewnić, że większość tych opowieści to przesada lub zgoła fantazje. Mnie jednak drzewo naprawdę uratowało życie przed kalectwem, a może nawet przed śmiercią.

Przerwał na chwilę, jakby wspomnienie o tamtym wydarzeniu mowę mu odjęło, tak było bliskie i dokuczliwe. Ale on tylko ruchem ręki dał znać Chudemu, aby dorzucił dREW do ognia.

– Któregoś jesienno dnia wybrałem się na teren oddziału, w którym z nastaniem mrozu miała być dokonana trzebież. Obchód zajął mi tyle czasu, że ani się spostrzegłem, gdy cienie drzew stojących na skraju duktu, zaczęły się wydłużać. Czas było wracać, aby jeszcze przed zmierzchem zdążyć do domu. Szedłem na przełaj, przez zeszłoroczny zrąb, przez brzozy, a potem wzniesienie porośnięte dębami. Tej jesieni wrzos rozrósł się nadzwyczajnie, utrudniał marsz. Rad byłem, gdy wszedłem między dęby. W pewnej chwili natrafiłem na mało uczęszczany przez zwierzynę weksel. Nie zdziwiło mnie to tak, jak świeżo zryta ściółka. Tu dziki

musiały tej nocy buchtować. A jak pamiętałem – nie buchtowały w tym miejscu od przeszło dwóch lat. Zdziwiło mnie jeszcze i to, że to buchtowanie było bardzo rozległe. Zwierz musiał być wielki, zadziorny, bo krzaczki – samosiejki, jakby ze złości wydarły były razem z korzeniami. Nachyliłem się, żeby lepiej rozeznaczyć ślady, ale dryling zaczął mi się obsuwać z ramienia, musiałem więc wrócić do poprzedniej postawy i wtedy oniemiałem. Weksłem, z tabakierą przy ziemi, spokojnym truchcikiem sunął wprost na mnie ON! Od razu go poznałem po gęstym czarnym chybie¹⁷. Był jeszcze oddalony od mnie z pięćdziesiąt kroków, ale odległość ta z sekundy na sekundę malała. Nigdy przedtem, ani nigdy potem, wierzcie mi, ilekroć przyszło mi stanąć oko w oko z leśnym zwierzem, nie przeżyłem tego tak, jak właśnie wtedy. Wstyd mi się przyznać, ale czułem, jak mi się nogi uginają, a gdy chciałem zrobić krok w przód, wydało mi się, że wrosły w ziemię. W pierwszej chwili nie wiedziałem, co zrobić. Oglądam się, wszędzie wysokie dęby, ale tuż przy mnie rośnie jeden młodziutki z samosiejki, gałęzie niegrube, wyrastające z pnia tuż nad moją głową. Machinalnie ściągam broń z ramienia, łamię ją, trzęsącymi się rękami ładuję kulę i, wciąż stojąc w rozkroku, czekam. Zdaje mi się, że trwa to wieczność. A on, nie mogąc tego pojąć, jak ślepy i głuchy na wszystko, co się przed nim dzieje, dalej wali truchcikiem wprost na mnie. Jeszcze czterdzieści, jeszcze trzydzieści kroków... Widzę ten łeb potężny i pochylony, najeżony chyb, słyszę prychnanie... Dwadzieścia kroków... Strzelaj! Strzelaj! – słyszę wewnętrzny rozkaz. Więc błyskawicznie podnoszę broń do ramienia, celuję w klinowaty czerep i pociągamy za spust... Wszystko, co potem nastąpiło, było podobne do błyskawicy i grzmotu. Moje ucho zdążyło zarejestrować huk strzału, a oko błyskawiczny skok odyńca w górę, jakby podrzuciła go jakaś niewidzialna i piekielna siła. Ułamek sekundy później runął wprost na mnie. Ledwie zdążyłem odrzucić na bok strzelbę, podskoczyć w górę, obiema rękami uchwycić się konara i tak na moment zawisnąć z podkurczonymi nogami. A on przemknął pode mną jak burza. Z dębowego wzniesienia parł na dół, na oślep, w świerkowy młodnik. Łamał po drodze wszystko, trzask i szum

17 chyb – u dzika długa i gęsta szczecina

szedł po lesie, jakby nie jeden, ale cała wataha dzików gnała. Potem zapadła cisza. Czyżby wszystko, co się tu zdarzyło było snem?

–I co dalej, co dalej? – odezwały się niecierpliwe głosy, gdy Żubr na chwilę przerwał i dłonią gładził przystrzyżoną brodę. Siedzący bliżej widzieli, jak przez jego ogorzałą twarz przeleciał uśmiech. Wiedział, że teraz wszyscy wpatrują się w niego i oczekują zakończenia.

–Na drugi dzień o świcie ruszyliśmy na poszukiwanie. Znaleźliśmy go niedaleko miejsca naszego spotkania. Nie miał obu oczu. Jednego od dawna, drugie, wraz z życiem, stracił tamtego wieczora...

–Aaa – rozległo się zbiorowe westchnienie.

Żubr nie wiedział, czy było ono wyrazem ulgi, czy współczucia.

Od dłuższego czasu nikt nie dokładał drewna do ogniska. Chudy siedział na swym kłocu, łokcie miał wbite w kolana, pięściami podpierał brodę i chłonał opowieść starego leśnika. Ocknął się, gdy nagły gwar przerwał ciszę. Dorzucił więc drobiazgu, aby ogień pobudzić. Wnet słup dymu poszedł ku gwiazdom. Mrugały już w górze, zapowiadając bezchmurną i parną noc.

–Dorzuć smolnych, dymu za dużo – Puchacz znów poczuł się w roli odpowiedzialnego za ognisko. Chudy wykonał rozkaz.

Nagle wszyscy unieśli się w miejsc i odwrócili się ku drodze. Stamtąd bowiem dochodził głuchy galop konia i skrzyp kół. Za chwilę w blasku ognia oświetającego płot, drogę i dęby zobaczyli, jak otwartą na oścież bramą wbiega koń, wlokąc za sobą bryczkę.

–Rany boskie, chyba wypadek! – krzyknął Puchacz.

–Gdzie jest Gojny? Nie ma Gojnego! – zawołał Orlik. Trzymajcie konia!

Tymczasem koń szerokim łukiem okrążył ognisko i truchcikiem podbiegł do wrót stajni.

Dopadli go. Jedni chwycili uzdę, inni zwiając zaczęli zerwane lejce, jeszcze inni dokonywali oględzin rozklekotanej bryczki. Tylko Żubr zajął się troskliwie koniem, bo stajennego nie było już w obejściu.

Orlik, przerywając tumult i zamieszanie, zarządził alarm. Wybrał kilku starszych i rośniejszych chłopaków.

– Pójdziemy szukać Gojnego. Zabrać ze sobą lampki. Reszta z druhem Chrapkowiczem zostanie w obozie. Czekać na nas – zwrócił się do Puchacza.

– Idę z wami, tylko skoczę po fuzję i po Hektora – Żubr nie czekając, co na to powie Orlik, wbiegł do mieszkania. Za chwilę razem ruszyli drogą, którą nadbiegł koń.



– Rany boskie, chyba wypadek! – krzyknął Puchacz

ROZDZIAŁ XV

Mały oddział zanurzył się w ciemności.

Leśna droga porojeżdżana kołami wozów pełna była wybojów i zmuszała do ostrożnego posuwania się naprzód. Mdłe światło lampek kieszonkowych niewiele pomagało. Zadzierali więc głowy, kierując się wiszącym nad nimi pasem nieba roziskrzonym gwiazdami.

Dopiero gdy dotarli do zrębu, świat nagle jakby pojaśniał, a im samym zdawało się, że wyszli z jakiejś czeluści. Pod stopami wyczuwali sypki piach. Gdy światła lampek skoncentrowali w jeden punkt na drodze, z łatwością mogli rozpoznać świeże ślady kół bryczki.

– Ślady kopyt wskazują na to, że już w tym miejscu koń pędził galopem. Start tego biegu i jego przyczyny muszą więc być jeszcze dalej – oznajmił Orlik.

– Wyciąga pan słuszny wniosek ze śladów – powiedział Żubr – ale ja, zanim ruszymy dalej, proponuję, abyśmy razem zakrzyknęli.

Tak też zrobili i po lesie rozległo się głośnie nawoływanie: Goj-ny! Goj-ny!

Zdawało się im, że swoim krzykiem zbudzili ze snu wszystkie ptaki w lesie. Z gęstwiny doleciały ich niecierpliwe kwilenia i łopot skrzydeł. Gdy echo, odbite od ściany drzew z prawej strony zrębu, potoczyło się ku lewej i wreszcie gdzieś tam daleko ucichło, powtórzyli wołanie:

– Goj-ny! Goj-ny!

– Musimy pójść jeszcze dalej. Uważajcie na pobocza drogi. Gdy koń poniósł, Gojny mógł spaść z bryczki. Na takiej drodze i w takich ciemnościach o to nie trudno – Orlik uspakajająco wpływał na kolegów.

– Jeżeli tak się stało, jak pan mówi, Hektor na pewno go znajdzie, nie ma obawy – zapewnił Żubr.

Droga, nie dochodząc do zrębu, łagodnym łukiem skręcała w prawo ku ciemnej ścianie wysokiego lasu i dalej, ku „gwieździe”. Po obu stronach drogi na szarym tle ziemi, od roku pozbawionej już wiekowych sosen, niewyrudowane¹⁸ pniaki wyglądały jak wielkie kretowiska.

Widoczność znacznie się poprawiła, gdy znad dalekiej lizjery¹⁹ lasu wyłoniła się tarcza pyzatego księżycy. Wtedy przyspieszyli kroku.

– Nie traćmy czasu na przeszukania poboczy – Żubr na chwilę przystanął, gdyż Orlik z chłopcami pozostali nieco w tyle. Jeżeli coś będzie, mój pies da sygnał. Myślę, panie Koncki, że zagadkę rozwiążemy dopiero za zrębem, w wysokim lesie.

– Być może – Orlik teraz miał możliwość obserwować zdyscyplinowanie wyżła nadleśniczego. Jego brązowa, ostra sierść prawie zlewała się z ciemnym tłem nocy. Trzymał się blisko swojego pana. Gdy przystawał, to tylko na tak długo, jak tego wymagała sytuacja. Stawał wtedy spięty i nieruchomy na tych swoich wysokich nogach, brał wiatr w nozdrza, na chwilę chował w pysku wywieszony język i wpatrywał się uważnie w jakiś punkt na zrębie. Za chwilę znów ruszał dalej, pociągając za sobą Żubra.

– Co tam mogło być, pies chyba coś wyczuł – zapytał jeden z chłopaków.

– Wyczuł zwierzynę. Noc to czas jej wędrówek. W ogóle, dla zwierzyny zręb w nocy to tak, jak dla ludzi rynek w dzień.

Ciemna ściana lasu była coraz bliżej.

Orlik ponownie zbadał ślady. Pochylił się nad nimi.

– Tu też pędził galopem – powiedział po chwili.

– Koń młody i silny, ale taki długi galop? Aż dziw, że bryczka się nie rozleciała. Musiał mu ktoś solidnie napędzić strachu – dodał podejrzliwie Żubr.

– To bardzo prawdopodobne. Gdy doleciał do nadleśnictwa, piana z pyska spadała mu całymi płatami – zauważył jeden z druhów.

– I trząśł się tak, jakby się miał przewrócić – dodał drugi.

18 wyrudować – wykarczować, wyrwać z korzeniami

19 lizjera – brzeg, pas graniczny

–Więc nie traćmy czasu – głos Orlika zdradzał pierwsze oznaki niepokoju.

–Musimy dojść do „gwiazdy”, stamtąd niedaleko już do leśniczówki pana Malewskiego – Żubr dobrze znał podległy mu teren. Myślę, że jeśli Gojnemu przydarzyło się coś złego, to raczej w okolicy „gwiazdy”. Niedawno znaleziono tam trupa mężczyzny. Zagadkowa śmierć. Nie miał żadnych dokumentów – dodał.

Ostatnie słowa Żubra nie dodały otuchy chłopcom. Wyczuł to instynktownie Orlik i zdecydował się osłabić złe wrażenie.

–Co to ma wspólnego z Gojnym? Ile to razy zdarza się, że konie poniosą. Tego mógł nawet wystraszyć krzak jałowca stojący bliżej drogi.

I zaraz dodał:

–Uwaga wchodzimy w las. Chłopcy, trzymać się razem. Nie zostawać w tyle.

Droga na zrębie niczym nie ograniczona, tu ujarzmiona została ścianami wysokich, gonnych²⁰ sosen. W górze, przez ich gęste czuby przeświecał księżyc bliski pełni. Z lasu do samej drogi dochodziły krzaki jałowca. W świetle księżycy zagładającego w każdy załom zdawały się towarzyszyć idącym skrajem lasu.

Było parno.

Żubr znów zaproponował wołanie.

–Jeżeli to nie pomoże – wystrzelę.

–Goj-ny! Goj-ny! – wołanie było głośne, ale bez echa ugrzęzło w starodrzewiu.

Chwilę nasłuchiwali.

Cisza... Gdzieś w oddaleniu nagły łopot skrzydeł.

Wtem odgłos wystrzału targnął powietrzem.

Las na chwilę ożył. Pisk, trzask gałęzi i tupot.

I wtedy usłyszeli...

–Ciii, co to było? Jakiś głos, jakieś wołanie, chyba się nie prześlyszałem – Orlik nastawił ucha.

Po chwili znów. Jakby wołanie o pomoc. Od strony „gwiazdy”.

Hektor cicho zaskomlał. Czekał na przyzwolenie.

Podbiegli dwadzieścia, trzydzieści kroków.

–Gojny! – Orlik zawołał już sam.

20 gonne drzewo – wysokie i proste

– Tutaj... – usłyszeli wyraźnie.
Hektor rwał się do przodu. Biegli za nim.
– Gojny! Gojny!
– Ratunku, ratujcie mnie! – doleciało ich zza rowu z gęstego podszycia.

Teraz już wiedzieli, że to druh oboźny.

– Trzymajcie psa, żeby go nie pogryzł – Orlik pierwszy przesadził wąski, ale głęboki rów i zaczął przedzierać się przez krzaki leszczyny w kierunku, z którego dochodziło wołanie o ratunek.

Za nim ruszyli chłopcy. Żubr z psem na razie zostali na drodze. Wisiało nad nią niebo rozjaśnione światłem księżycy. W gęstwinie, skąd dochodził głos Gojnego, panował jednak nieprzenikniony mrok. W anemicznych smugach lampek kieszonkowych krzaki leszczyny i jałowca wydawały się płataniną nie do przebycia.

Jeszcze kilka mocnych ruchów ramionami i usłyszeli:

– Tutaj, tu jestem...

Skoncentrowali światło w miejscu, skąd dochodziły jęki. To, co zobaczyli, przeszło ich najgorsze oczekiwania. Gojny przywiązany był do sosny samotnie wyrastającej w tym miejscu z podszycia. Ciało do połowy nagie, okręcone linką, zwisało bezwładnie. Z ust na piersi ściekały resztki śliny. Roje komarów obsiadły nieszczęsnika i cięły bez litości.

Orlik jednym skokiem znalazł się przy nim.

– Nóż, szybko nóż, dawajcie, trzeba przeciąć linkę.

Podali.

Razem ze zwojami sznura na ziemię obsunęło się ciało Gojnego. Przez dłuższą chwilę leżał z twarzą zanurzoną w miękkim mchu. Dyszał ciężko. Potem powoli, powoli uniośł się na kolana, rozejrzał się i poznał kolegów.

– Myślałem, że ze mną już koniec, że do rana nie dożyję.

– Kto cię tak urządził? – Orlik pochylił się nad nim.

– Nie znam ich. Wyszli z lasu na drogę, dwóch chwyciło konia za uzdę, dwóch podeszło do mnie. Ściągnęli, wykręcili ręce. Broniłem się, przewrócili na ziemię, kopali gdzie popadło... – Gojny mówił z przerwami z wielkim wysiłkiem.

– Mówili coś?

– Do mnie nie. Między sobą też nie. Tylko jeden z nich rzucał półgłosem krótkie rozkazy. Po niemiecku.

– Po niemiecku? Nie przesłyszałeś się?

– Przecież znam...

Chłopcy w tym czasie przeszukiwali krzaki.

– Druhu komendancie, jest koszula i bluza.

– Całe szczęście – Orlik był rad z odkrycia.

– Co z koniem? – Gojny niepokoił się.

– Przyleciał sam, galopem. Dzięki niemu tu jesteśmy.

Do chłopaków doszedł Żubr z psem. Gojny przy pomocy harcerzy ubrał się.

– Nie możemy znaleźć butów, może by tak Hektor – poprosił nadleśniczego któryś z chłopców.

Pies zaczął myszkować po krzakach.

– Szukaj, Hektor, szukaj! – zachęcał go Żubr.

Pies wrócił z jednym butem, po chwili przyniósł drugi.

Gojny nie od razu był gotów do drogi. Dotkliwie pobity i obolały, w dodatku pogryziony przez komary, teraz był zdany wyłącznie na pomoc swych wybawców. Gdy już doszedł do siebie i mógł utrzymać się na nogach, wydostali się z zarośli na drogę.

– Czy nie byłoby lepiej, zamiast wracać do Czarnego Lasu, zaprowadzić pobitego do leśniczówki pana Malewskiego? Stąd do niego jest znacznie bliżej, prawda panie nadleśniczy? – zaproponował Orlik.

Żubr przytaknął.

– Do nas mamy cztery kilometry, a do Malewskiego ze dwa.

– A więc ruszajmy do niego. Wybaczmy nam chyba nocną wizytę.

– Nie ma obawy – Żubr rozwiął wątpliwości Orlika.

Już mieli ruszyć w drogę ku „gwieździe”, gdy Orlik nagle zaproponował:

– Niech pan wystrzeli. W powietrze, na postrach. Zbóje mogą być jeszcze blisko, niech wiedzą, że mamy broń.

Huk wystrzału potoczył się po lesie.

Ruszyli.

Minęli krzyżówkę, weszli na jedną z jej dróg wiodących do leśniczówki Malewskiego. Gojnego na zmianę podtrzymywali pod pachami. Szli po kostki w sypkim piachu. Wkrótce w poświacie zamajaczyły białe ściany leśniczówki.

Zapukali do drzwi od strony podwórza. W tej samej chwili usłyszeli głos pana Malewskiego. Chyba wiedział, że nadchodzą.

– Kto tam? – zapytał.

– My z Czarnego Lasu.

Pan Malewski poznał głos nadleśniczego.

– Zaraz, zaraz, tylko Rolfa zamknę w kancelarii.

Po chwili wrócił. Żubr z Orlikiem, podtrzymując Gojnego, weszli do wnętrza. Chłopcy obsiedli ławę przed domem.

– Słyszałem strzał. Myślałem, że znów się zaczyna, zwłaszcza, że Rolf mnie obudził. Czuwaliśmy.

Orlik, nie bawiąc się w szczegóły, opowiedział przebieg wydarzeń. Pan Malewski słuchał z zaciekawieniem, od czasu do czasu dawał wyraz oburzenia gestem lub wtrąconym słowem. Co chwila zerkał na biednego Gojnego. Orlik i Żubr teraz dopiero, w świetle lampy, mogli się przyjrzeć jego twarzy – opuchniętej, posiniaczonej, z podbitymi oczami, podobnej do twarzy topielca.

– Z miejsca napadu jest do pana bliżej niż do Czarnego Lasu – Orlik kończył swoją relację – więc zdecydowaliśmy się pana niepokoić. Musimy też o napadzie zgłosić na policji. Zaraz z rana. Chłopcy z panem nadleśniczym mogą już wrócić do obozu, ale mógłby pan przenocować mnie i Gojnego.

– Ależ naturalnie – Malewski niezwłocznie wyraził zgodę.

– Chłopcy w obozie na pewno z niecierpliwością czekają na nasz powrót, czy można od pana zatelefonować?

Malewski rozłożył ręce.

– Niestety – w nocy telefon jest nieczynny. Ale – Malewski zwrócił się do Żubra – ma pan broń i Hektora, za godzinę będziecie na miejscu. Rano, o godzinie ósmej możemy sobie wymienić informacje telefonem.

Nie tracili czasu.

Po odejściu Żubra i chłopców Malewski zbudził żonę. Pani Michalina przerażona tym, co się stało, w mig zagotowała duży baniak wody. Oboźnego napiła sokiem malinowym, po czym na środku obszernej kuchni ustawiła balię i napełniła ją ciepłą wodą.

– Panowie, reszta należy do was. Jest mydło i ręczniki. Kąpiel biedakowi z pewnością sprawi ulgę. Zaraz przyniosę nocną koszulę męża – pani Michalina – jak zwykle w takich sytuacjach przejawiała zdolności organizacyjne i nie traciła głowy.

Gdy już wszystko przebiegało zgodnie z jej życzeniem, zwłaszcza gdy Gojny został już ułożony do snu na leżance, Malewski z Orlikiem przeszli do kancelarii.

– Na tym terenie jestem zbyt krótko – zaczął Orlik – nie znam tutejszych stosunków, ale niech mi pan powie, co pan sądzi o tym napadzie? Kto to mógł zrobić?

– To mi wygląda na robotę orgeszowców.

– Tych bojówkarzy z czasów plebiscytu?

– Nie tylko z plebiscytu, z ostatniego powstania też. Odznaczyli się szczególną nienawiścią do wszystkiego, co polskie.

– Ale od powstania minęło sporo czasu...

– Niemcy z utratą Śląska tak szybko się nie pogodzą, zwłaszcza po wygranej przez nich plebiscycie. Organizacja „Orgesch” musiała nasze tereny opuścić, to prawda, ale jak pan wie, granica przebiega niedaleko stąd, środkiem lasu. W punkcie przejścia granicznego urzędują tylko celnicy. W lasach granicę można przekraczać o każdej porze dnia i nocy. To idealna sytuacja właśnie dla orgeszowców.

– Chcą nam Śląsk odebrać? – zakpił Orlik.

– Nie, oni wiedzą, że jest to już niemożliwe. Więc mszczą się na wszystkim, co pachnie Polską. Napadają, biją, organizują sabotaże. Niedawno temu śluza na stawach została zerwana – sprawcy nieznani, maszyna w przędzalni zniszczona – sprawcy nieznani, jeszcze przedtem wagon wysadzony w powietrze – nie znaleziono winnych. Ostatnio moja leśniczówka była nocami ostrzeliwana, a ja z rodziną musiałem uciekać do koszar pod opiekę wojska – nikogo nie ukarano. Teraz ten okrutny napad jest szczytem bezeczeństwa. Gdybyście kolegi nie odnaleźli, wątpię, czy dożyłby do rana. Rozmyślnie czy nie, gotowali mu śmierć. Kto i za co, pytam?

– U nas w Katowicach też jest sporo Niemców. Nawet całe firmy niemieckie i szkoły, w ogóle Niemcy mają dużą swobodę, ale żeby...

Orlik ani rusz nie mógł się pogodzić z tym, co przeżył tej nocy.

– Widocznie duże skupiska im nie odpowiadają, ale tu, skąd do granicy żabi skok? Podejrzewam, że w naszym lesie, bliżej granicy mają dobrze zamaskowaną kryjówkę, a w mieście pomocników i informatorów.

– Nie można ich zdemaskować, wytropić?

– Niektóre fakty wzbudziły we mnie podejrzenia, ale gdy przedstawiłem je komisarzowi policji, zbył mnie niczym. Na wszystko ma odpowiedź, że „Liga Narodów załatwi”, a mnie posądza o kompleks.

– Jaki? – zaśmiał się Orlik.

– Że w każdym przestępstwie widzę rękę orgeszowców. Opowiedziałem mu o ostrzeliwaniu leśniczówki. Wie pan, jak on na to zareagował? „Będę musiał – powiada – skonfiskować panu broń, bo pan jeszcze kogoś zastrzeli, a ja będę musiał się tłumaczyć”. Myślałem, że diabli mnie wezmą ze złości!

– Nie dziwię się. A że pana mogą zastrzelić, tym się nie przejął?

– Widocznie nie. Błąd tkwi w tym, że obsadza się takie stanowiska ludźmi nieznanymi ani tutejszych stosunków, ani problemów. Śluzacy są rozgoryczeni. Zresztą – pan Malewski ożywił się – proponuję, abyśmy rano wspólnie udali się do komisarza, pan musi formalnie donieść o napadzie, zgoda?

Orlik przytaknął.

– A teraz trzeba pomyśleć o spaniu. W tym pokoju, w którym ulokowaliśmy Gojnego, jest głęboki fotel, wystarczy?

– Luksusowe warunki – zaśmiał się Orlik.

Po krótkiej nocy rano nadszedł szybko.

Jeszcze przed śniadaniem Orlik zatelefonował do nadleśnictwa. Żubr poinformował go, że do obozu dotarli bez przeszkód. Dobrze, że nie zwlekali z powrotem, gdyż chłopcy, nie kładąc się spać, czekali na nich w napięciu i niepewności. Nie wtajemniczał ich w szczegóły napadu, nie chciał ich przerażać, tylko Puchaczowi wszystko opowiedział. Za chwilę – poinformował Orlika – wyjadą bryczką po Gojnego. Lekarza sprowadzą na miejsce. Dobrze byłoby, gdyby Orlik szybko uwinął się w mieście i mógł z oboźnym wrócić do obozu.

– Ma pan rację, pospieszmy się. Nastrój wśród chłopców w obozie chyba nie najlepszy. Musimy go co rychlej poprawić. Zaproponuję panu Malewskiemu, abyśmy zaraz po śniadaniu wyruszyli.

Pani Michalina była niepokieszona. Bo to i konfitury nie ruszone prawie, i miód ledwo ledwo, a oni już wstali od stołu.

W budynku policji na korytarzu natknęli się na Kurzeję. Zdawał się po raz pierwszy widzieć harcerza z orlim piórem, bo Orlikowi przyglądał się z wielkim zainteresowaniem.

– Zastaliśmy pana komisarza?

– Właśnie od niego wychodzę. Musicie panowie zaczekać. Pan komisarz je śniadanie. Nie lubi, gdy mu się w tej czynności przeszkadza.

Czekali więc. Ława, na której usiedli, była niewygodna. Czas się dłużył.

Wreszcie mogli wejść. Skromne, niemal surowe urządzenie wnętrza nie harmonizowało z siedzącą za biurkiem wymuskaną postacią w granatowym mundurze. Malewski nieraz miał możliwość widzenia się z komisarzem, nic więc go już nie dziwiło, za to Orlik poczuł się wyraźnie nieswojo. Inaczej wyobrażał sobie człowieka, któremu powierzono zadanie czuwania nad bezpieczeństwem miejscowej ludności i ścigania przestępców.

Tymczasem cała uwaga komisarza Rudzińskiego skierowana była na Orlika i jego orle pióro. Może roztargnienie było temu winne, może wrodzona oschłość, a może zawodowy nawyk sprawił, że komisarz nie poprosił ich o zajęcia miejsc. Stali więc przed biurkiem i w milczeniu wpatrywali się przez chwilę w gładko ogoloną twarz i delikatne ręce komisarza swobodnie spoczywające na blacie biurka. Oczy policjanta przypominały Orlikowi oczy dużej ryby. Ciemne, nieco wydłużone źrenice, obramowane jasną tęczówką nadawały oczom wyraz permanentnego zdziwienia. „Ten człowiek się tu męczy, czuje się nieswojo” – Orlika napadła niedorzeczna myśl. Ale komisarz sam widocznie pojął niezręczną sytuację. Wstał bowiem z krzesła, zawahał się na moment, jakby nie był pewny, czy dobrze robi, i podszedł wreszcie do nich, podając im kolejno rękę.

– Pan Roman Koncki, harcerz orli i komendant obozu harcerskiego w Czarnym Lesie – przedstawił Orlika leśniczy.

– W naszym Czarnym Lesie? – zapytał komisarz widocznie bezmyślnie, gdyż nie czekając na odpowiedź, mówił dalej. – Od samego rana kłopoty ze złodziejami. Co za ludzie żyją w tym mieście! Cudzego węgla im się zachciewa.

– O kim pan mówi, panie komisarzu? – pan Malewski zapytał nic nie rozumiejąc.

– O złodziejach, panie leśniczy, o złodziejach. Węgiel z transportów kradną. Niech pan tylko uważa, żeby panu lasu nie wycięli.

– Nie ma obawy. Niektóre rodzaje drewna mamy prawo ludziom sprzedawać, więc sprzedajemy. Jest go pod dostatkiem. I tanie. Ale my, panie komisarzu, mamy inne, gorsze kłopoty. Z nimi właśnie przychodzimy.

– W lesie są kłopoty? Chciałbym wiedzieć, jak się one nazywają?

– Zbóje. Albo łotry, jak kto woli.

Komisarz Rudziński na chwilę zamilkł. Widać jednak szybko pozbiierał myśli, twarz uzbroidł w powagę.

– Zbóje, łotry? Tak pan powiedział?

– Właśnie tak.

Nagle komisarz Rudziński zaśmiał się, jakby przypomniał sobie coś wesołego.

– Czyżby znów ci wyimaginowani przez pana... no, jak ich to pan nazywa? Aha, orgeszowcy?

Rybie oczy patrzyły kpiąco na Malewskiego.

– Ja panie komisarzu powiedziałem, że zbóje i łotry, a nie, że orgeszowcy.

Ale komisarz dalej sprawiał wrażenie rozweselonego.

– Widzi pan, a ja już podejrzewałem, że pan znów...

– Co znów?

– No, że pan znów o tych – komisarz niecierpliwie strzelił palcami – o tych orgeszowcach – wyksztusił wreszcie.

Orlik przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu. W duchu podziwiał cierpliwość i opanowanie Malewskiego, którego niewątpliwie musiała irytować ignorancja, jaką komisarz manifestował w sprawie niemieckich bojówkarzy. Obawiał się jednak, że cierpliwość leśniczego się skończy i wtedy może dojść w rozmowie do spięcia. Na razie jednak Wiktor Malewski panował nad nerwami.

– Po pierwsze, muszę sprostować pana błędne mniemanie, że nazwę „orgeszowcy” ja im nadałem. Kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć, że tę nazwę nadali sobie sami i że jest ona skrótem dwóch niemieckich słów „Organisation Escherich”.

Orlik, bacznie obserwując komisarza zauważył, jak po słowach leśniczego, jego twarz stopniowo nabierała koloru piwonii, a on sam powiedział ze złością:

– Nie rozumiem po niemiecku.

Malewski spojrzał wymownie na Orlika, potem machnął ręką i mówił dalej:

–Po drugie – wcale nie jestem pewien, czy próba zabójstwa, o której chce panu donieść ten oto harcerz, była dziełem orge-szowców. Dochodzenie w tej sprawie należy od pana.

–Jakie znowu zabójstwo?

–Powiedziałem: próba zabójstwa, bo delikwent żyje. Jest tak pobity, że nie mógł tu się osobiście zjawić. Jest u mnie w leśni-czówce. Zostanie poddany badaniu lekarskiemu.

–Proszę o konkrety.

–Oto moje zeznanie na piśmie. Potem dołączymy zeznanie poszkodowanego, druha Waltera Gojnego – Orlik podał komisa-rzowi arkusz papieru z dokładnym opisem napadu na oboźnego i nazwiska świadków jego uwolnienia.

Komisarz Rudziński przeglądał pismo w milczeniu. Był niezde-cydowany. Przez chwilę czytał, to znów odrywał oczy od pisma, spoglądając to na Orlika, to na Malewskiego. Wreszcie, zwracając pismo Orlikowi, powiedział:

–Mogą powstać wątpliwości.

–Jakie? – Orlik był szczerze zdziwiony.

–Czy to na pewno jest pana podpis.

–Przecież tu chodzi o fakty, a nie o podpis.

–O jedno i o drugie.

Mówiąc to, otworzył drzwi do przyległego pokoju i zawołał:

–Protokolanta, ale szybko!

Po chwili wszedł policjant.

–Panie komisarzu... – stuknął obcasami.

Ale komisarz już podjął inną decyzję.

–Nie, niech pan wraca. Załatwimy to inaczej.

Zwrócił się do Orlika:

–Proszę usiąść, tu jest pióro i atrament. Proszę napisać jeszcze raz to samo. I oczywiście podpisać w mojej obecności. Wtedy ten papier nabierze mocy urzędowej.

Orlik, nie znając jeszcze tajemnic biurokracji, nie miał wyboru. Zagłębił się w przepisywanie swego zeznania. Tymczasem komi-sarz znów zaczął molestować leśniczego.

–A wie pan, że dochodzenie w sprawie śluży nic konkretnego nie wykazało?

–Jak to, więc to nie był sabotaż?

– Sabotaż, sabotaż, po co zaraz takie wielkie słowo? W tym przypadku wchodzi w grę zwykle niedopełnienie obowiązków służbowych i tyle.

– Przez kogo?

– Przez śluzowego, jak mu tam...?

– Kubera.

– Właśnie, przez śluzowego Kuberę.

– Więc, jak się to ostatecznie skończyło?

– Zwyczajnie, sprawcy nie znaleziono, nie wykryto. Ale mamy o tym własne zdanie.

Malewski pokiwał głową.

– Według tego, jak pan powiada „własnego zdania”, to pewnie wychodzi, że śluzowy Kubera sam otworzył śluzę i woda poszła, tak? Kubera chciał się utopić, tak?

– Niekoniecznie. Mógł nie działać sam. Mógł mieć pomocnika. Ale w dochodzeniu tego konkretnie nie stwierdzono. I dlatego musiałem z dalszego dochodzenia zrezygnować.

Pan Malewski znów pokiwał głową. W jego oczach zabłyśły ironiczne iskielki.

– Wie pan co, panie komisarzu?

– Słucham.

– Podobnej bzdury nie słyszałem, jak żyję.

– To według pana, sprawcami mieliby być znów ci orgeszowcy? – odciął się komisarz złośliwie. Jednocześnie przechylił głowę do tyłu i zaśmiał się głośno.

Leśniczy cierpliwie czekał, aż śmiech ucichnie, a potem zapytał:

– Co tak pana rozśmieszyło?

– Pan i ci orgeszowcy.

– A żebyś pan wiedział, że to była ich robota!

Tymczasem Orlik skończył przepisywanie zeznania i powtórnie wręczył je komisarzowi. Ten przejrzał pismo pobieżnie.

– Teraz jest w porządku.

– Co jest w porządku? – zapytał podejrzliwie Malewski.

– Podpis.

– A reszta się nie liczy?

– Co do reszty wypowiemy się później...

Tego, co teraz nastąpiło, Orlik bał się już od kilku dobrych chwil, a więc od momentu, w którym lekceważący ton w głosie komisarza zaczął przybierać na sile.

Pan Malewski powoli podchodził do biurka, za którym znów usadowił się wygodnie komisarz. Powolne zbliżanie się leśniczego przypominało Orlikowi skradanie się myśliwego do grubego zwierza, do którego lada moment oddany zostanie strzał. Wprawdzie strzał nie padł, ale uderzenie otwartą dłonią w blat biurka rozległo się w skąpo umeblowanym biurze jak trzask złamanej suchej gałęzi.

Komisarz Rudziński instynktownie odchylił się do tyłu jakby w obawie, że za tym trzaskiem pójdzie uderzenie. Oczywiście nic takiego się nie stało. Tylko leśniczy pochylił się nad biurkiem, oparł się o nie obiema wyciągniętymi rękoma jak dwoma konarami wyrastającymi z dębowego pnia i powoli zaczął cedzić słowa.

– Nie, nie później, panie komisarzu Rudziński. Nie później. To musi być przeczytane przez pana zaraz, a dłaczego, powiem panu, niech pan słucha. W Nadleśnictwie Czarny Las biwakują harcerze. Nasi polscy harcerze, rozumie pan? My, leśnicy, jesteśmy odpowiedzialni za ich bezpieczeństwo, także przed ich rodzicami. Pan również, panie komisarzu Rudziński, pan również! To, co się zdarzyło tej nocy w moim rewirze, a co tu jest przez pana Konckiego szczegółowo opisane, powinno nas wszystkich ocucić. Nie możemy pozwolić, by nasze dzieci były bite i może nawet zabijane przez zbójów tylko dlatego, że są polskimi dziećmi i harcerzami...

– Oczywiście, że nie – komisarz przejął się nieco patetycznym tonem leśniczego. Wstał z krzesła, wyprostował się i uważnie popatrzył w twarz leśniczego.

– Więc niech pan nie odkłada na bok tego zeznania, niech pan przeczyta je teraz, nie później. I niech pan coś zrobi, na miłość boską, żeby się to nie powtórzyło!

Malewski skończył. Oderwał dłonie od biurka, cofnął się pod okno, gdzie stał Orlik. Gdy zobaczył, że komisarz, spełniając jego życzenie, zagłębił się w czytanie zeznania Orlika, skinął na harcerza i powiedział półgłosem:

– Nic tu po nas, chodźmy.

A do komisarza głośno, od drzwi:

– Gdyby pan jeszcze teraz miał wątpliwości i dalej sądził, że Malewski fantazjuje, niech pan zwróci uwagę na jeden istotny szczegół

w tym zeznaniu. Pobity Gojny powiedział: „Oni rozmawiali po niemiecku”. Czy to coś panu mówi?

Na korytarzu znów spotkali Kurzeję. Przeglądał się czapce Orlika, jakby zobaczył ją pierwszy raz. Uśmiechnął się przyjaźnie i zapytał:

– Czy to naprawdę pióro orła?

Ale tamci już zamykali za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ XVI

Upał z poprzedniego dnia przetrwał w zagajeniach jak w niewystygłych piecach. Gdy więc rozgrzane słońce od rychłego rana znów dorzuciło ciepła, powietrze w wąskich duktach na dobre znieruchomiało.

Georg Weber zwolnił kroku.

Od samych Droniowiczek aż do brzegu lasu szedł piaszczystą drogą. Koleiny wozów były zatarte licznymi śladami kozich racic. Weberowi zdawało się, że idzie korytem wyschniętej rzeki wypełnionym milionami drobinek piachu. Ale wiedział, że bywa tak zawsze upalnym latem, gdy stada pobekujących kóz gnane są co dnia na pastwisko, rozciągające się od wyrobisk białej cegielni po drogę do Czarnego Lasu. Georg Weber wiedział też, że „kozia” droga znajdzie swój kres, gdy tylko wejdzie w cień, jaki pada długim i szerokim pasem od strony starodrzewia. Wiedział też i to, że od tego miejsca, w którym przebiega granica pól i lasu, zostawi za sobą cierpki odór koziego moczu i z ulgą będzie chłonał zapach sosnowego igliwia i jagodowej ściółki. Z tym zapachem zrósł się od chłopięcych lat, gdy z ojcem chodził do pracy w lesie. Z początku ścigał do ogniska połamany drobiazg, gdy ścięte drzewa już znieruchomiały straciły kontakt z chmurami i leżały bez życia na ziemi. Odrąbane iglaste gałęzie z sykiem poddawały się płomieniom, kłęby białego dymu biły w górę, jakby wołały o pomstę do nieba za utracone życie. Ojciec w tym czasie z innymi korował dłużyce i wałki dla fabryki papieru w Kaletach, a on białe wałki układał w foremne festmetry²¹. Za sobą zostawiali zrąb naszpikowany pniakami i otwarte niebo, zaś przed sobą wciąż mieli stary las oniemiały z trwogi o życie, bo monotony charkot piłowania i huk uderzających siekier był coraz bliższy. Potem

21 festmetr – dawna miara objętości drewna; około 1,5 metra sześciennego

Georg zaprawiał się z roku na rok coraz śmielej w leśnej robocie, tak jak inni pluł w garście, aby stylisko nie ślizgało się w dłoni, z kamratami w krótkich przerwach siadywał przy ognisku, popijał czarną kawę wprost z butelki, zagryzał grubą pajdą chleba upieczonego dawniej przez matkę, później przez Gertrudę, znów pluł w garście i znów ciął i ciął, aż huk szedł po lesie. Tak mijały lata pokoju. Potem były lata wojny. Do domu wrócił z niej z synem Martinem. W Droniowiczkach nic się nie zmieniło, tyle, że ubyło kilku znajomków, z którymi popijał piwo w niedzielne popołudnia. I żandarma Heinricha Pultina już też nie było. Uciekł, gdy powstańcy szturmowali miasto i od tego czasu wszelki ślad po nim zaginął. Ludzie mówili, że zabrał się razem z uciekającymi orgeszami. Martin namawiał ojca na wyjazd do Gliwic. Namawiał, ale nie namówił. W tym byli zgodni z Gertrudą. „Czy nam tu źle? – mówiła. Córkę mamy na cmentarzu, kto o grób się zatroszczy?” Agnes miała dziewiętnaście lat, gdy w ostatnim roku wojny zmarła na tyfus. Nawet doktor Willert nie pomógł. Georg, gdy wrócił z wojny, już nie zastał jej przy życiu. Nocami nie mógł zasnąć. Słyszał też płacz Gertrudy. I wtedy uwierzył, że człowiek z żalu może naprawdę rzekę łez wylać. I wtedy też oboje z Gertrudą przekleli wojnę. Nie żałują, że zostali po polskiej stronie Górnego Śląska. Już od ojca słyszał, że „starych drzew i starych ludzi się nie przesadza”. Gdzie by wokoło nie spojrzeć – wszystko swoje: obejście małego domu, droga przez Droniowiczki i ta do lasu, ludzie, sąsiedzi, nawet stada beczących kóz, a także krowy zamiast koni zaprzęgane do skrzypiących wozów. Wszystko. Jak się na tym oczy zawiesi, aż radość bierze i łżej na sercu. Po drugiej stronie strumienia las. A tam to już jego drugi dom. Zawsze wstępuje do niego jak do kościoła. Gertruda modli się z grubej książki o twardych, czarnych okładkach spiętych świecącą klamrą. Wtedy widzi jej twarz skupioną, dobrą, ufną. Jego zaś nabożną księgą jest cały las. Gdy w ciszy mija drzewa, wie, że one witają go życzliwie. Gdy wiatr duje górą – zawsze mają coś do powiedzenia. Czasem mu się zdaje, że tylko on i pan leśniczy Malewski tę ciszę i tę mowę rozumieją. Gdy razem wracają z daleka, z drugiego albo z trzeciego oddziału, duktami, a czasem na przełaj, zawsze w milczeniu. Każdy myśli o swoim. To jest właśnie ich całe czytanie. On czasem zerknie

na twarz pana leśniczego i widzi, że ta twarz, jak u Gertrudy, jest też dobra i ufna...

Georg już przeszedł „kozi” odcinek drogi, wszedł w las i tak zagłębił się we wspomnieniach i myślach, że nawet nie zauważył, jak w pewnej chwili znalazł się na rozwidleniu dróg „gwiazdy”.

Tu przystanął.

Rozejrzał się. Najpierw popatrzył w głąb jednego szerokiego traktu, potem drugiego. Daleko w ich perspektywie, jak w szarych sosnowych tunelach, wisiała jasnoniebieska mgiełka gęstniejąca w miarę oddalenia i zakrywająca tamte widoki.

Z sąsiedniego młodnika wybiegły dwie rdzawe sarny-baletnice. Stały na środku traktu, znieruchomiały w zatrzymanym biegu, odwróciły głowy, zdziwione popatrzyły chwilę na intruza, potem falującymi skokami zagłębiły się w wysokim podszyciu.

Drogą od strony leśniczówki zbliżał się pan Malewski.

Był jeszcze daleko, więc Weber przysiadł na krawędzi zrębu wśród zielonych jagodowych pędów. Niedługo jednak siedział, nie pozwoliły mu na to mrówki, duże, żółte i bardzo kąśliwe. Rozglądając się, zauważył między dwoma świerkami wysoki, rudy kopczyk. Tam zaczynał się i jednocześnie kończył dwukierunkowy mozolny bieg pracowitych mieszkańców mrowiska.

– A niech was... – śmiejąc się, zawołał Weber i jednocześnie w pośpiechu strząsał z siebie owady.

Leśniczy był już blisko.

– Weber, co się dzieje?

– Mrówki, panie leśniczy, mrówki. Ale to lekarstwo na reumatyzm – Weber wydobyl ostatnią mrówkę zza kołnierza.

Ruszyli raźnie w stronę szkółki.

– Plan dzisiejszych zajęć ulegnie małej zmianie – Malewski zaczął po wymianie kilku banalnych słów o pogodzie. – Policja zawiadomiła mnie, że w Czarnym Lesie zaczynają dochodzenie w sprawie napadu na harcerza. Muszę tam być. Wspólnie skończymy pomiary ogrodzenia, a żerdzie już pan sam wybierze, Weber.

– Wolałbym, aby pan leśniczy...

– Kto się na tym lepiej zna od pana? – przerwał mu Malewski.

– Wiem, że zrobi pan to dobrze beze mnie.

Z robotą uwinęły się szybko. Słońce zdążyło ledwie wspiąć się ponad wierzchołki drzew, gdy Malewski wręczył Weberowi gotowy już szkic ogrodzenia szkółki.

– Tu są wymiary: odległości między słupami, długości i grubości żerdzi oraz wymiary furtki. Musi być koniecznie, w tym miejscu. Nie żałować, Weber, na jej budowę ani drewna, ani gwoździ. Musi być mocna. I bez pośpiechu, Weber, bez pośpiechu. Jutro do pomocy przyjdą Bartosik i Piekorz. Czy wszystko jest jasne?

Weber wpatrywał się w zapisaną kartkę papieru. Nie od razu odpowiedział. Zanim bowiem odpowie leśniczemu, musi sam być przekonany, że rzeczywiście „wszystko jest dla niego jasne”. Taki już jest.

Malewski wiedział o tym, cenił Webera za jego rozważę, za sumienne i dokładne wykonywanie obowiązków i poleceń, więc w milczeniu cierpliwie czekał.

– Tak, panie leśniczy, teraz wszystko jest jasne.

– Dobrze. W drodze powrotnej proszę wstąpić do nadleśnictwa. Trzeba zabrać resztę gwoździ. Siatkę na obicie furtki przyniosą ci dwaj. Wyręczą pana, są jeszcze młodzi i silni. Ja już pójdę. W Czarnym Lesie na pewno na mnie czekają.

Malewski wszedł na ścieżkę, aby dojść do drogi, która miała go zaprowadzić do nadleśnictwa. Nagle przystanął i odwracając się, powiedział głośno do Webera:

– Ale, ale, Weber, byłbym zapomniał powiedzieć, że wypisałem asygnatę na żerdzie dla Wielgosa. Dziś rano. Odebrał ją jego pracownik, Kulawik. Żerdzie, jak zwykle, z pierwszego oddziału. Trzeba dopilnować, aby znów nie było pomyłki z oddziałami. Żerdzie muszą być dziś wycięte, jutro zawiezione. Kulawik już nieraz pokreślił.

– Dobrze, panie leśniczy. Dopilnuję tego, ale czy Kulawik zgłosi się do mnie?

– Takie dostał polecenie. Musimy skończyć z tym włóčeniem się ludzi po lesie.

Weber potakująco kiwnął głową.

– A na tego Kulawika – Malewski dorzucił już na odchodnym – trzeba szczególnie uważać.

Nie widział już tego, jak Weber rozjaśnił twarz łagodnym i pełnym zadowolenia uśmiechem.

Weber długo jeszcze pracował. Gdy słońce stanęło w zenicie, usiadł w cieniu starej sosny, z parcianej torby wyciągnął grubą kromkę chleba i butelkę z kawą, wszystko przygotowane przez Gertrudę.

I wtedy właśnie pomyślał o niej.

Tyle lat odmierzali swój czas wschodami i zachodami słońca. Ledwie wyłoniło się zza lasu, czasem rozpalone do białości, a czasem zakryte kłębami chmur, a on już zamyka za sobą drzwi, przechodzi pod oknem, w którym za szybą widzi szarą twarz patrzącej za nim Gertrudy. Wchodzi na „kozią” drogę, aby rozpocząć swój zwykły, leśny dzień pracy. Potem, zanim las obrośnie ciemnością i wydłużą się cienie drzew, przewiesi przez ramię torbę i wróci do domu.

Przedłuża się jakoś ta chwila przerwy w robocie. Ale tyle myśli przelatuje mu przez głowę. To one sprawiają, że ociężałość czy rozleniwienie ogarniają go całego. Spogląda obojętnie na żerdzie rozciągnięte na ziemi, na kartkę papieru z cyframi wypisanymi przez leśniczego kopiowym ołówkiem, na zwaly ziemi wydobytej z dołów pod słupy ogrodzenia i wydaje mu się, że jest bardziej zmęczony niż zwykle. Na plecach czuje natrętny ucisk chropowatej kory sosny, pod którą siedzi. I właśnie ten ucisk sprawia, że w pewnej chwili, prawie ze złością, odrzuca od siebie tamte obrazy, nie w porę nagromadzone w zamyśleniu.

Tymczasem górą poszedł wiatr.

Weber uniósł głowę, zobaczył jak ciemne, zwarte korony sosen miękko pochylają się ku sobie. Wtedy pomyślał, że w najbliższych dniach pogoda zmieni się i że może nareszcie zaczną padać deszcz. Przydałby się po zbyt długim okresie suszy. Las ciężko oddycha, jak człowiek zmęczony upałem albo jak dyszący pies z wywalonym językiem. W tym rewirze zwierzyna ma daleko do wodopoju. Dziki co prawda wyczochrają się w swoich błotnistych wanienkach, ale reszta? Któregoś dnia zobaczył nawet, jak sarna kąpała się w tej żółtej mazi. Widocznie upał musiał jej mocno doskwierać. Ale tak w ogóle, to całe szczęście, że po tylu dniach upału, babrzyńska²² jeszcze nie wyschły. Przynajmniej dziki nie cierpią. Godzi-

22 babrzyisko – błotniste miejsce w lesie w kształcie wanienki, gdzie zwierzęta tarzają się w upalne dni

nami leżą w nich, prychają, z chłupotem przewracają się z boku na bok, wtedy nawet zapominają o ostrożności. Wczoraj właśnie w drugim oddziale Weber naszedł takiego jednego kąpielowicza umazanego błockiem. Wanienki urządzają sobie w zagłębieniach, gdzie łatwiej o wilgoć. Najchętniej w pobliżu gęsto zarośniętych miejsc, w których mają ostoję i gdzie w dzień zalegają. Wystarza się taki jeden z drugim w wanience w samo południe, kiedy gorąc największy w zagajniku, a potem hyc, z powrotem do legowiska. Wyjdzie stamtąd dopiero wieczorem, żeby w nocy pobuchtować w dalekich jęczmieniskach i kartofliskach.

Nagle Webera tchnęły złe myśli.

A jakby, nie daj Boże, las się zapalił?

Jednego roku, pamięta, zapalił się las za Droniowiczkami od iskry z parowozu. Akurat wrócili z ojcem z roboty. Pobiegli. Niepotrzebnie, bo inni ugasili. Ale byli ciekawi. Zobaczyli tylko czarne miejsca wypalonej trawy przy torze. Potem szli śladem ognia. Widać było, że szybko przeskoczył płytki rów, podstępnie podpełzł pod sam las, a tam to już wiadomo. Jak uchwycił się chrustu i wyschniętej ściółki, to już nie popuścił. I tak też było. Na szczęście trafiło na małą enklawę leśną, z jednej strony odgrodzoną od reszty pastwiskiem, a z drugiej – szeroką drogą. Ogień wprawdzie spopielił rzadkie podszycie, obdarł z liści i szernił białe brzozy, ale tchu mu zabrakło, żeby przeskoczyć haliznę²³ i szeroką drogę. Niedługo trwało, a zdechl skąpany i stłamszony przez ludzi, którzy nie stracili głowy.

A co by było, gdyby tak teraz?

Weber zerwał się, jakby go znów mrówki obsiadły.

Zgniółł papier, którym mu Gertruda chleb owinęła, wduślił go byle jak w torbę. Na nią położył pustą butelkę i odganiając od siebie myśli o ogniu, jął się zapalczywie roboty. Pot spływał mu po twarzy i plecach, ręce kleiły się od żywicy, ale roboty nie przerwał aż gwoździ zabrakło. Wtedy przystanął obok słupa tkwiącego w ziemi, obejrzał się za siebie i był rad, że tyle zrobił i głupie myśli odpędził.

Nagle ujrzał, jak z drogi biegnącej środkiem zrębu, wszedł jakiś człowiek na ścieżkę prowadzącą do szkółki. Spieszył się. Szerokie

23 halizna – część lasu pozbawiona drzew

zakole ścieżki, omijającej krzaki jeżyn, przeciął na ukos. Na chwilę zniknął za gromadą jałowców, ale znów wyłonił się i wtedy Weber już nie miał wątpliwości. Człowiekiem tym był Kulawik z młyna.

Ścieżka, im bliżej szkółki, tym była szersza i pozbawiona wybojów. A jednak Weber dopiero teraz zauważył, że Kulawik utyka na prawą nogę. Że też tego przedtem nie widziałem – dziwił się sam sobie.

Tę zagadkę miał Georg Weber rozwiązać już za chwilę.

Zajęty, niby to zgarnianiem na kupkę wiórów z żerdzi, bacznie obserwował nadchodzącego. Ku swemu zdziwieniu spostrzegł, że ten, im bliżej był szkółki, tym mniej kulał. Kiedy był już zupełnie blisko, szedł wprawdzie znacznie wolniej, ale za to w jego chodzie Weber nie znalazł nic nienaturalnego.

Weber doszedł do wniosku, że Kulawik za wszelką cenę w jego oczach nie chce uchodzić za kuternogę.

–Nareszcie cię znalazłem, Weber – Kulawik mówił po niemiecku. W jego głosie Weber wyczuł pretensje.

–Bo niby co? – zdziwił się Weber, ale zaraz pomyślał: „skąd on wie, że jestem Niemcem?”

–Na wycięcie żerdzi niewiele mam czasu.

–Moja wina?

–Twoja, nie twoja – powiedz lepiej, skąd mam je brać?

–Przecież nie z „trzeciego”.

–Dlaczego nie z „trzeciego”? Zawsze stamtąd biorę.

–Właśnie, właśnie... I zawsze nieprawnie.

–Jak to: nieprawnie? Mam asygnaty.

–Falszujesz je. Z jedyńki robisz trójkę. Chytry jesteś, ale mnie nie oszukasz. Dawaj asygnatę, którą dziś rano otrzymałeś.

Mówiąc to, Weber wyciągnął rękę. Ale Kulawik nie spieszył się z wręczeniem asygnaty.

Zbliżył się do Webera na odległość dwóch kroków. Zdjął siekierę z ramienia. Opuścił ją ku ziemi. Mocna garść zaciśnięta na stylisku zsiniała z wysiłku, gotowa w każdej chwili znów siekierę unieść. Palce w sekundowych odstępach kurczą się i rozprężają, kurczą i rozprężają... jak przed uderzeniem. A on sam wciąż milczy i wciąż wpatruje się z nienawiścią w twarz Webera. Coś tam zgniata wargami. Chyba jakieś słowa. Muszą być złe, ale Weber ich nie słyszy.

Nagle, zaciśnięte wąskie usta Kulawika rozchylają się, ukazując rząd zdrowych białych zębów. „Jak u wilka” – przelatuje przez głowę Webera.

Ale to wszystko trwa krótko. Bardzo krótko.

Uderzenia nie ma. Nawet głośnych obraźliwych słów też nie.

Zamiast tego siekiera opada ciężko na ziemię, zamiast nienawiści Weber widzi w oczach Kulawika rozbawienie i przychylność, a ręka, zamiast uderzyć, usłużnie podaje asygnatę.

Weber oczom nie wierzy.

– Nie ma o co się kłócić – ton Kulawika jest łagodny i pojednawczy. My Niemcy musimy z sobą żyć w zgodzie, prawda Georg? – teraz Kulawik pochyla się w stronę Webera i filuternie mruży oko.

Weber zrazu nie odpowiada. Znów przelatuje mu przez głowę niepokojące pytanie: „Skąd ten lump zna moje imię?”. Sili się jednak na spokój. Nagła zmiana w zachowaniu Kulawika jest dla niego sygnałem ostrzegawczym. Przed chwilą przecież widział Kulawika zupełnie innego, gotowego do bójki na siekiery. W jego oczach widział jakieś diabelskie błyski i nagle... Czyżby wilk zmienił się niespodziewanie w baranka?

– To, że mówisz po niemiecku, Kulawik, wcale nie dowodzi, że jesteś Niemcem – bąknął Weber, wpatrując się w asygnatę. Chciał zyskać na czasie i pozbierać myśli.

– Jestem Niemcem. Należę do Volksbundu. Nie tak, jak ty.

– Mało mnie obchodzi, do czego ty należysz, Kulawik.

Weber przerzucił wzrok z asygnaty na twarz tamtego. Zdawało mu się, że znów widzi w niej grymas nienawiści. Ale tego nie był pewien, choć oczy Kulawika znów były złe.

– Tu jest teraz Polska, Kulawik. Pamiętaj, że w polskim lesie obowiązują polskie przepisy.

– Rozumiem, rozumiem – i po chwili dodał: Ja to bardzo dobrze rozumiem, Georg.

Weber udał, że nie słyszy ironicznego tonu słów Kulawika.

– Tym razem nie próbowałeś sfalszować asygnaty.

– Bo respektuję polskie przepisy, Weber – Kulawik odchylił głowę do tyłu, tak że Weber mógł widzieć, jak jego grdyka drgała, gdy zaśmiał się głośno i nieszczerze.

– Łaski nie robisz. Polski chleb jesz.

– Tylko nie wiadomo jak długo... – znów ten ironiczny ton.

Ale Weber był konsekwentny i udał, że ironii nie dostrzegł.

– Teraz już idź, bo nie zdążysz przed wieczorem. Żerdzie wytnij z posuszu z młodnika przy dębach. Wiesz, gdzie to jest?

– Wiem lepiej jak ty.

Zarzucił siekierę na ramię i już, już miał odejść, ale jak na człowieka, któremu na odchodnym coś się przypomniało, odwrócił się znów twarzą do Webera.

– Coś ci powiem, Georg. W służbie u Polaków nie bądź za gorliwy. Mógłbyś kiedyś tego żałować...

Zanim Weber zrozumiał, że słowa Kulawiaka są groźbą i zanim pozbierał myśli, tamtego już nie było. Zakryły go gęste jałowce.

Patrzył za nim chwilę, żałował, że nie zdobył się na szybką odpowiedź. Jeszcze widział jego sylwetkę w poświacie między sosnami. Przecinał ukośne smugi słońca, pojawiał się i ginął, wreszcie wtopił się w szarość.

Weber od dawna wiedział, że najlepszym lekarstwem na złe i natrętne myśli jest praca. Ona zawsze wyzwalała go z markotności, a nawet żalu, gdy ten przyczepiał się niekiedy już od samego rana, nie wiedzieć dlaczego i za czym. Chyba za lepszym życiem, które mieli niektórzy kamraci albo za córką, którą tak niespodziewanie stracił.

Nie pamięta, aby kiedyś z kimś prowadził taką rozmowę, jak właśnie dziś z Kulawikiem. Tyle w niej padło złych słów. A ile jeszcze, stokroć gorszych, miał ten kuternoga na języku, których nie śmiał wypowiedzieć. Właśnie, czemu on ich nie wypowiedział? Czemu tylko błyskał zębami jak wilk? I dlaczego w pewnej chwili odmienił się i nagle wściekłość zamienił na łagodność?

Georg Weber myśli, że za tym kryje się coś jeszcze bardziej złego. Rozgląda się za żerdziami, za młotkiem, chce w robocie utopić niespokojne myśli i wtedy przypomina sobie, że przecież wszystko na nic, bo gwoździ zabrakło.

Usiadł więc na dawnym miejscu pod sosną.

Rozleniwiający upał sprawiał wrażenie, że las omdlał bezradny. Taki będzie na pewno przez resztę dnia i nocy.

Weber bezwiednie zagłębił palce w ziemi zmieszanej z igliwiami. Była ciepła, choć skryta w cieniu sosnowego pnia.

Popatrzał na jałowce.

Od najmłodszych lat przypominały mu ludzi okrytych szczelnie ciemnozielonymi pelerynami. Było coś tajemniczego w ich wysmukłych kształtach i tym nieruchomym milczeniu. W księżycowe noce zdają się czaić nad drzewami.

Znów na myśl przyszedł mu Kulawik.

Musi się przekonać, czy Kulawik bierze żerdzie naprawdę z „pierwszego”. Z nim nigdy nie wiadomo.

Poderwał się, przewiesił torbę przez ramię i ruszył za Kulawikiem.

Najpierw, jak tamten, przez jałowce. Potem łagodnym wzniesieniem, porośłym świerkami. Tu odetchnął, bo cień pod nisko i łukowato zwisającymi gałęziami rozpostarł się szeroko. Natarczywy zapach żywicy dech mu zapierał. Ale na krótko. Potem były buki, a za nimi znów stare sosny. Ich życie sączyło się kroplami do kubków, zwisających pod ukośnymi nacięciami na korze.

Ścieżka doprowadziła go do drogi, prawie zupełnie zarośniętej darnią. Nad wyrąbanym przed laty lasem długo wisiało otwarte niebo. Tu, jak on, Weber, sam mówi, granica przebiega „między starym, a nowym światem”. Bo u Webera świat to las. Ten z lewej strony, gdy odda „krew” do kubków, niezadługo padnie. Ten z prawej dopiero nabiera życia – zwarty o tej porze lata duszący zagajnik, zbita masa poplątanych gałęzi, u dołu jakby oszronionych, od nieba odgradzonych zielonym morzem igliwia. Weber wie, że teraz w tej gęstwinie życie zamarło zupełnie. Zwierzyna z powiekami nasuniętymi na oczy, jak w letargu przywarła z brzuchami do wyschniętej ściółki, dyszy ciężko, instynktem poszukuje chłodu, który już od wielu dni tu nie istnieje.

Weber chciałby co rychlej minąć ten odcinek drogi, przylegający do rozgrzanego zagajnika, by dalej, w starodrzewiu, zaczerpnąć powietrza. Z trudem przyspiesza kroku, wie, że za chwilę wejdzie w ostry zakręt w prawo, tam zeszłego lata dziki miały waniekę. Ciekaw jest, czy i tego lata również. Chyba tak, bo to stosowne miejsce. Już, już jest zakręt. Weber schodzi w prawo, ociera się o gałęzie drzew zagajnika dochodzące do drogi, nagle się potyka, sam nie wie o co i oto wpada na plecy pochylonego nisko człowieka, który właśnie w momencie tego niespodziewanego zderzenia z nim, podkłada zapaloną zapalną pod kupkę chrustu.

Kulawik!

Przez mgnienie oka widzi jego twarz, więc krzyczy:

– Kulawik, ty draniu!

Targa jego rękę, ale już jest za późno. Ogień błyskawicznie obejmuje chrust i już pełźnie do drzew zagajnika.

Weber sam nie wie, skąd znajduje tyle sił, gwałtownym uderzeniem przewraca podpalacza na ziemię, rozpina marynarkę, ale już nie ma czasu na zdejmowanie jej i tłamszenie nią ognia, więc pada twarzą na ziemię, ciałem nakrywa źródło ognia, rękami, jak cepami bije przed siebie, dłońmi dusi palącą się już przed nim ściółkę, pod sobą czuje piekący ból, obejmujący mu piersi i brzuch i wtedy – wtedy dosięga go uderzenie tamtego. Wydaje mu się, że głowa rozlatuje mu się na kawałki. Ale gorszy jest ból na piersi i brzuchu. Ostatkiem sił odwraca się na plecy. Jak przez mgłę widzi znów te białe zęby wilka i słyszy: „Tu zdechniesz, polski pachołku!”

Mgłę zastępują czerwone języki ognia. Georg Weber wie, że zadusił pełzające płomienie, ale sam jest teraz pochodnią. Nie może zdusić w sobie skowytu, jaki z gardła napiera mu na zaciśnięte wargi, więc rozpaczliwie krzyczy z bólu, nadludzkim wysiłkiem podnosi się z ziemi, poparzonymi dłońmi zdziera ubranie, rozgląda się, szuka ratunku i nagle widzi waniankę. Dopada jej, wali się na jej dno, w maź błotnistą i cuchnącą dziczym odorem, nurza się w niej, twarz wciska w lepkie błoto, jego resztki oblepiają mu twarz i głowę, zalewają usta...

Wtedy piekący ból łagodnieje.



- Tu zdechniesz, polski pacholku!

ROZDZIAŁ XVII

Cały dramat Geорга Webera rozegrał się niedawno, zaledwie wczoraj po południu. Malewski już wczesnego ranka postanowił udać się do jego żony i opowiedzieć o wszystkim. Wprawdzie jeszcze ubiegłego dnia wieczorem posłał Bartosika do niej z wiadomością, że Weber przy gaszeniu ognia w lesie uległ poparzeniu i chwilowo znajduje się pod opieką lekarską, ale czy taki Bartosik potrafi to przekazać ogłędnie? Zresztą, nikt jeszcze nie zna szczegółów całego wypadku, z którego co prawda Weber wyszedł cało, ale „ile się nacierpiał i jeszcze ile nacierpi, to jedynie Pan Bóg raczy wiedzieć”.

Tak powiedział doktor Willert.

Malewski był doktorowi wdzięczny za jego natychmiastową i ofiarną pomoc. Właśnie jemu należało zawdzięczać, że chorego przyjęto do ambulatorium miejscowego Zakładu dla Umysłowo Chorych, a potem wyrażono zgodę na umieszczenie go w tamtejszym szpitaliku. „Czy wiesz, jak Weber wyglądał, gdy go znalazłem w lesie? Jak kukła oblepiona błotem i gliną” – powiedział do żony.

Pani Michalina ze zgrozą słuchała opowiadania męża: jak po ukończonych przesłuchaniach przez komisarza Rudzińskiego szedł z Czarnego Lasu mocno spóźniony na spotkanie z Weberem, jak nie doszedłszy do szkółki usłyszał rozpaczliwe krzyki, jak dobiegł na miejsce i znalazł Webera na pół żywego i niepodobnego do człowieka, leżącego w kałuży błota, jak sprowadził na pomoc harcerzy z obozu i wreszcie, jak wozem przewieziono Webera do doktora Willerta.

Bartosik dobrze wywiązał się ze swego zadania. Weberowej o jej mężu nie powiedział ani za wiele, ani za mało. Do takiego wniosku doszedł leśniczy, gdy rano wszedł do izby Weberów.

Weberowa przyjęła go z dobrze ukrywanym niepokojem. Malewski widział, jak odruchowo gładziła palcami nierówności stołu,

przy którym siedzieli, ale od razu doszedł do wniosku, że tej kobiecie można wyznać całą prawdę. Nie unikała jego wzroku, jak to zwykli robić ludzie w rozmowie z kimś, kto za chwilę ma im przekazać wiadomość o nieszczęściu. Tak w ogóle, to oczy jej były zaciekawione, wyraźnie uspokojone jakimś wewnętrznym nakazem. Przerwy w opuszczaniu powiek były nienaturalnie długie, jakby też wymuszone siłą woli. Mówiła po polsku z prawie niezauważalnym niemieckim akcentem.

Czy takie są tylko Niemki, opanowane i chłodne, nawet w obliczu najgorszego? To pytanie zadawał sobie pan Malewski, patrząc na Weberową. Chyba nie. Takie są wszystkie kobiety, którym surowe życie nieraz zajrzało w oczy, uodporniło je na nieszczęścia. Nie ma w nich miejsca na słabość, na paniczne trzepotanie powiekami, na łzy i na rozpacz.

Pytanie Weberowej o męża jest więc odważne:

– Będzie żył?

Teraz powieki Malewskiego zdradzały zakłopotanie.

– Doktor Willert mówi, że to ciężki przypadek...

– Ale czy będzie żył?

Leśniczemu się zdaje, że uporczywe pytanie tej Niemki, jak kosmaty pająk chodzi mu pod czaszką po mózgu. Przesuwa dłonią po czole, na gwałt chce zebrać myśli, znaleźć naprędce słowa, nie patrzy w jej oczy, choć wie, że one wpatrzone są w niego.

– Myślę, że tak...

– Czy pan doktor Willert też tak myśli?

Kosmaty pająk znów zaczyna spacer po mózgu.

Takiego pytania w tych pierwszych chwilach nikt doktorowi Willertowi nie zadał, a więc nie mogło być na nie odpowiedzi – Malewski uspokaja sam siebie.

– Musimy być dobrej myśli – powiedział głośno i wymijająco, jednak nie wiedział, czy te słowa zdobędą uznanie Weberowej.

Nie zdobyły.

Weberowa, wciąż nie zmieniając wyrazu twarzy, z której Malewski niewiele mógł wyczytać, może dlatego, że dotąd postać jej tkwiła w szarym tle małej izby, powiedziała jakby sama do siebie:

– Agnes już umierała, a doktor Willert też mówił, że mam być dobrej myśli...

Słońce uniosło się nad lasem.

Przez okno wsączyła się do izby jasność. Wtedy nagle zdało się Malewskiemu, że Weberowa wyszła z cienia. Jakby na przekór gładko uczesanym włosom spiętym tuż nad karkiem, po obu stronach jej twarzy zwisały dwa siwiejące kosmyki, sprawiające teraz smętne wrażenie. Było jednak ono pozorne, bo twarz Weberowej przeczyła smętkowi. To jasność rozbudzonego dnia wyostrzyła jej rysy.

– Po co wspominać dawną smutną historię?

– Jaka tam historia. To była śmierć.

– Przecież pani mąż żyje.

– Tak, tak, ale mnie przyszła do głowy Agnes. Przepraszam...

Szeleszcząc wytartymi pantoflami podeszła do krzesła, na którym miał usiąść leśniczy i kolistym ruchem przetarła fartuchem siedzenie.

– Proszę, niech pan leśniczy usiądzie. Mąż mi mówił, że pan jest dobrym człowiekiem. Z Jeżowej, tak?

– W Jeżowej się urodziłem.

– A my z Georgiem tu, w Droniowiczkach. Tu też chcemy umrzeć.

– Pani wciąż o śmierci.

– Od pogrzebu Agnes wciąż śmierć widzę w koło siebie. Mam złe sny.

– My Polacy mamy przysłowie: „Sen mara, Bóg wiara”.

Weberowa patrzy na Malewskiego swymi wyblakłymi oczami i nic nie mówi. Nie wie, co to „mara” i w ogóle nie rozumie tego polskiego przysłowia.

– Niech pan lepiej mówi o Georgu.

– Znalazłem go w lesie. Oblepiony był błotem, jęczał, nie wiedziałem, co mu jest. Sprowadziłem harcerzy z Czarnego Lasu i wóz. Niedaleko miejsca, w którym leżał, znaleźliśmy ślady zaduszonego ognia. I resztki spalonej marynarki. Wiedzieliśmy, że to wypadek, ale nie wiemy jaki? Dlaczego mąż leżał w bajorze? Już tam, na miejscu, próbowaliśmy się czegoś od niego dowiedzieć – wszystko nadaremnie. Potem już u lekarza na chwilę przemógł ból i, gdy nachyliłem się nad nim, powiedział: „Kulawik chciał las podpalić... nie dałem...” . A potem znów nic. Musimy czekać, aż przyjdzie do siebie. Wtedy dowiemy się, co tam w lesie zaszło. Tylko, że na to potrzeba dni.

- A kto to jest Kulawik? Nigdy nie słyszałam tego nazwiska.
- Pracował w młynie u Wielgosa. Czasem jeździł do lasu po żerdzie.
- Czemu pan mówi „pracował”? Czy już go w młynie nie ma?
- Nie. Został aresztowany i siedzi w więzieniu.
- W więzieniu?
- Mówiłem, że mąż oskarżył Egona Kulawika o podpalenie lasu. To właśnie powiedziałem policji. Natychmiast go aresztowali. Ten Niemiec dawno wydawał mi się podejrzanym.
- Kulawik jest Niemcem? – Weberowa ożywiła się.
- Tak przynajmniej twierdzi młynarz Wielgos. I on sam.
- Więc Niemiec na Niemca? Dlaczego, panie leśniczy?
- W tym jest cała tajemnica. Myślę, że policja to wyjaśni.
- Milczenie trwało długą chwilę.

Weberowa w zamyśleniu obie dłonie położyła na czystym, drewnianym blacie stołu. Splotła je palcami. Leśniczy widział, jak pod śniadą skórą bieżną w różnych kierunkach niebieskie kanaliki pogmatwanych żyłek. W pewnym momencie Weberowa zauważyła, że leśniczy przygląda się jej dłoniom. Szybkim ruchem opuściła je, jakby zawstydzona ich wyglądem.

- Dziwne, bardzo dziwne – powiedziała.
- Co dziwne?
- Dziwne czasy i ludzie. Brat przeciwko bratu.
- Jaki on tam brat! Psubrat, zdrajca, renegat²⁴, farbowany Niemiec! – Malewski nie taił gniewu.

Wstał z krzesła, podszedł do Weberowej, nachylił się nad nią i dobitnie, akcentując każde słowo, powiedział:

- Wolę jednego Niemca-Webera, niż dziesięciu renegatów-Kulawików. Żeby pani wiedziała!

Weberowa uniosła twarz ku niemu. Nie powiedziała ani jednego słowa, ale leśniczy widział, jak nagle uniosła wysoko brwi. Oczy jej mówiły, że jest tego samego zdania. I że jest mu wdzięczna za to, co powiedział.

Od rozmowy z Weberową minęło kilka dni.

Malewski nie mógł sobie znaleźć miejsca. W domu, późnym wieczorem, gdy dziewczynki już spały, prowadzili z żoną

24 renegat – osoba, która wyparła się swojego pochodzenia i przeszła na stronę przeciwnika

niekończące się rozmowy o Weberze i o tym, co go spotkało w lesie. W rozmowach tych najwięcej było pytań. Zadawali je sobie nawzajem. Próbowali na nie odpowiedzieć, wiedząc, że na dobrą sprawę obracają się na razie tylko w kręgu przypuszczeń i domysłów. Chwilami podążali śmiało śladami swoich myśli, czasem zaś czuli się jak ślepcy w gęstym lesie. Intuicyjnie odnajdywali drogę, instynktem, jak czujkami, dotykali nazwiska Kulawika i wiedzieli, że jest ono kluczem do wyjścia z labiryntu, w którym się od kilku dni poruszają z nadzieją, że któregoś dnia z niego wyjdą. Dokonywali przeglądu wszystkich sytuacji, jakie zaistniały w tym domu i poza nim od chwili opuszczenia hotelu, a mających jakiegokolwiek związek z nazwiskiem Egona Kulawika.

Dociekliwość pani Michaliny była drobiazgową i konsekwentną. Tam, gdzie zabrakło rzeczowego argumentu lub gdzie jego kruchość zagrażała zerwaniem całej siatki podejrzeń i domysłów, przywoływała ona na pomoc kobiecą intuicję. Wypełniała nią brakujące ogniwa w łańcuchu faktów i zdarzeń. Niczym doświadczony konserwator, delikatnie i z wyczuciem uzupełniała brakujące fragmenty ponurego i tajemniczego obrazu, malowanego przecież wbrew woli tych leśnych ludzi.

– Odbędzie się rozprawa sądowa – na zakończenie tych dociekań powiedział Malewski – ona musi nam odpowiedzieć na wiele zasadniczych pytań i chyba wreszcie ujawni motywy, jakimi kierował się Kulawik, podkładając ogień w lesie.

– To byłoby za mało – pani Michalina gestem ręki podkreśliła swe niezadowolenie – myślę, że to będzie dobra i jedyna okazja, aby się wreszcie dowiedzieć, jaki zachodzi związek między akcjami sabotażu i napadami, i kto jest ich sprawcą.

ROZDZIAŁ XVIII

Lato było już zmęczone długimi dniami i upałem.

Jeszcze, co prawda, cieszyło świat zielenią liści, jasnymi nocami, przybrzany w pełni księżyca, ale sarny już wiedziały, że idzie jesień. Z przyleśnych pól wracały do lasu wcześniej, z mokrymi od rosy nozdrzami. Nawet dziki, nieprzywykłe do nagle opustoszałych i nagich pól, wołały buchtować w ostoi w poszukiwaniu zeszlórocznych żołądzi.

Dla harcerzy z Czarnego Lasu nadszedł czas powrotu. Zabierali ze sobą wspomnienia i smak leśnej przygody.

Na pożegnanie znów zapłonęło ognisko. Zgasło wcześniej niż to, z tamtego fatalnego wieczoru. Pod koniec lata szerszenie są zawsze złe, więc nie dopuściły Chudego do smolnych szczap. Zabrakło Franka Śmigaja. Jad żmii go osłabił. Za to Gojny był, choć jeszcze trochę obolały i jakby przygaszony. Żubra też nie było. Chłopcom brakowało jego opowieści. Orlik wyjaśnił, że zachorował. Więc może spotkamy się tutaj na drugi rok? – pytali. „Nie, nie, na drugi rok – powiedział Orlik – urządzimy obóz w Pewli Małej, w Żywieckiem. Kto z nami?”. Las rąk był odpowiedzią.

Gdy się rozchodzili, pożegnaniom nie było końca. Ci z daleka ruszyli drogą pełną wyboi przez Droniowiczki, na stację kolejową. Ci z miasta, przez las i „gwiazdę”, do leśniczówki pana Malewskiego, a potem drogą wysadzoną klonami, obok białej cegielni i cmentarza. To była droga Romka, Profesora, Piegusa, Napoleona i Chudego. Jedni i drudzy oglądali się za siebie, aż pierwszy zakręt, obrosły liśćmi czarnej olchy, nie zakrył zabudowań Czarnego Lasu i widoków, które jak najdłużej chcieli zatrzymać pod powiekami. Jedni i drudzy nie wiedzieli, bo za młodzi jeszcze byli, że odtąd w ich życiu będzie więcej takich zakrętów, po których tylko pozostaną wspomnienia.

Gdy minęli zrąb i weszli w wielki las, zapachniało żywicą. Na skrajach po obu stronach drogi stały znajome gromadki jałowców.

Wtedy Chudy powiedział:

– Te, Roman, to coś dla ciebie, nie?

– Co?

– No ten las, te jałowce.

– Phi, miesiąc byłeś w lesie i naraz jałowcom się dziwisz?

– Nie, nie dziwię się, tylko teraz wiem, dlaczego wolisz las od miasta.

– Jak jesteś taki mądry, to powiedz – wtrącił się Napoleon.

Przez chwilę było slychać szelest kroków odmierzanych równo i mozolnie w sypkim piachu drogi. Dopiero potem Chudy odpowiedział:

– Tego się nie da powiedzieć...

– To po co gadasz? – teraz z kolei Piegus nie wytrzymał.

Ale na to pytanie Piegusa Chudy też nie umiał odpowiedzieć.

Lekka mgielka, zamykająca perspektywę długiej i prostej drogi, zaczęła się rozjaśniać i rzednąć. Dochodzili do „gwiazdy”.

Nagle Piegus przystanął.

– To było tu – powiedział z przejęciem, wskazując ręką na gęste krzaki za rowem. Tu, gdzie ten słup telefoniczny.

Stanęli.

W milczeniu przyglądali się gałęziom pochylonym ku samej ziemi. Myśleli o jednym. Tamten wieczór napadu na Gojnego tkwił w ich pamięci jak kolec. Wprawdzie już tak nie doskwierał, jednak teraz, gdy po wielu dniach Piegus pokazał im znów to miejsce, w którym Gojny mógł stracić życie, uczyli, że kolec wciąż jeszcze tkwi...

Pytań nie było. W ogóle od tego miejsca szli w milczeniu. Dopiero gdy ujrzeli zabudowania leśniczówki, Roman zawołał:

– Dym wali z komina prosto w górę. Mama obiad gotuje!

Złożyli plecaki pod parkanem, zobaczyli panią Michalinę w drzwiach domu. Spiesznie wycierała ręce w fartuch, sprawiała wrażenie radośnie zaskoczonej. Słyszeli, jak nie odwracając się zawołała przez ramię w głąb sieni: „Romek wrócił!” i wybiegła synowi naprzeciw.

Jej miejsce w drzwiach zajął Rolf.

Mocne łapy wparł w kamienny próg, głowę uniósł wysoko, wpatrując się w gromadkę niecodziennych gości. Drgającymi nozdrzami chłonał obcy zapach. Wreszcie uspokojony widokiem Romka zaczął lekko poruszać puszystym ogonem.

Pan Malewski nie wyszedł jeszcze do lasu, więc gdy Profesor z kolegami po krótkim odpoczynku odeszli klonową drogą w stronę miasta – opowiadaniom nie było końca.

Po obu stronach, u Romka i w domu, nazbierało się przecież wiele spraw, ale pytania pani Michaliny krążyły tylko wokół osoby syna. „O sobie mów, więcej o sobie” – powiedziała, gdy Romek dłużej niż chciałyby, był nieobecny w swoim opowiadaniu o nocnych alarmach, podchodach, marszach na azymut²⁵, ogniskach i w ogóle o kolegach. Wtedy spełniał jej życzenie i mówił o sobie, był jak cieniutka skorupka, ustępująca łatwo pod dyskretnym naciskiem jej dociekliwości. Ale trwało to krótko. Za chwilę bowiem znów zatracił się w opowieściach o gromadzie, wspominał sytuacje, w których był tylko jednym z uczestników, rysował obrazy, na których widniał, ale w dalekim tle. Pani Michalina nie sprowadzała go już wtedy z tej drogi. Jej nagabywanie ustąpiło miejsca pytaniom pana Malewskiego i ciekawości dziewcząt, które obsiadły brata jak niecierpliwe ptaki.

Pani Michalina nigdy potem nie dzieliła się z mężem wrażeniami z tej rozmowy z Romkiem. Wpatrywała się w twarz syna, śledziła jego gesty, wsłuchiwała się w jego głos i utwierdziła się w przekonaniu, że jej syn z harcerskiego lata wrócił jakby odmieniony. „Wydoroślał” – skonstatowała, patrząc jak zabiera się do czyszczenia fuzji, czynności, którą mu ojciec tak często zlecał.

Tymczasem w młynie, u Wielgosa, było niewesoło.

Młynarz siedział na topornie zbitym zydlu i patrzył dokładnie w to miejsce, w którym sufit łączył się ze ścianą. A tam nic, tylko kął szerniały z kurzu i odgradzony od światła pajęczyną. Na stole skąpe papierzyska. W jednym miejscu rozrzucone bezładnie, w innym przygniecione wygładzonym kamieniem. Mogły one być dowodem czyjejs niecierpliwości albo lekceważenia słów, wypisanych koślawie kopiowym ołówkiem. Kto by teraz o to pytał, skoro Wielgosa widocznie trapiły złe myśli.

25 marsz na azymut – poruszanie się w terenie przy użyciu kompasu i mapy

Może z racji swoich życiowych doświadczeń zdobytych – jak sam przy lada okazji mówi – na froncie francuskim pod Cambrai i St. Quentin i przechowywanych podświadomie w głowie zmęczonych kłopotami ostatnich dni, a może z tej całej bezsenności, z tego ciągłego przekomarzania się z bólem ręki przestrzelonej w powstaniu – może właśnie z tej racji Wielgos był rad, że jest sam i może patrzeć właśnie w tamten zakurzony kąt pod sufitem.

Nagle drzwi głośno skrzyknęły, jakby i one z obowiązku brały udział w monotonnym i natarczywym stukocie, który szedł z wnętrza młyna.

Artur Wielgos podszedł do stołu.

– A ty chociaż wiesz, kim ten Kulawik właściwie jest? – zapytał syna Wielgos. W tym jego pytaniu, jak w pytle²⁶, wszystko było mieszane: i ciekawość, i złość, i kpina, i strach.

Artur spojrział na ojca i nic nie powiedział, raczej zdziwił się pytaniem, a może swoją niewiedzą o Kulosie, jak zwykł nazywać Kulawika, więc tylko głową pokręcił przecząco.

– Mówił, że chociaż Niemcy chcieli go dostać na swoją stronę – odmówił, rozumiesz? A teraz las chciał podpalić! Polski las – rozumiesz, Artur?

Czy Artur to rozumiał, nie wiadomo, chyba tak, bo głową potakiwał równo i wytrwale. Wielgos wiedział, że syn od małości gardził trudnym myśleniem. Więc nie wierzył mu.

Jednak złość Wielgosa jak nagle naszła, tak prędko minęła.

Przecież teraz tylko on, Artur, został mu. Co go tam trapił będzie myśleniem! Nie ono mu będzie potrzebne, tylko ręce, ręce!

Popatrzył na swoje.

Były żyłaste, z guzami reumatyzmu. A tamte, Artura, jeszcze zdrowe, mocne. Więc lepsze i potrzebne. Bardzo potrzebne. Tylko czy dadzą radę w dniach zwiększonego przemiaru? Ostatnio deszcze były ulewne, woda w stawie wezbrała, teraz napierała na służę, a koło tylko czeka – ej, będzie robota!

Wielgos już nie patrzy w kąt z pajęczyną.

Ręce Artura odmieniły jego myśli. Jeszcze pokażemy temu podpalaczowi, że bez niego młyn też będzie dawał mąkę.

Wielgos dopiero teraz odgrzebuje z pamięci hardość Kulawika i mędrkowanie we wszystkich, nawet błahych sprawach. Wymyślał

26 pytel – urządzenie do przesiewania mąki

naprawy dachu, napierał się: to z potrzebą papy, to z naprawą śluzy, schodów, a najwięcej ściągał żerdzi. Leżą teraz pod okapem spichrza. Butwieją, za rok zgniją. Mówił mu: „po co?” – a on nic, tylko po kwit do leśniczego i w las! Ciągnęło widać tam diabelca, oj ciągnęło! Gdyby nie Weber, pół lasu poszłoby z dymem albo i więcej.

Wielgos tak o tym dymie myślał usilnie, że aż mu się zwidziało, że na oknie osiadł biały tuman. Ani pochyłonej wierzby nie widział, choć gałęziami w czasie wiatru i szybę zawsze uderza, ani tam dalej brzegu z trzciniami nie ma, – ki diabeł! – dym?

Wielgosa osaczył strach. Zaczął się w brzuchu i szedł w górę ku grdyce. Więc ręką odsunął na bok Artura i podszedł do okna, dłonią przejechał po wilgotnej szybie jak po rybiej łusce, czy aby rzeczywiście dym.

Ale to była mgła.

Było już dobrze po południu, mgła nie ustępowała. Wielgos stał w drzwiach młyna, ledwie widział podjazd i rampę.

Zaszeleściły liście na podjeździe, mgłę rozgarnęła smukła sylwetka człowieka, stąpającego z wolna i niepewnie. Gdy rozległ się stukot kroków na bocznych stopniach rampy, Wielgos przestrzegł nadchodzącego, aby szedł ostrożnie, gdyż „deski są oślizgłe”. Okazało się, że to leśniczy Malewski w tym czasie wybrał się do młyna, mimo że mgła choć oko wykol.

Od ostatniego wydarzenia w lesie, którego głównym bohaterem stał się Georg Weber, upłynęło sporo dni. Malewski dwa razy zeznawał na policji. W trakcie rozmów z komisarzem Rudzińskim doszedł do wniosku, że komisarz skłonny był wreszcie uwierzyć, że Kulawik nie działał sam, lecz w zмовie z innymi. Wciąż jednak odrzucał podejrzenie leśniczego, jakoby tymi „innymi” byli właśnie bojówkarze niemieccy. Więc kto? – pytał Malewski. Wtedy zdziwiony komisarz unosił głowę znad biurka i odpowiadał, że w mieście i w powiecie są inni przestępcy, tacy jak: oszuści, nałogowi pijacy, złodzieje. Tych już widział, ale nigdy na swoje oczy nie widział orgeszowca, więc wciąż nie wierzy w ich zмовę z Kulawikiem.

O tym wszystkim opowiadał leśniczy młynarzowi.

Wielgos nie ukrywał swej niewiedzy o tych sprawach. Słuchał, potakiwał, uśmiechał się, marszczył brwi, sądził bowiem,

że tak właśnie wypada się zachować jemu, nieobytemu dzierżawcy młyna wodnego w rozmowie z leśniczym. W dodatku myśl, że to on właśnie zatrudnił podpalacza, renegata Kulawika, nie dawał mu spokoju. Jak mógł tego wcześniej nie odkryć? Dlaczego tak bez zastrzeżeń tolerował wielogodzinne i częste nieobecności Kulawika w młynie? Dlaczego kupował tyle tych pierońskich żerdzi, co z kolei pozwalało Kulawikowi całymi dniami włóczyć się po lesie? – oto pytania, które teraz dniem i nocą go gnębią, aż dziw, że na razie nikt mu ich jeszcze nie zadał, ale na rozprawie, na pewno mu to pytanie sąd zada i co wtedy? Chyba spali się ze wstydu, a nie daj Boże, sąd go jeszcze za to obwini! Człowiek przeszedł wojnę, był w piekle pod Cambrai, a teraz?...

Te natrętne myśli nie pozwoliły mu spokojnie wsłuchiwać się w słowa leśniczego. Zdawało mu się, że kierowane w jego stronę mijają go, jak bełkotliwe dźwięki przytłumione tamtymi groźnymi pytaniami. Więc nic więcej mu nie zostało jak potakiwać, uśmiechać się lub marszczyć brwi.

Nagle potok słów leśniczego został przerwany pytaniem, które tym razem dotarło do świadomości Wielgosa.

– I co pan na to, panie Wielgos?

Młynarz zatrzepotał powiekami, podeszwą buta szurnął o podłogę.

– Na co, panie leśniczy, na te żerdzie?

– Jakie znowu tam żerdzie? O całość sprawy pytam.

Ale Wielgos zdążył już wrócić z dalekiej podróży.

– Myślę, panie leśniczy, że pan ma rację.

– Konkretnie w czym? – leśniczy przypierał go do muru.

– We wszystkim.

– Tak pan myśli, Wielgos?

– Ano, tak mi się zdaje.

– Ale dowody, dowody trzeba mieć – Malewski poderwał się z krzesła, podszedł do okna, od którego już oddalały się siwe kłęby mgły. – A dowodów nie ma. Są tylko poszlaki. Chyba, że się przyzna.

Wielgos czuje nagły nacisk krwi na skronie.

– Kto i do czego ma się przyznać?

– No ten pański Kulawik.

„Pański Kulawik” – jak to okropnie brzmi! Wielgos teraz dopiero zdał sobie sprawę z powagi słów leśniczego.

– Tak, tak, oczywiście, że Kulawik. Ale do czego miałby się jeszcze przyznać oprócz podpałki?

– Do sabotaży, do przynależności do orgeszowców, do pomocy w usiłowaniu zabójstwa. Czy to mało? O podpaleniu lasu już nie mówię, mamy doskonałego świadka Webera.

Wielgos czuje, jak wraz z szumem w uszach krew odpływa mu z głowy i twarz staje się blada. Leśniczy przerywa tę okrutną wyliczankę i wpatruje się w niego zaniepokojony.

– Czy pan źle się czuje, Wielgos?

Znów wraca natrętny szum.

– Nie, nie. W te wstrętą pogodę reumatyzm daje mi o sobie znać. Prawa noga, od kostek do kolana.

Wielgos kurczowo uchwycił się reumatyzmu, bo chce leśniczego sprowadzić z niewygodnego dla niego tematu o tamtym diabelcu, kuternodze. I o tych sabotażach, napadach, a najgorsze, co teraz słyszy, o usiłowanym zabójstwie. Wstyd, że takiego łobuza chował i karmił pod własnym dachem! On, patriota i powstaniec śląski dał się omamić temu szubrawcowi! Jak teraz ludziom spojrzeć w oczy? A w ogóle, czy sąd da mu wiarę, że nie miał i nie ma z tym nic wspólnego?

Leśniczy patrzy na Wielgosa, potem w okno i mówi:

– Zła pogoda. Jesień.

– Taka pogoda nie lubi starych kości, więc je gryzie – młynarz skwapliwie wymyśla na poczekaniu sentencję, byle nie mówić o Kulawiku.

Leśniczego jednak nie interesują ani stare kości, ani zła pogoda.

– A wie pan, Wielgos, że od czasu aresztowania Kulawika jest spokoj? Dranie nie mają łącznika. I na szczęście leśniczówki nie odwiedzają.

Gdy Wielgos milczy, leśniczy zbiera się do wyjścia. Od drzwi odwraca się i mówi:

– Wielgos, dawno pan żerdzi nie brał.

Młynarzem wstrząsnęło.

Leśniczy widzi jego szeroką, dobrą twarz, w tej chwili odmienioną wybałuszonymi oczami. Zdziwiony trzyma więc rękę na klamce wąskich drzwiach i zdaje się czekać na odpowiedź.

Ale Wielgos milczy.

Leśniczy nie żałował, że zasiedział się w młynie. Rzadko tu bywał. Daleko i nie po drodze. Na rozlewisku przy młynie jesienne wiatry nagnały klonowych i leszczynowych liści. Niedługo opadną na dno stawu. Na koło pójdzie wtedy woda głęboka i czysta. Mgła odpłynęła już doliną strumienia. Teraz mógł wracać wyboistą drogą bez obawy. Ani się człowiek spostrzegł, jak lato minęło – myślał patrząc na strumień, za którym na skarpie siał się kolorowy dywan opadłych liści. Bo też latem dosyć było tego niepokoju. Przede wszystkim o las. W duktach stało powietrze rozgrzane, że aż dech zapierało, co dopiero w gęstych zagajnikach. A obawa o życie Webera? Przecież on ocalił las od nieszczęścia. Więc Malewski odwiedzał chorego często, bywało, że co drugi dzień. Nagabywał doktora Willerta czy aby Weber wyżyje. Z początku, za wiedzą przychylnej pielęgniarki wchodził do pokoju cichutko na palcach, stawał przy łóżku i wpatrywał się w nieruchomy kształt, wyglądem przypominający raczej obandażowaną kukłę aniżeli człowieka. Potem, gdy niebezpieczeństwo minęło i chory w oczach nabierał sił i chęci do życia, siadał na brzegu łóżka i rozmawiał z nim o lesie, o domu, o Gertrudzie. O Kulawiku z początku nie było mowy, dopiero gdy policja zakończyła wstępne przesłuchania, Malewski wspomniał o nim. Ale Weber nie chciał mówić o swym prześladowcy, odwrócił twarz ku ścianie, na oczy zapuścił powieki pozbawione rzęs i milczał. Malewski całej prawdy o tragedii leśnej musiał szukać w aktach sprawy udostępnionych mu przez komisarza Rudzińskiego. Długo nie mógł sobie darować, że w owym krytycznym dniu zostawił Webera samego, ale skąd mógł wiedzieć, że akurat wtedy nadejdzie Kulawik? A zresztą, czy nie należy tego uznać za szczęśliwy zbieg okoliczności, że powrócił z nadleśnictwa w porę i z pomocą harcerzy z Czarnego Lasu uratował Weberowi życie. Weber od tygodnia jest już w domu, u swej Gertrudy. Rwie się do roboty w lesie. Na razie pomaga żonie w obejściu. Kiedy leśniczy go odwiedza, Gertruda nie kryje swego zadowolenia. Teraz już wie, że to jemu właśnie może zawdzięczać ocalenie męża. Odsuwa więc na bok wrodzoną nieufność do obcych mężczyzn, ustraja twarz w niewymuszony i przyjazny uśmiech, zaprasza leśniczego do schludnego wnętrza, woła na Georga, aby zostawił króliki w spokoju, bo właśnie przyszedł pan leśniczy. Potem, gdy

mężczyźni siedzą już naprzeciw siebie przy stole nakrytym obrusem ozdobionym wyszywanymi ręcznie modrakami, ona skwapliwie krząta się wokół nich.

Leśniczy obejrzał się za siebie.

Droga, którą dotąd szedł, była wąska i błotnista. Głębokie koleiny kazały się domyślać, że tędy jeżdżą wozy obciążone ziarnem i mąką. Z tej też odległości zabudowania młyna sprawiały wrażenie szarych klocków porzuconych w zielonym tle tataraku i sitowia.

Za zakrętem rozpoczynał się bruk, od pierwszych domów przedmieścia i dalej. Malewski minął kościół stojący po lewej stronie na lekkim wzniesieniu, skręcił w prawo w ulicę wiodącą do gmachu sądowego obrosłego bluszczem i wyszedł na drogę prowadzącą do koszar. Stamtąd pójdzie na ukos przez świerkowy młodnik do białej cegielni. To tak, jakby już w domu, w leśniczówce.

Ledwie minął gmach sądu, gdy nagle usłyszał znajomy głos:

– Panie leśniczy! – zza ogrodzenia wybiegł Profesor.

– To ty, Konrad, co się stało? – Malewski przystanął szczerze zdziwiony niepokojem chłopca.

– Pan nie wie? Więzień uciekł.

– Jaki więzień, skąd? – zdziwienie pana Malewskiego rosło.

– Mówią, że Kulawik. Ten z młyna, co las chciał podpalić.

– Co ty wygadujesz?

– Jak Boga kocham – Profesor oglądał się za siebie w poszukiwaniu kogoś, kto potrafiłby zaświadczyć o prawdziwości jego słów. – O, tam idą policjanci, niech pan ich zapyta.

Ale tamci już leśniczego zobaczyli. Dosiedli rowerów i szybko podjechali.

– Całe szczęście, że się pan wreszcie znalazł – Kurzeja zawołał z daleka – Szukaliśmy pana.

– Czy to prawda, że więzień uciekł?

– Co tam więzień! Gorzej, Kulawik uciekł! – zdyszany Kurzeja otarł chusteczką spocone czoło.

– Jak się to mogło stać? W jasny dzień?

– Nie tylko jasny, ale w samo południe – towarzysz Kurzei spojrział na zegarek. Godzinę temu.

– Nie traćmy czasu – Kurzeja machnęła niecierpliwie ręką. – Musi pan nam pomóc, panie leśniczy. Musimy go znów ująć. Zobaczymy, co pański pies potrafi.

–Pies, teraz wam się pies przypomniał? –Malewski zniecierpliwiał się – Pies ma szukać wiatru w polu?

Kurzeja pacnął dłonią siodełko roweru.

–Matuszewski, leć po komisarza i powiedz, żeby dał czapkę Kulawika. Pies pójdzie za węchem.

Policjant już wsiadał ociężale na rower, aby zawrócić do więzienia, w którym widocznie komisarz dopełniał jakichś służbowych czynności, gdy leśniczy powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

–Nie tak prędko, panowie. Nie mamy chwili do stracenia, to prawda, ale jeżeli od samego początku popełnimy błąd, będzie on już nie do naprawienia. Muszę natychmiast porozumieć się z komisarzem. Gdzie on?

–U dozorczy więzienia.

–Szybko do niego!

Komisarza rzeczywiście zastał w pokoju służbowym dozorczy. Pochylony nad arkusikiem papieru spisywał jego zeznania. Gdy ich zobaczył, zawołał:

–Kurzeja, wy jeszcze tu?

Kurzeja stanął na baczność i zameldował:

–Panie komisarzu, melduję, że jest!

–Kto, więzień?

–No nie... – Kurzeja się zmieszał – pan leśniczy Malewski.

Komisarz teraz dopiero spostrzegł leśniczego, stojącego w otwartych drzwiach za plecami Kurzei.

–Aaa... jest pan nareszcie – ucieszył się, wstając z krzesła – Potrzebny pies, bez psa nic nie zrobimy. Gdzie on jest? – znów zwrócił się do Kurzei zniecierpliwiony.

–Kto, panie komisarzu?

–Pies, Kurzeja, pies!

Pan Malewski delikatnie odsunął Kurzeję na bok i sam wysunął się naprzód.

–Pies jest w domu, w leśniczówce. Pańscy ludzie spotkali mnie przypadkowo przed chwilą na ulicy obok domu pana Bazarnika.

–Więc pan już wie?

–Tyle, że podobno Kulawik uciekł.

– Nie podobno, tylko na pewno. Przez wysoki mur, prawie godzinę temu. Z nim dwóch innych zwykłych złodziejasków. Właśnie spisuję osobiście zeznania dozorca Mendreckiego.

Dozorca stał ze spuszczoną głową niby skazaniec.

– Proponuję, panie komisarzu, odłożyć na później to spisywanie zeznań. Teraz czas najwyższy ścigać przestępcę...

– Właśnie mieli to robić moi funkcjonariusze z pomocą pańskiego psa – przerwał mu komisarz.

Pan Malewski czuł, jak rośnie w nim złość na komisarza.

– Moim zdaniem Kulawik jest zbyt groźnym przestępcą, aby pościg i ewentualne schwytywanie go powierzyć tylko Kurzei i Matuszewskiemu. O tym, aby Rolf ich słuchał – mowy być nie może.

– Więc, co pan proponuje? – komisarz zmieszał się.

– Zbiega musimy gonić wszyscy. Najważniejszą rolę spełni tu pies, ale pod jednym warunkiem, że macie jakiś osobisty przedmiot należący do Kulawika, powiedzmy, buty, jakąś część garderoby...

– Jest czapka więzienna. Jeden z uciekających zgubił ją przeskakując przez mur. Szkopuł w tym, że nie wiadomo, czy to akurat czapka Kulawika – wyjaśnił komisarz.

– To nie będzie miało znaczenia, jeżeli uciekinierzy trzymają się razem, gorzej natomiast, gdy się rozdzielą. Wtedy Rolf pójdzie śladem tego, do którego należy czapka, a to wcale nie musi być Kulawik.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Przerwał je komisarz:

– Byłby to prawdziwy pech. Miejmy jednak nadzieję, że to właśnie czapka Kulawika.

Nagle w przedsionku rozległy się czyjeś spieszne kroki. W drzwiach stanął młody człowiek. Dyszał, najwidoczniej biegł.

– Co tam? – spytał komisarz.

– Byłem na policji, mówili, że z tą sprawą muszę do samego komisarza. Przyleciałem tutaj.

– Z jaką znowu sprawą? – komisarz się zniecierpliwił.

– Ja w sprawie tych, co uciekli z więzienia. Ludzie mówią, że jeden był orgeszem, a jak to był orgesz, to chachara trzeba złapać.

Komisarz zerwał się z krzesła.

– Człowieku, mów!

– W Parku Grunwaldzkim naprawiałem ławki. Deski na deszczu szybko gniją...

– O zbiegach mów, nie o deskach – przerwał mu komisarz.

– Po skończonej robocie, właściwie, to jeszcze nie skończyłem – poprawił się – tylko gwoździ mi zabrakło, szedłem przez las w stronę leśniczówki, już miałem wejść na drogę, patrzę, a tu biegną od strony miasta...

– Ilu ich było? – komisarz zaczął zadawać rutynowe pytania.

– Trzech.

– Skąd wiesz, że to byli więźniowie?

– Przecież wiem, po ubraniach można ich poznać.

– Mieli czapki na głowach? – wtrącił pytanie leśniczy.

– Właśnie, właśnie, czy mieli czapki na głowach? – powtórzył pytanie komisarz.

– Czapki? Nie, ani jeden nie miał czapki – odparł po krótkim namyśle młody człowiek.

– Na pewno?

– Przecież mówię: ani jeden. Pan nie wie, że jak się ucieka, to czapka tylko przeszkadza?

– I co dalej? – nagabywał komisarz.

– Dalej nic.

– Od leśniczówki prowadzą drogi: jedna od miasta w stronę Kokotka, druga w lewo do Czarnego Lasu. A w prawo dróżka do parku. Którą wybrali?

– Od leśniczówki dwóch skręciło właśnie na tę dróżkę do parku, a ten trzeci...

– A trzeci? – Malewski nie wytrzymał.

– Trzeci ruszył sam w lewo, do Czarnego Lasu, ale wnet skręcił w las i już go nie widziałem.

– Który z nich kulał?

Przybysz wzdrygnął ramionami, popatrzał z kolei na każdego z obecnych.

– Bo ja wiem? Chyba żaden. Ale zapytajcie innych, ludzie przecież widzieli.

Komisarz zabierał się do zadania następnego pytania, ale ubiegł go Malewski.

– Ten człowiek pomógł nam ogromnie. Wszystko wiemy. Nie mamy chwili do stracenia.

–Więc? – komisarz już teraz skłonny był słuchać rad leśniczego.

–Więc musimy jak najszybciej dotrzeć do leśniczówki. Tam ślad będzie wyraźny, bo droga mało uczęszczana. Zyskamy na czasie, choć już i tak jesteśmy mocno spóźnieni. Godzina to bardzo dużo. Jedyna nadzieja w Rolfie.

–Mendrecki, macie rower? – komisarz nagle wpadł w surowy ton.

Dozorca, który cały czas stał przestraszony konsekwencjami, grozącymi mu za ucieczkę więźniów, jakby odżył.

–Mam, zaraz przyprowadzę.

„Głową dałbym, że tym samotnym uciekinierem jest Kulawik. Odbił od tamtych zwykłych złodziejasków” – przeleciało przez głowę leśniczego.

Za chwilę byli już w drodze. Szybko dotarli do leśniczówki.

Malewski wyprowadził psa przed dom. Linka, do której Rolf był przywiązany, była mocna i długa. Jeden jej koniec tkwił w garści leśniczego, drugi był przywiązany do metalowej obroży psa. Policjanci przezornie stali za ogrodzeniem, z respektem przyglądali się Rolfowi, zdradzającemu niebywale podniecenie.

W otwartych drzwiach domu ukazała się pani Michalina. Zdziwiona pośpiechem męża i widokiem uzbrojonych policjantów, zawołała za odchodzącym:

–Wiktor, co się stało?

Pan Malewski, ledwie mogąc utrzymać psa, odkrzyknął przez ramię:

–Kulawik uciekł!

–Mamo, ja z tatą! – usłyszała głos Romka, który ni stąd ni zowąd nagle zjawił się za jej plecami.

–Ani mi się waź! – pani Michalina zagroziła drogę Romkowi.

Tymczasem leśniczy z podręcznej torby wyciągnął więzienną czapkę i podsunął ją pod nos psa. Widać było, jak Rolf chłonie jej zapach, jak z sekundy na sekundę rośnie jego podniecenie. Gdyby leśniczy nie targnął energicznie czapką i nie ukrył jej z powrotem w torbie, Rolf byłby rozerwał ją na strzępy.

Po komendzie „Rolf, revier!” pies z nosem przy ziemi zaczął obwąchiwać teren wokół leśniczówki.

–Zaczyna się, rowery na podwórze! – krzyknął Malewski do policjantów – Za chwilę Rolf pokaże nam drogę ucieczki Kulawika.

Rolf, wciąż zapamiętał węsząc, biegł zawzięcie. Malewski ledwie mógł za nim nadążyć. W pewnym momencie pies zbiegł z drogi, sforsował płytki rów i wbiegł na drózkę biegnącą w stronę Parku Grunwaldzkiego. Czyżby jednak Kulawik podjął ucieczkę we dwóch? Zamiast do lasu, to do parku? – dziwił się leśniczy – Chociaż nikt przecież nie stwierdził, że znaleziona czapka to czapka Kulawika. Wydłużył linkę, mając nadzieję, że pies się pomylił, i że za chwilę sam skoryguje swą pomyłkę. I tak też się stało. Rolf nagle zawrócił. Leśniczemu zdawało się, że pies przebiegając obok niego, łypnął w jego stronę przekrwionymi ślepiami. Może chciał przeprosić swego pana za pomyłkę?

Wtedy leśniczy wyciągnął po raz drugi czapkę z torby. Scena wachania powtórzyła się. Teraz Rolf zaczął myszkować na drodze biegnącej do Czarnego Lasu.

Nagle przystanął.

Leśniczy spostrzegł, że pies po wciągnięciu powietrza zatrzymał oddech, jakby rozważając: ten, czy nie ten?

Ale to trwało zaledwie sekundę. Rolf gwałtownie ruszył do przodu, aż leśniczemu wyrwał linkę z garści.

– Za mną! – zdążył krzyknąć do tamtych.

Teraz już wiedział, że Rolf biegnie śladem Kulawika.

Ślad prowadził środkiem drogi, w piachu, potem biegł ścieżką tuż przy lesie i nagle skręcił w prawo, w wysoki sosnowy las. Teraz prowadzenie psa wymagało nie lada zręczności. Malewski rad był, że jemu i Rolfowi przypadła główna rola w tej pogoni za Kulawikiem, którego ani na chwilę nie przestał uważać za groźnego i niebezpiecznego przestępcę, pozostającego na usługach niemieckich bojówkarzy. Z kierunku, w jakim zmierzał ślad, domyślił się, że zbieg zdąży ku granicy. Przebiegała ona stosunkowo niedaleko, za trzecim oddziałem, środkiem bagiennego uroczyska. Jeżeli Kulawik zdąży tam przed nimi, wszystko na nic, ujdzie sprawiedliwości. Godzina wyprzedzenia to bardzo wiele, ale czy kulawy człowiek może tak długo biec bez choćby krótkiego, odpoczynku? Nie, nie – rozważał leśniczy, posuwając się szybko za psem – Kulawik musi odpocząć, zapaść w jakimś zagajniku, a wtedy szansa pochwycenia może być duża. Więc nie wstrzymywał Rolfa rwącego do przodu. Po pewnym jednak czasie, gdy spostrzegł,

że Kurzeja i jego dwaj zmęczeni towarzysze zostają coraz bardziej w tyle, skrócił długość linki, zmusił psa do wolniejszego biegu.

Wszyscy odetchnęli, gdy Rolf wyprowadził ich na drogę, wprawdzie porosłą długą badylastą trawą, ale za to wolną od wykrotów i wiatrołomów, o które potykali się i które opóźniały ich marsz. Drogą tą szybko doszli do linii rozdzielającej dwa oddziały: drugi od trzeciego.

Teraz już nie było najmniejszej wątpliwości, że Kulawik zmierza do granicy.

Nagle nastąpiło coś, co mogło zachwiać tę pewność.

Rolf, wciąż biegnący z nosem przy ziemi, przeszedł płytki rów i zaczął zagłębiać się w zagajnik. Miałem rację, Kulawik zmęczony drogą i wertepami leśnymi wszedł w gąszcz, aby odsapnąć – ucieślił się leśniczy i zawołał na policjantów, aby podeszli bliżej. Nie zdążyli, gdyż Rolf nagle przystanął, obejrzał się na swego pana, a potem zaczął zdradzać objawy zaniepokojenia. Kręcił się, odbiegał w jedną, to znów w drugą stronę, wracał... Czyżby ślad się nagle urwał?

Tymczasem komisarz Rudziński i jego towarzysze stali po drugiej stronie rowu i czekali, co z tego wyniknie.

Pies zachęcany przez leśniczego nie ustawał w wysiłku odnalezienia dalszych śladów. Wszystko nadaremnie.

Uczucie zniecierpliwienia udzieliło się wszystkim, zwłaszcza Malewskiemu. Czyżby zbieg zapadł się pod ziemię?

Nagle Rolf zaczął wracać po śladach, które go dotąd doprowadziły. Znów przeszedł rów, lecz w odwrotnym kierunku, półkolem obiegł stojących nad rowem, w pewnym momencie cichutko zaskomlał z zadowolenia i gwałtownie pociągnął leśniczego na pobocze, potem już pewnie znów ruszył naprzód.

Leśniczy zdążył krzyknąć:

– Tu odpoczywał. Po swoich śladach wrócił na drogę, chytrus. Trzymajcie broń w pogotowiu!

Wąska, zarośnięta dróżka oddzielająca zagajnik od starego świerkowego lasu, zaczęła opadać w dół. Tu już podszycie było gęste. Dawno nietknięte siekierą rosło poplątane, połamane i nikomu niepotrzebne, chyba tylko zwierzyńce, szukającej schronienia przed ludźmi albo żmijom zygzakowatym zawsze znajdującym skrawek ziemi, do którego dotarły promienie słońca. Kępy paproci,

zrośnięte i bujne, kazały się domyślać, że krzaki jałowca zatrzymały się przezornie na wzniesieniu w obawie przed rozległym cieniem i wilgocią.

Ale zmęczeni ludzie wciąż parli naprzód.

Teraz już nie żadną tam drogą, nawet nie dróżką, tylko przez zbutwiałe, powalone i trzaskające pod nogami suche gałęzie, byle prędzej i byle wreszcie dogonić zbiega.

Leśniczy to skracał, to znów wydłużał linkę Rolfa, zależnie od terenu i przeszkód, które na swej drodze musieli pokonać. Raz tylko był w oddalonym terenie przygranicznym. Dotąd nie było potrzeby, gdyż nie wywożono stąd ani drewna, ani runa leśnego. Teraz, zdany na węż psa, zaufał mu. Był przekonany, że prowadzi ich on ku granicy, która z pewnością jest już niedaleko. Teren wyraźnie opadał, zaczynały się wymokliska.

Obejrzał się. Komisarz był zmęczony. Widział, jak trzymając czapkę w jednej ręce, drugą co chwila ocierał pot.

gorzej w tym forsownym marszu wiodło się Kurzei i Matuszewskiemu. Coraz bardziej ciążyły im karabiny, wciąż trzymane w pogotowiu. Długie buty z cholewami, sukienne mundury, ciasne kołnierze zapinane pod brodą – wszystko to takie naturalne w zwykłych codziennych warunkach, tu w przełajowym, forsownym marszu przez las stawało się poważnym utrudnieniem.

Leśniczy na chwilę przystanął.

– Zaraz zaczną się bagna, a tam już granica. Chyba ten łotr nam umknie – powiedział z rezygnacją.

Zzajany komisarz Rudziński w milczeniu rozłożył ręce. Był to gest niewątpliwej bezradności.

– Ja bym tam jeszcze nie popuścił – wtrącił zdyszany Kurzeja.

Leśniczy popatrzył na niego i ocknął się.

– Teraz już rzeczywiście nie możemy się cofnąć. Przynajmniej będziecie wiedzieli, w którym miejscu przekraczają granicę. Idziemy!

Uszli kilkaset metrów, gdy Rolf zaczął zdradzać niepokój. Maleski, grzęznąc coraz bardziej w rozmiękłym gruncie, ledwie mógł utrzymać w ręce naprężoną linkę.

Ale nie trwało to już długo.

– Uwaga, bagno! – leśniczy rzucił za siebie.

Gałęzie czarnej olchy, wyrastające gęsto i nisko z karłowatych i rachitycznych pni, nie pozwalały sięgać wzrokiem dalej przed siebie jak na kilka metrów.

Ludzie i pies tworzyli teraz zwartą grupę, brodzącą po kostki w czarnej zatechłej mazi, gęsto porośniętej kępami badylastej trawy. Leśniczy, bacznie rozglądając się na boki, nie tracił z oczu Rolfa. Ten ostatnie kilkadziesiąt metrów parł naprzód, jakby wiedziony bardziej instynktem aniżeli węchem.

Nagle pies stanął.

Leśniczy odgarnął gałęzie olchy.

Za zieloną zasłoną zobaczył wąskie rozlewisko o postrzępio-nych brzegach.

– To już naprawdę koniec – powiedział cicho.

Usłyszał go komisarz Rudziński. Zdecydowanym ruchem i z ulgą wsunął pistolet do kabury.

Zaległo milczenie.

Nikt go nie przerywał. Tylko z gardła Rolfa wydobywał się cichy, urywany skowyt. Leśniczy widział, jak pies drży cały, jak niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę, jak co rusz unosi głowę i patrzy mu w twarz, a potem tam, za rozlewisko, patrzy z wyrzu-tem, że nie idą dalej...

– Dobry, dobry piesek – Malewski, trzymając jedną ręką odchyloną gałąź, wpatrywał się w brzeg po tamtej stronie rozlewiska. Drugą ręką bezwiednie gładził grzbiet Rolfa.

I wtedy stało się to, czego nikt z nich, zwłaszcza sam leśniczy, nie przewidział.

Rolf, zachęcony słowami i dotknięciem swego pana, nagle ruszył naprzód z takim impetem, że wyrwał z jego ręki linkę i wskoczył do wody. Ze zdumieniem patrzyli, jak dwoma potężnymi susami przebył pas wody i znalazł się na drugiej stronie, jak się teraz okazało, płytkiego rozlewiska.

– Rolf, Rolf! – pobiegło za nim wołanie leśniczego.

Ale pies już wyszedł na porośnięty trawą brzeg. Psim zwyczajem otrząsnął się z wody raz, potem zaraz drugi i skomląc obejrzał się na stojących po przeciwnej stronie. Nie było wątpliwości: przyzywał ich do siebie.

Nagle huknął strzał.

Rolf na moment uniósł się w górę, oderwał nogi od ziemi, jakby chciał uciec przed straszliwym i niespodziewanym ciosem, jęknął rozpaczliwie i zaraz zwałił się w dół.

Potem kolejno po sobie, szybko nastąpiły jeszcze dwa strzały. Jeden pocisk pacnął w błoto, tuż przy nodze leśniczego, drugi rozłupał miękki pień olchy, aż drzazgi poleciały.

Tu też nie było wątpliwości: te strzały miały ugodzić ludzi.

Leśniczy, mimo grożącego niebezpieczeństwa, poderwał się, biegiem sforsował wodną przeszkodę i przypadł do psa.

Obiema dłońmi ujął jego głowę. Tkwiły w niej jeszcze szeroko otwarte ślepia, zdumione tym, co się tak nagle stało. Na ręce spłynęła mu strużka ciepłej krwi. Nie bacząc na to, przywarł twarzą do jego ciepłego pyska i tak przez chwilę trwali: pies i człowiek. Dwaj przyjaciele. Obaj bezradni wobec nagłej śmierci.

Tymczasem Kurzeja i Matuszewski, nie czekając na dalszy rozwój wypadków, otworzyli z mauzerów ogień na wprost, na ślepo, ale w kierunku, skąd padły strzały. Komisarz Rudziński z pistoletem w ręce daremnie wypatrywał celu zza krzaków, nie mogąc się zdecydować na strzał donikąd.

Ale Malewski już podniósł się z klęczek.

Wiedział, że już nie jest w stanie pomóc wiernemu psu. Kula karabinowa trafiła go powyżej lewej łopatki, przeszła pierś, wyszła druga stroną, czyniąc po drodze okrutne spustoszenia. „To tylko pies, tylko pies” – jakiś rozsądny głos starał się uporządkować jego wzburzone myśli, skoordynować ruchy w obliczu zagrożenia, stłumić złe słowa, bo poczuł w ściśniętym gardle jakiś słony smak...

–Do mnie Kurzeja i Matuszewski, do mnie! – zachęcał ich przytłumionym głosem do przejścia przez płytkie bagno, sam obserwując, czy wśród krzaków na przedpolu nie zobaczy Kulawika, prawdopodobnego zabójcy Rolfa. Czemu on nie strzela? Może gęste strzały przydusiły go do ziemi, a może osamotniony, wobec przewagi przeciwnika, zdążył wycofać się na drugą stronę bagien, a więc na stronę niemiecką?

Na chwilę strzały umilkły.

Policjanci wraz z komisarzem Rudzińskim, brnąc po kolana w bagnie, wyszli na twardszy grunt, przypadli do leśniczego. Za plecami słyszał ich oddechy świszczące ze zmęczenia.

–Może by go okrążyć – nazbyt głośno zaproponował komisarz.

I ton, i propozycja zezłościły leśniczego.

– Chce pan nas i siebie potopić w bagnach? Możemy posuwać się tylko tą ścieżką i to gęsiego. Sądzę, że do połowy bagien, a więc do samej granicy jest nie więcej jak czterysta metrów. Ujść możemy jeszcze nie więcej jak sto. Strażnicy niemieccy na pewno zostali już zaalarmowani strzałami. Możemy wpaść w ich pułapkę.

– Tylko nie to, panie leśniczy, tylko nie to! – ożywił się nagle komisarz Rudziński. – To groziłoby konsekwencjami politycznymi.

– Mnie obchodzi tylko Kulawik, przestępca i zabójca Rolfa, a nie jakieś tam konsekwencje polityczne – Malewski nie mógł powstrzymać się od złośliwej uwagi.

– Więc co pan proponuje? – Komisarz w tym królestwie bagien i lasu, na dodatek do kolan oblepiony błotem, od samego początku tej wyprawy nie zdradzał chęci dowodzenia małym oddziałem.

– Jeżeli mam iść pierwszy, a tak chyba musi być – leśniczy spojrział po twarzach towarzyszy – muszę mieć broń.

– Tak jest, oczywiście, tak jest – komisarz podchwycił skwapliwie – pan musi mieć broń. Oto jest – i teatralnym gestem wyciągnął rękę z pistoletem.

– Muszę mieć karabin, a nie pukawkę – leśniczy lekceważąco machnęła ręką. – Panie Matuszewski, może mi pan da swój karabin, a w zamian weźmie pistolet?

Policjanta nie zachwyciła ta propozycja, ale podał karabin leśniczemu.

– Jak trzeba, to trzeba – powiedział tylko.

Leśniczy mocno ujął karabin. Ruszyli pochyleni, ostrożnie, krok za krokiem. Ścieżka była wyraźnie wydeptana. Świeżo rozsypane grudki czarnej ziemi dowodziły, że Kulawik szedł właśnie tędy.

Leśniczy co kilka kroków przystawał, nadśluchiwał. Palec trzymał na spuście, w każdej chwili był gotów do strzału. Gdy ręką dawał znak, ruszali dalej.

Dwieście, sto kroków.

Du-du-du – gdzieś w pobliżu odezwał się zaniepokojony dudek.

Ścieżka kluczyła wśród wysokich rozrośniętych krzaków, oddzielonych od siebie starymi zeschniętymi trzcunami. Ziemia, nasiąknięta lepką wilgocią, ugięła się pod ciężarem idących.

–Dalej iść nie możemy – leśniczy półgłosem przekazał swą decyzję – Zresztą nie ma sensu, Kulawik już jest na pewno po tamtej stronie granicy.

Nagle Kurzeja, wpatrujący się uparcie przed siebie, szepnął:

– Tam...

– Gdzie?

– W prawo, za tym krzakiem.

– Widzę.

Leśniczy nakazał ręką, aby się nie ruszali. Wciąż trzymając rękę na spuście, posunął się ostrożnie kilka kroków naprzód.

Ukląkł. Chwilę obserwował, a potem dał znak, aby podeszli.

W miejscu, w którym krzaki wikliny i drzewa olchy tworzyły zwartą zieloną kępę, stał przestronny szałas. Ściany były z jasnych mat trzciniowych, zamaskowanych wciąż jeszcze zielonymi, choć już zwiędłymi gałęziami pokracznych olch. Od strony, z której podeszli, zachowując najwyższą ostrożność, widział spory otwór, stanowiący najwidoczniej wejście do wnętrza szałas. Mógł on jednocześnie spełniać funkcję punktu obserwacyjnego, pozwalającego kontrolować każdy ruch na ścieżce od strony polskiej.

– Kurzeja i Matuszewski, ubezpieczajcie nas. My z komisarzem zbadamy wnętrze tej budy – zarządził leśniczy.

Weszli.

W pierwszej chwili, zanim źrenice przywykły do półcienia, mieli trudności w rozpoznaniu wnętrza, potem oczom nie chcieli wierzyć.

Pośrodku stała szeroka niska ława, zbita z nieheblowanych desek. Na niej wałało się kilka puszek po konserwach i jakaś ilustrowana gazeta niemiecka. Z lewej strony ławy, pod trzciniową ścianą rozpościerało się szerokie legowisko z liści i sitowia, pokryte bezładnie rozrzuconym kocem. Z prawej strony, na ziemi, stały dwie lampy karbidowe, a obok nich, oparte o poprzecznie umocowaną żerdź, dwa karabiny i fuzja. Płaska skrzynka z pewnością kryła w swoim wnętrzu amunicję. Za to druga, znacznie mniejsza i spoczywająca na blacie prymitywnego stołu, miała wieko odchyłone, co pozwoliło komisarzowi zajrzeć do środka.

– Bandaże, opatrunki, butelka z jodyną i czymś tam jeszcze – komisarz relacjonował, penetrując zawartość skrzynki.

Nagle leśniczy ożywił się.

– A tu świeżo rozwinięty bandaż i zakrwawiona szmata. Komisarzu, Kulawik musiał oberwać! Przypadkowo co prawda, bo nikt do niego nie mógł przecież celować, ale oberwał, na pewno oberwał.

– Zmienił bandaż i zwał – komisarz mruknął pod nosem.
Malewski był niepokieszony.

– Żeby tak jeszcze ze sto metrów. Mielibyśmy znów tego lotra w klatce.

– Ano mielibyśmy – przytaknął komisarz bez entuzjazmu.
Ton komisarza nie podobał się leśniczemu.

– Czy wreszcie, widząc to wszystko – leśniczy zatoczył ręką koło – uwierzył pan, że Kulawik to nie tylko rzeźmieszek i złodziejaszek, ale bojówkarz i zbrodniarz?

– Po tym wszystkim, co tu widzę, można by to tak określić – komisarz w dalszym ciągu nie zmienił tonu wypowiedzianych słów. – Będziemy jednak musieli tu na miejscu spisać protokół. Ale – zaklął siarczyście – ale ani ja, ani żaden z moich ludzi, nie mamy ze sobą formularzy. Prawdziwy pech!

– Całe szczęście – mruknął leśniczy.

– Co pan mówi? – komisarz udał, że nie słyszy.

– Mówię, że całe szczęście, że nie macie tych formularzy. Teraz nie czas na pisaninę – pan Malewski nie liczył się już ze słowami, które mogły komisarza urazić. – Proponuję zabrać karabiny i strzelbę, resztę utopić w bagnie, budę rozwalić i szybko się stąd zabierać, póki orgeszowcy nie wleżą nam na kark. Odkryliśmy przecież ich tajemnicę: bazę wypadową.

Nie mieli czasu do stracenia.

Rozdzielili między siebie broń znaną w szalasiu. Na szczęście skrzynka z amunicją miała parciane uchwyty, ułatwiało to transport, który przypadł w udziale Kurzei i Matuszewskiemu.

Zanim rozpoczęli wycofywanie się, zniszczyli i zrównali z ziemią kryjówkę terrorystów. Malewski w przewidywaniu trudności z transportowaniem zabitego Rolfa, zabrał koc i siekiere znaną przez Matuszewskiego w kącie szalasiu. Gdy znów doszli do przeprawy, ściał siekiere żerdz grubości ręki, ociosał z sęków, wygładził, potem na grząskiej ziemi rozłożył zdobyty koc i z pomocą Kurzei zawiązał w niego ciało Rolfa. Końce koca przywiązali do żerdzi. Byli gotowi do powrotu.

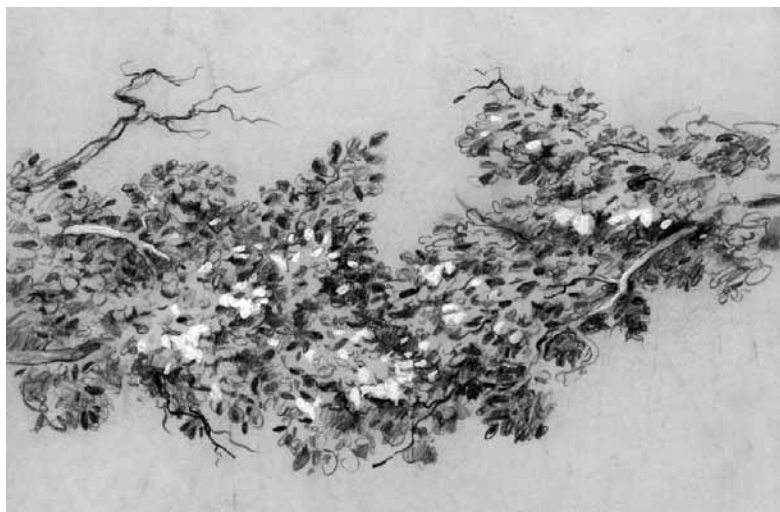
Malewski wstał z ziemi.

Popatrzył na twarze tamtych. Zza moczarów, z wysokiego lasu znów doleciało stłumione du-du-du, jakby ptak wydobywał głos z głębokiej studni. A tu, bliżej, gdzie czarne olchy karłały od bagiennych wyziewów, jakiś inny ptak z furkotem skrzydeł poderwał się z gniazda.

– Poniosę go z panem – Kurzeja zrozumiał spojrzenie leśniczego. Oni go przecież nie znali, więc co im tam... – nie dokończył słów wypowiedzianych cicho, jakby do siebie, ale leśniczy wiedział, że Kurzeja odgadł jego myśli i nastrój.

Gdy potem pod nogami znów wyczuli twardej grunt leśnego duktu, dzień chylił się już ku wieczorowi. W wysokich omszałych sosnach napotkali cień, gdzieniegdzie tylko przerzedzony ukosnymi smugami zachodzącego słońca.

KONIEC



ISBN: 978-83-950986-1-1